



Sophie

Historia
psa-rozbitka

wróć!

EMMA PEARSE

EMMA PEARSE

Tłumaczyła Katarzyna Skawran

Sophie

Historia
psa-rozbitka

wróć!



*Bigglesowi, Poppy'emu, Harmony, Groo,
Molly, Molly, Chloe, Lucy i Oscarowi*

*Ruby
Sophie*

Wstęp

Samotny pies w dziczy...

Był ciepły niedzielny wieczór pod koniec marca 2009 roku. Nad rafami koralowymi i setkami tropikalnych wysp rozrzuconych wzdłuż północnego wybrzeża australijskiego Queenslandu zachodziło słońce. Na wysepce St Bees, leżącej około trzydziestu kilometrów od nadmorskiego miasta Mackay, członkowie niewielkiego zespołu, złożonego ze strażników parku narodowego i badaczy, dostrzegli na plaży psa. Średniej wielkości zwierzę o posturze wilka biegło truchtem brzegiem oceanu ciemniejącego na tle ogromnej pomarańczowej tarczy słońca. Łeb miało zwieszony i wysunięty do przodu, a ogon wyprostowany.

– Tam jest! – krzyknął strażnik Steve Burke do naukowca Billa Ellisa.

– Samotny pies pośród dziczy – powiedział Bill.

Bill mógł jedynie podziwiać ten widok. Przypominał mu scenę z *Zewu krwi* – przemierzający bezdroża pies, niby nieświadomy obecności ludzi, ale zachowujący dystans, jakby postanowił samotnie podążać swoją ścieżką. Bill, który od 1998 roku prowadził na wyspie badania nad populacją koali żyjących na drzewach gęsto porastających wzgórze, miał za sobą dzień spędzony na obłaskawianiu tych zwierząt. Widok biegnącego plażą St Bees psa nie był jednak dla niego miły. Co prawda na wyspie żyły walabie i mnóstwo kóz, pochodzących od zwierząt sprowadzonych tu ponad sto lat wcześniej, ale w 2009 roku na prawie całej osiemsethektarowej wyspie utworzono park narodowy, aby zapobiec zagospodarowaniu jej przez ludzi oraz sprowadzeniu na nią obcych gatunków zwierząt. Chciano w ten sposób chronić bogatą miejscową awifaunę – od łowczyków czczonych po bieliki białobrzuche i kaniuki – a także węże i liczne (na ogół niejadowite) pająki.

Ten pies nie powinien znaleźć się na prawie bezludnej wyspie i to w strefie, gdzie trzymanie zwierząt domowych było zabronione. Jednak ani Steve, ani Bill nie byli zdziwieni jego widokiem. Steve wiedział o nim od kilku tygodni, od kiedy David Berek, jeden z dzierżawców w jedynej prywatnej strefie na St Bees nad zatoką Homestead, zadzwonił do niego z informacją, że po wyspie włóczy się pies, który przypuszczalnie pochodzi z sąsiedniej wyspy Keswick. Niektórzy z czternastu mieszkańców Keswick widzieli go w grudniu, a kilka tygodni później zauważono go na wyspie St Bees, doskonale widocznej po drugiej stronie wąskiej, ale wzburzonej cieśniny Egremont.

Pies musiał przebywać tam od kilku miesięcy, ale nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Żaden zrozpaczony właściciel nie zadzwonił do biura straży rezerwatów i parków narodowych Queenslandu w Mackay, aby zawiadomić, że podczas żeglugi stracił ukochanego pupila. Oczywiście wiadomo było, co się musiało zdarzyć: jacyś ludzie urządzili sobie piknik na wyspach, ich pies zgubił się w buszu i musieli go tam zostawić, jeśli chcieli zdążyć na ląd wraz z przyływem. Ponieważ jednak w takich wypadkach właściciele informowali władze, to przez kilka ostatnich miesięcy Steve i jego koledzy głowili się, skąd wziął się ten pies i co mają z nim począć.

Teraz na St Bees, podczas wyprawy kontrolnej strażników parku z Mackay na wyspę, Steve Burke miał zadanie do wypełnienia. Należało schwytać tego psa. Odłowienie go było najbardziej humanitarnym sposobem, jaki Steve i jego koledzy, w większości wielbiciele i posiadacze własnych psów, mogli wymyślić, aby pozbyć się tajemniczego zwierzęcia, które stanowiło zagrożenie dla wszystkich rodzimych gatunków na wyspach.

Nie było to jednak łatwe zadanie. Pies umykał przed jedynym mieszkańcem St Bees, Peterem Berckiem, który kilkakrotnie próbował się z nim zaprzyjaźnić, kusząc go psią karmą z puszek. Stwarzał wrażenie, że chce, aby zostawić go w spokoju, a na St Bees było mnóstwo miejsc, gdzie mógł się ukryć. Wyspa jest skalista i wulkaniczna, ma około czterech kilometrów średnicy i wygląda niczym jajko z kreskówki, pospiesznie wbite na patelnię. Strażnicy spędzili na wyspie cztery dni, podczas których mocno się natrudzili, aby zwabić psa do pułapki pożyczonej od władz regionu Mackay. Steve wiedział, że jeśli im się nie uda, będą musieli zastosować drastyczniejsze środki. Nikt nie chciał dopuścić do siebie tej myśli, ale zwierzę nie mogło tu zostać. Skoro unikało kontaktów z ludźmi, mogło być niebezpieczne. Jeśli zdziczało, mogło się okazać, że trzeba będzie je zastrzelić.

Zatem pierwszym posunięciem było zastawienie pułapki w miejscu, gdzie pies mógł się zapuścić. Na St Bees jest mnóstwo miejsc, gdzie mógł się schronić, ale gdyby chciał opuścić wyspę, musiałby popłynąć wpław. Steve liczył na to, że pies jest dość mądry, by o tym wiedzieć, a także na tyle głodny, że zapach jedzenia zwabi go do pułapki. Wskoczył wraz z kolegą strażnikiem, Ludim Daucikiem, do czekającego na brzegu pontonu. Skierowali się w stronę swojej łodzi, Tomoyi. Przenieśli pustą, ale ciężką metalową pułapkę z łodzi na ponton i popłynęli z powrotem na St Bees. Przybili do brzegu obok zardzewiałego wraku statku spoczywającego w zatoce Stockyard, który wyłania się spod wody i niknie pod nią wraz z odpływami i przyływami, a wygląda tak, jakby jeden z żyjących na rafie rekinów młotów odgryzł z niego kawałek.

Mężczyźni wybrali ścieżkę pod nisko zwieszającymi się nad plażą zaroślami powyżej linii przyływu, na odcinku wybrzeża między zatokami Honeymoon i Stockyard. Było to jedno z niewielu ocienionych miejsc widocznych z domu Petera nad zatoką Homestead. Steve zabrał się do napełniania jutowego worka galaretowatą zawartością kilku puszek karmy marki Pal, które kupił w supermarkecie. Wybrał drogą wołowinę w sosie z nadzieją, że to załatwi sprawę. Wyobrażając sobie swoje dwa psy, owczarka australijskiego kelpie i border collie, bezpiecznie ganiające po podwórku jego domu w Mackay, przełożył jedzenie do torby i upewnił się, że przesiąkła sosem, aby jego zapach dotarł daleko, do nozdrzy głodnego psa rozbitka. Przywiązał torbę do mechanizmu spustowego na samym końcu pułapki. Każdy nacisk na jutową torbę powinien spowodować opadnięcie pułapki i uwięzienie tajemniczego ogara.

Nie było już nic więcej do zrobienia. Pozostało jedynie wrócić na Tomoyę i szykować się do snu. Steve zamierzał zrelaksować się przed telewizorem, a Bill miał ochotę na piwo.

Bill uważnie obserwował plażę, wypatrując psa, ale nigdzie go nie dostrzegł.

– Mam nadzieję, że to zadziała – powiedział, wskazując pułapkę majaczącą w zapadającym już mroku.

– To jest nas dwóch, stary – odpowiedział Steve.

Rozdział 1

Każda dziewczynka potrzebuje psa, mamusi...

Bridget Griffith pierwszy raz ujrzała Sophie w połowie 2005 roku. Bridget była wysoką, przebojową szesnastolatką o migdałowych oczach i zawadiackim uśmiechu. Podczas wakacji podjęła się dwóch prac zarobkowych w centrum handlowym w Mackay, gdzie zobaczyła i od razu pokochała nieśmiałego, puszystego szczeniaka, który wtulał nos w swój brzusek, gdy spał w witrynie sklepu zoologicznego. Sophie była największym śpiochem z całego miotu rozdokazywanych psów pasterskich – krępych, z białymi podbrzusami i delikatnymi noskami, wyglądających jak pluszowe wilczki dla dzieci.

Codziennie podczas przerwy obiadowej Bridget szła prosto do sklepu zoologicznego znajdującego się naprzeciw kiosku z pocztówkami, w którym pracowała. Stawała przed szczeniakami, niewątpliwie umieszczonymi w strategicznym miejscu, by zostały zauważone przez każdego przechodzącego, dziewczynkę czy chłopca. Wydawała okrzyki: „Ach!” i „O, jejku!”, zwłaszcza gdy pieski czekały, skakały i drapały pazurami szybę, wpatrując się w dziewczynę stęsknionymi ślepiami. Przez cały czas jedno szczenię, zwinięte w futrzastą kulkę w rogu klatki i najwyraźniej niezwracające uwagi na obecność konkurentów napierających na szybę, machało do niej łapką i uśmiechało się.

Przez wiele lat Bridget namawiała rodziców na przygarnięcie psa. Cała trójka jej starszego rodzeństwa miała własne psy i Bridget marzyła o suczce noszącej dziewczęce imię, takie jak Alicia, którą mogłaby wszędzie ze sobą zabierać i która stałaby się jej nieodłączną towarzyszką, podobnie jak pies Luke’a był wiernym druhem jej brata. Rodzice stale jej odmawiali. Wzięli już jednego psa pasterskiego – Jordy, należąca do Luke’a. Zresztą Bridget miała mnóstwo zajęć i zobowiązań: od treningów koszykówki i netballa¹ po szkolną naukę, nie mówiąc już o jej bujnym życiu towarzyskim. Ale dla dziewczyny to było mało. Potrzebowała jeszcze pieska, z którym mogłaby wszystko dzielić, i uparła się, by wziąć jedno ze szceniąt do domu.

Pewnego pogodnego lipcowego dnia matka Bridget, Jan, elegancka i dynamiczna pięćdziesięciolatka, przyjechała do galerii handlowej Caneland, aby spotkać się z córką po pracy, co rzadko się zdarzało. Jan nigdy nie znosiła centrów handlowych, z tego samego powodu, z którego złościło ją wiele ostatnich zmian w Mackay. Jej zdaniem odbierały charakter niegdyś idyllicznemu nadmorskiemu miastu, które od dziesięcioleci rozwijało się dzięki wyteżonej pracy drobnych przedsiębiorców, takich jak ona i ojciec Bridget, Dave. Dlatego wizyta w Caneland miała być krótka. Matka i córka rozdzieliły się, aby załatwić wszystko najszybciej, jak się da, to znaczy kupić bieliznę w Best & Less oraz nowe stroje do koszykówki w sklepie sieci Lorna Jane.

Bridget postanowiła pójść nieco okrężną drogą. Chciała zobaczyć szczenięta, choć spodziewała się, że zdenerwuje tym matkę. Mimo to musiała na nie spojrzeć.

Zbliżając się do witryny, zauważyła, że z miotu, któremu przyglądała się od kilku tygodni, zostały zaledwie dwa szczenięta: piesek i suczka. Stała przed nimi zauroczona, bardziej przez

¹ Netball – gra zespołowa podobna do koszykówki, powstała w Anglii w 1890 roku. Szczególnie popularna wśród Australijek i Nowozelandek (przyp. red.).

pieska niż suczkę. Szczeniak brykał dookoła, wplątując łapki w papier, szczełał w stronę szyby i wyglądał na takiego w sam raz do przygarnięcia.

Natomiast suczka spała wciśnięta w kąt i wydawało się, że nie chce by ktokolwiek zwracał na nią uwagę.

Bridget musiała przytulić pieski, to było silniejsze od niej. Odszukała matkę w sklepie Best & Less i ubłagała ją, aby poszły obejrzeć szczenięta. – Obiecuję, że ich nie weźmiemy. Obiecuję – skłamała Bridget. Jan ociągała się. Wiedziała, że jeśli przytulą pieski, sprawa będzie przesądzona. Jednak trudno było odmówić ożywionej i zdeterminowanej Bridget, która złapała ją pod ramię i poprowadziła w kierunku sklepu zoologicznego, zanim ta zdołała zaprotestować.

W chwili, gdy Jan zobaczyła pieski, jej opór zaczął słabnąć.

– Mogę pogłaskać pieska? – zapytała Bridget kobietę prowadzącą sklep.

– Nie, pogłaszcz suczkę – wtrąciła Jan.

Pośród licznych psów Griffithów wszystkie z wyjątkiem jednego były sukami. Jan nie była zachwycona pomysłem wzięcia kolejnego psa, ale wiedziała już, że przegrała sprawę i co najwyżej może obstawać przy płci, do której przywykła. Dave wierzył, że suki mają lepszy charakter od psów. – Poza tym – mawiał, jakby to nie było oczywiste – nie obskują wszystkiego jak psy.

Nastolatka wzięła na ręce zaspaną suczkę, która cała się trzęsła. – Była naprawdę przerażonym psiakiem – wspomina Bridget. Dziewczyna przytuliła ją i podrapała pod brodą, co ją uspokoiło. Suczka była miękka i ciepła, pokryta gęstą, szarobiałą sierścią nakrapianą na niebiesko. Miała lekko zadarty nosek, jak u małego dziecka. Pachniała psimi herbatnikami i świeżo wypranymi ręcznikami. Gdy się uspokoiła, odwróciła pyszczek w stronę dziewczyny i polizała ją po twarzy. – Słodziak, absolutny słodziak – powiedziała Bridget.

Odłożyła szcenię do gabloty, po czym wyszła z matką ze sklepu, aby mogły przedyskutować, co wzięcie kolejnego psa oznaczałoby dla rodziny. Bridget spróbowała już wszystkiego, aby przekonać mamę do wzięcia szczeniaczka, kiedy z jej oczy popłynęły łzy. Jeśli nie mogło obyć się bez niewielkiej sceny, gotowa była ją zrobić.

Od tygodni obserwowała te pieski i marzyła, aby zabrać któregoś do domu. Powtarzała starą śpiewkę: obiecywała, że będzie go karmić i dbać o niego. Wszystkie pozostałe dzieci Griffithów dostały psy, teraz nadeszła jej kolej.

Jan nie była naiwna. Znała zdolności aktorskie swojej córki i wiedziała, że ta potrafi mocno nalegać, jeśli bardzo czegoś pragnie. Bridget była górą, a matka w pewien sposób podziwiała ją za to. Ta dziewczyna wiedziała, czego chce i jak dopiąć swego. I, prawdę mówiąc, Jan wcale nie potrzebowała długiego przekonywania. Szczenięta już ją oczarowały.

Jan zgodziła się wrócić do sklepu zoologicznego i pozwoliła Bridget ponownie wziąć suczkę na ręce. Patrząc na córkę ocierającą się nosem o „już wkrótce Sophie”, zakryła dłońmi usta w zachwycie. Wyglądały, jakby należały do siebie, i było widać, że błyskawicznie przypadły sobie do gustu. Bridget podała szcenię mamie i w jednej chwili kolejna kobieta z rodziny Griffithów zapałała do niego bezgraniczną miłością.

Jan powiedziała sprzedawczyni, że wrócą po suczkę i prosiła kobietę, by ją dla nich zatrzymała, ale wszystkie wiedziały, że nie ma czasu. Reszta miotu została już sprzedana, więc wzrosły szanse, że więcej takich Bridget będzie próbowało przekonać swoje matki, iż nadszedł najlepszy moment na nowego pieska. Jan musiała skonsultować to z Davem, który kończył pracę w biurze rodzinnej firmy elektrycznej.

Gdy zadzwoniła, aby go uprzedzić, że muszą poważnie porozmawiać, zdenerwował się. Dave Griffith był dość spokojnym, barczystym mężczyzną po sześćdziesiątce, ale nieczęsto w ciągu ich trzydziestoletniego małżeństwa zdarzało się, by żona dzwoniła do niego, żądając poważnej rozmowy. Nagle się przestraszył: „Czyżby zamierzała mnie porzucić?”. Nie mógł uwierzyć, że naprawdę coś jest nie w porządku. Z drugiej jednak strony, dopiero co kupił ich

pierwszą łódź – Honey May. Używana motorówka miała 9,75 metra długości i bardzo małe kajuty: dwie niewielkie sypialnie i salonik z tapicerką ze sztucznej skóry. Nie można było nazwać jej jachtem, a mimo to mogłaby się stać powodem niesnasek. Kupił ją, aby na starość wraz z Jan mogli pływać po oceanie, łowić ryby, obserwować wieloryby i korzystać z uroków morskiego rajy, łatwo dostępnego z ich tropikalnego miasta. Kiedy żona zadzwoniła, że do niego jedzie, zaczął się zastanawiać, czy ta ostatnia zabawka mogła spowodować u niej chęć narzucenia mu małżeńskiej dyscypliny.

Mylił się.

Jan podjechała pod siedzibę Dave Griffith Electrical Services i, zostawiając silnie podekscytowaną Bridget na siedzeniu pasażera, wkroczyła do biura Dave'a z rezerwową miną, w świeżych białych spodniach.

– Bierzymy nowego psa – oznajmiła.

Dave zmarszczył brwi, a następnie je uniósł. Ogarnęło go uczucie ulgi, gdy zdał sobie sprawę, że jednak nie dzieje się nic dramatycznego.

– Dobrze, dobrze, co tylko zechcesz – odpowiedział z ulgą. – Pod warunkiem, że się ze mną nie rozwiedziesz.

Jan spojrzała na męża zdziwiona i pośpiesznie opuściła biuro. Chciała jak najszybciej wrócić do centrum handlowego Caneland. Niespokojna Bridget, która opuściła fotel pasażera i patrzyła zza samochodu, próbowała wyczytać coś z twarzy matki. Jan uśmiechnęła się i Bridget już wiedziała, że oznacza to akceptację. Wydała okrzyk radości i wskoczyła z powrotem do samochodu, którym pomknęły do centrum handlowego. Dziewczyna była bardzo spięta. Czuła, że umrze, jeśli już ktoś kupił pieska.

Jan zaparkowała i Bridget pobiegła. W witrynie nadal było dwoje szczeniąt. Suczka znowu spała, a piesek skakał po gablocie i opierał łapki o szybę. Przypuszczalnie rozpoznawał już Bridget, która tyle czasu spędziła przed wystawą, przymilając się do niego. Gdy Jan weszła, aby zapłacić za Sophie, Bridget spojrzała jeszcze raz na gablotę, która wabiła ją tu codziennie od kilku miesięcy. Z trudem patrzyła na szczeniaka, który wciąż się w nią wpatrywał, machając ogonem. Czuła się strasznie, zostawiając go tam samego. Odwrócił za nią swój biały pyszczek. Nie mogła jednak przeciągać struny. Po tych wszystkich latach marzeń o własnym psie i po tygodniach odwiedzania szczeniactwów wreszcie udało jej się przekonać rodziców, że pora wziąć kolejnego psa, więc nie zamierzała się kłócić o to, którego z nich. Bridget nie posiadała się ze szczęścia i nic nie mogło zepsuć jej humoru. Zamierzała zostać najlepszą psią mamą na świecie dla Sophie – było to pierwsze dziewczęce imię, które przyszło jej do głowy, gdy maszerowała do samochodu ze swoją nową przyjaciółką.

* * *

Bridget i Jan minęły bramę rodzinnej posiadłości z typowym queenslandzkim domem z lat 40. XX wieku o drewnianej licówce pomalowanej na kremowo. Był to doskonały dom rodzinny, z luksusowo wyposażoną łazienką, terenem piknikowym, pokojem gościnnym i dwoma dużymi telewizorami, jednym na dole, drugim na górze. Sypialnie na piętrze, jedna należąca do Dave'a i Jan, druga przeznaczona dla gości, miały okna z młotkowanymi okuciami, wychodzące na basen w kształcie fasoli na frontowym dziedzińcu, otoczony tarasem z czerwonego drewna i ogrodem tropikalnym pełnym hibiskusów i sosen.

Gdy matka z córką wjechały na podwórko, czekał na nie komitet powitalny, czyli Jordy – suka Griffithów, która zrobiła zwyczajową rundę po ogrodzie, po czym przywitała je, gdy otworzyły drzwi samochodu. Bridget wysunęła nogi przez drzwi od strony pasażera i wstała. W ramionach trzymała Sophie, której wilgotny, czarny nos spoczywał wpasowany w zgięcie jej łokcia, tak jakby się tam urodziła. Jan zauważyła, że Jordy przerwała powitalne machanie ogonem chwilę przed tym, zanim zobaczyła Bridget. Po chwili starsza suka przestała węszyć, dobrze znała ten zapach. Inny pies...

Griffithowie są psiarzami. Zawsze mieli psy. Zarówno Jan, jak i Dave dorastali z nimi. Rodzina Jan, mieszkająca w Mackay od czterech pokoleń, hodowała psy różnych ras, w tym owczarka australijskiego imieniem Biddy, którego przygarnęli, gdy ktoś zostawił go na siedzeniu pasażera w samochodzie ojca Jan. Dave dorastał w jednym z wielu szybko rozwijających się ośrodków surfingowych na środkowym wybrzeżu Nowej Południowej Walii. W latach 70. przeniósł się na północ, aby podjąć pracę elektryka w kopalni węgla w Basenie Bowena. W dzieciństwie towarzyszyło mu kolejno kilka jamników, wszystkie imieniem Tinker². Pierwszy z nich miał zajęczą wargę, a ostatni chodził wszędzie za Davem i jego młodszym bratem Lloydem, wskakiwał nawet na deski surfingowe i razem z nimi przemierzał fale, póki nie wylądowali na plaży.

Gdy Dave spotkał Jan, była bardzo atrakcyjną barmanką w zadymionym miejscowym barze Wilkie's, serwującą piwo handlarzom i górnikom, takim jak on. Ich związek przeszedł do legendy w Mackay, ponieważ był wyjątkowo długi i kruchy. Jan często kazała Dave'owi pakować manatki i się wynosić, a on składał kolejne obietnice, że się zmieni. Byli razem na wielu imprezach, ale połączyły ich też sprawy, o których nie zwykli rozmawiać. Dwudziestokilkuletni Dave nagle i przedwcześnie stracił ojca, a rana w jego sercu była tak głęboka, że jeszcze dziesięć lat później wciąż cierpiał z tego powodu. Także jej rodzinę dotknęła tragedia, a Jan była znana z tego, że żądała, by ludzie przestali mówić o jej dwunastoletnim bracie Dannym, który zmarł, gdy miała zaledwie trzynaście lat: – Chyba że chcecie, abym naprawdę straciła rozum. – Żadne z nich nie mówiło zbyt wiele o swoich emocjach, ale ten nieformalny pakt między nimi dawał im pocieszenie. Ich ślub był dużym zaskoczeniem dla wielu spośród ich przyjaciół, którzy dużą paczką przychodzili na piwo do baru Wilkie's. Ale oni dojrzelili już do nowego etapu życia – wkrótce urodziło im się dwoje dzieci, Matthew i Ellen, i założyli dobrze zapowiadającą się rodzinną firmę elektryczną. Luke i Bridget przyszedli na świat kilka lat później.

Dave i Jan byli przekonani, że dzieci najlepiej się chowają, gdy mają dużo zainteresowań i zajęć zamiast gier wideo i telewizji. Wierzyli także, że z psami dzieciństwo i życie rodzinne są lepsze. Matthew miał Macka, niezwykle potulnego border collie, który zabrany na szkolenie psów został ulubieńcem trenera, ponieważ był wyjątkowo słodki i dobrze ułożony. Jego przeciwieństwo stanowił nieoficjalny szczeniak Ellen, Tiny. Był to dominujący terier, którego Ellen zabrała do szkoły jako Toto, gdy w czwartej klasie przebrała się za Dorotkę z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. W pewnym okresie Griffithowie mieli trzy psy: Macka, Tinę (przewodzącą temu stadu) i Biff'y ego, teriera australijskiego, którego Jan i Dave wzięli od rodziców Jan.

Gdy Luke skończył dwanaście lat, a w rodzinie (tymczasowo, jak się okazało) nie było żadnego psa, powiedział matce, że musi mieć psa pasterskiego. Przekonał go o tym jego najlepszy przyjaciel Adam „Jenko” Jenkins, początkujący, czynny miłośnik psów, który właśnie znalazł miot na sprzedaż. Odpowiedź była odmowna, ponieważ interes rodzinny wreszcie zaczął się rozkręcać, Bridget miała dopiero sześć lat i trzeba było poświęcać jej sporo czasu, a Jan i Dave nie zgadzali się na nowego członka rodziny. Wtedy Luke, patrząc pełnymi ufności oczami niewiniątka i wysuwając mocny argument, zapytał matkę: – Na jakiego człowieka wyrasta chłopak, który się chowa bez psa? – Nie potrafiła się przeciwstawić ani jemu, ani jego argumentacji, i tak pojawiła się Jordy, wręcz obsesyjnie lojalny pies pasterski o błękitnym umaszczeniu, który większość czasu poświęcał na ochronę Luke'a przed wszystkim i wszystkimi, nawet członkami rodziny, którzy wykonywali jakiegokolwiek podejrzanego ruchu.

Jordy była z nimi już od prawie jedenastu lat, gdy zjawiała się Sophie, i starszej suce nie spodobała się perspektywa posiadania towarzystwa. Kiedy Bridget wysiadła z samochodu ze

² *Tinker* (ang.) – włóczęga lub urwis (przyp. tłum.).

szczeniakiem w ramionach, Jordy cicho warknęła i spojrzała na dziewczynę zajęętą ocieraniem się policzkiem o Sophie. Bridget zabrała swojego nowego szczeniaka nad basen przed domem i posadziła go na zalanym słońcem tarasie z czerwonego drewna. Sophie była zaspana i dygotała. Nagle zachybotała się, po czym jej tylne łapy przewróciły się na bok, pociągając za sobą resztę tułowia, i klapnęła brzuchem na ziemię. Bridget uklękła i zaczęła chodzić na czworakach wokół szczeniaka, trącąc go nosem i ocierając się policzkami o jego miękką, białą sierść. Dziewczyna znalazła jedną z nieco postrzępionych piłek tenisowych Jordy i przykucnęła, aby potoczyć ją w stronę machającej ogonem Sophie. Suczka nie bardzo wiedziała co zrobić z piłką, ale dzielnie rzuciła się na nią z pazurami, zanim ta się odtoczyła. Bridget podniosła Sophie i pozwoliła jej usnąć w swoich ramionach.

Gdyby Jordy była młodsza, być może narobiłaby więcej zamieszania, aby pokazać nowej suczce, gdzie jej miejsce, ale w czasach, gdy Griffithowie wzięli Sophie, jej zawziętość już słabła. Miała problemy z sercem i cierpiała na artretyzm. Toteż gdy Bridget i Sophie rozłożyły się obok basenu, Jordy wycofała się do dziury, którą wykopała pod drzewem goździkowca brazylijskiego za domem, gdzie często znikwała, gdy się dąsała.

Jordy spędziła w tej dziurze większość pierwszego tygodnia pobytu Sophie w domu. Wychodziła jedynie na posiłki i najwyraźniej uznała je za odpowiednie momenty, aby pokazać szczeniakowi, kto tu rządzi. Puszczając się pędem do misek z karmą, blokując dostęp malutkiej Sophie, która nie miała innego wyjścia, jak tylko stać z tyłu i czekać, aż starsza suka skończy jeść. Sophie bez szemrania przyjmowała to przywoływanie jej do porządku. Siedziała za Jordy pod wiatą samochodową, nie jeząc sierści ani nie skomląc, i obserwowała, jak silniejszy pies opróżnia miskę, instynktownie akceptując taką hierarchię.

Prawdę mówiąc, jako szceniak Sophie nie sprzeciwiała się w zasadzie niczemu. Przez pierwsze tygodnie głównie spała i jadła. W końcu Bridget zaczęła się o nią niepokoić: „Dlaczego jest taka apatyczna, nie tarza się po ogrodzie i nie gania własnego ogona?”. Sophie godzinami spała w niedużym koszyku w pralni na dolnej kondygnacji, budząc się jedynie na posiłki. A jadła często i przynajmniej jej apetyt stanowił dla rodziny pocieszenie. Bridget stawiała przed nią miski z kawałkami mięsa i herbatnikami dla szceniąt i (póki Jordy nie opróżniła swoich) obserwowała, jak Sophie łapczywie pochłania ich zawartość w parę sekund, a potem natychmiast zapada w głęboki sen. Bridget postanowiła nie martwić się o swojego ukochanego pieska, ale wciąż uważała jego zachowanie za nieco dziwne. Jednak Dave ją pocieszał: – Szczenie jest jak niemowlę, chce jedynie spać i jeść.

Luke i Dave nie pochwalali tego, że Bridget uparcie zabierała Sophie wszędzie ze sobą. Luke mieszkał niedaleko i często odwiedzał rodzinę, bez skrępowania wyrażając swoją opinię na temat tego, jak siostra wychowuje psa. Bridget nosiła Sophie jak dziecko i przytulała ją godzinami, gdy we dwie siedziały na schodach wejściowych do domu lub obok basenu. Suczka zwijała się i lekko pochrapywała, gdy Bridget przeglądała czasopisma dla kobiet, które Jan zostawiała, jeśli rozwiązała już krzyżówki. – Ten pies nigdy nie nauczy się chodzić, jeśli od czasu do czasu nie postawisz go na ziemi – żartowali Dave i Luke. – Ona nawet jeszcze nie wie, że ma nogi!

Mimo zapewnień Dave'a, że z nowym członkiem rodziny wszystko jest w porządku, po kilku tygodniach Griffithowie zaczęli się zastanawiać, czy suczka nie jest głucha, co, jak wiedzieli, nie było wcale rzadkie u psów pasterskich. Młoda Sophie czasami nie reagowała na swoje imię. Często nie odwracała się ani nawet nie strzygła uszami, gdy Bridget lub Jan wielokrotnie ją wołały. Niekiedy z tego powodu przepadały jej smakołyki, takie jak Schmackos czy resztki z obiadu.

Ucho Sophie, które czarująco opadało w sklepie zoologicznym, pozostało oklapnięte, choć uszy większości psów pasterskich podnoszą się na stałe w pierwszych miesiącach życia. Opadające ucho dodawało jej uroku i Griffithowie w końcu doszli do wniosku, że prawdopodobnie Jordy po siostrzanemu złapała je zębami i jako dominująca suka zostawiła

swój ślad. Czasem było to powodem lekkich kpin. Ellen, która mieszkała w Brisbane, zadzwoniła kiedyś, aby zapytać, jak się ma nowe szczenię. Dave powiedział wtedy, że Sophie jest kochanym pieskiem, ale nieco przygłupim. Jordy, choć tak apodyktyczna, jak to tylko możliwe, przynajmniej pilnowała domu od chwili, gdy weszła do rodziny Griffithów, pozwalając im wierzyć, że jest najmądrzejszym psem na świecie. Natomiast Sophie bardziej interesowały przejawy miłości i sympatii oraz oddawanie się marzeniom.

Jednak gdy intrygująca suczka nabrała sił, zaczęła wychodzić ze swojego legowiska i przyłączać się do rodziny. Zbliżała się susami do Bridget, która czytała nad basenem lub ćwiczyła rzuty do kosza na rodzinnym miniboisku za wiatą samochodową, a jej pani zawsze przerywała to, co akurat robiła, aby podnieść ją i przytulić, czule mówiąc: – Witaj, kochana. – Sophie kładła brodę na ramieniu Bridget, a łapy, które przewieszała jej przez rękę, zwisały luźno, gdy dziewczyna nosiła ją dookoła.

Bridget używała piłki tenisowej, aby sprawdzać koordynację szczeniaka. Rzuciała ją suczce, której szczęki wciąż były zbyt wąskie, aby mogła ją nimi chwycić. I tak nie powstrzymywało jej to od próbowania. Stawała z otwartym pyskiem, gotowa łapać lecące piłki, kołyszając całym tyłem tułowia z boku na bok. Jednak wykazywanie się umiejętnością łapania było najmniejszym ze zmartwień Sophie. Coraz mniej spała w ciągu dnia i musiała ciągle stawiać czoła Jordy, która nadal była pierwszym psem Griffithów.

Jordy, zbudowana jak krępy buldog o muskularnej klatce piersiowej, spędzała dni na pilnowaniu, czy nic nie zakłóca spokoju w podmiejskim domu Griffithów. Warczała i szczekała na wszystkich, którzy weszli na rodzinną posiadłość, a także łapała zębami za pięty każdego, kto za bardzo się zbliżył do członków *jej* rodziny. Nawet Matthew i Dave padali ofiarami gryzienia po kostkach. Główne zadanie Jordy, w jej pojęciu, polegało na ochronie Luke'a i była pod tym względem nieubłagana, niczym świecące w południe słońce.

Jak się okazało, innym jej zajęciem – gdy już upewniła się, że nowa rywalka wie, kto tu rządzi – było wprowadzanie Sophie w obowiązki psów pasterskich. Rano, przed południem, w porze obiadowej, wczesnym i późnym popołudniem oraz wczesnym wieczorem starsza suka zabierała Sophie na obchód wokół posiadłości Griffithów. Zachwycała ją rola nauczycielki szczeniaka. Czasami suki wylegiwały się w słońcu, otumanione i senne, a potem w jednej chwili zmieniały się w skradające się łowczynie. Sophie obserwowała, jak Jordy pokazywała jej najskuteczniejszy sposób rozszarpywania ptaka, a potem robiła tak samo.

Od samego początku Sophie doskonale łapała ptaki. Griffithowie często znajdowali za domem rozrzucone pióra, głównie czarne i białe lotki niedużych, ale głośnych gralin srokatych, które nie miały szans w spotkaniu ze swoją pogromczynią. Z niewidocznego zza domu legowiska obok basenu Sophie mogła, gdy tylko wyczuła obecność ptaków, rozpocząć polowanie. Zaczynała skradać się chyłkiem, na nisko ugiętych łapkach, w kierunku niespodziewającego się niczego ptaka. Kładła uszy po sobie, a później, dysząc i śliniąc się, zrywała się z ziemi i rzucała na niego. Dzięki doskonale wyćwiczonym mięśniom tułowia mogła wystrzelić jak pocisk i pomknąć na drugi koniec podwórka.

Jordy postarała się także o to, by Sophie nie zapomniała o hierarchii, ucząc ją czystości. Ponieważ Jordy była dominującym psem, młodsza suka nie miała prawa załatwiać się na trawnikach. Pod tym względem manieri samej Jordy były godne podziwu, nigdy nie zostawiała niemile widzianych odchodów na trawniku, a Sophie miała przejść zasady dobrego wychowania. Została odesłana w krzaki rosnące na skraju ogrodu i nigdy później tego nawyku nie zmieniła. – Bardzo długo sądziłam, że zachowuje się tak, ponieważ nie chce, aby ktokolwiek ją przy tym widział – powiedziała Bridget. Sophie zawsze zniknęła z pola widzenia, gdy chciała się wysiusiać. Przez sześć lat u Griffithów nigdy nie zmoczyła dywanu ani nie zanieczyściła pustej sypialni. Nawet gdy wychodziła z rodziną poza ich posiadłość, dreptała w ustronne miejsce, żeby zrobić, co trzeba. Po części mogło to wynikać ze

wstydlivosti, jednak z pewnością wynikało też z posłuszeństwa: Sophie nigdy nie zapomniała lekcji danej jej przez Jordy.

Przyjacielska rywalizacja między Jordy i Sophie odzwierciedlała stosunki między Bridget a Lukiem. Dwoje najmłodszych Griffithów było jednocześnie najlepszymi kumplami i zaprzysięgłymi rywalami. Oboje spędzili większość dzieciństwa bez towarzystwa starszego rodzeństwa na co dzień, a pojawienie się każdego z nich na świecie było zaskoczeniem dla rodziców. Gdy Bridget była zuchwałą i uczuciową dziewięciolatką, a Luke krewkim piętnastolatkiem, zwykł, mijając ją w kuchni, mówić półgębkiem: – Wiesz, że byłaś wpadką.

W końcu Bridget poskarżyła się matce, że starszy brat jej dokucza. – Niech sobie gada – odpowiedziała Jan. Bridget i Luke przyszli na świat w podobny sposób jak Jordy i Sophie zjawili się w rodzinie Griffithów – byli nieplanowani, co się zdarza, ale niezaprzeczalnie mieli ogromną siłę przebicia (– Bridget jest najlepszą reklamą posiadania dziecka po czterdziestce – głosiła wszem i wobec Jan).

Gdy Sophie podrosła i przywykła do nowego życia u Griffithów, zdrowie Jordy jeszcze się pogorszyło. Jej serce osłabło, a artretyzm się nasilił, więc po kilku miesiącach pobytu Sophie psy zamieniły się rolami. Teraz Jordy przesypiała większość dnia, ledwo zdolna do poruszania się i bez sił do strofowania nowej, młodszej siostry. Gdy Sophie przebiegała obok legowiska Jordy, starsza suka już nie powarkiwiała i nie blokowała jej przejścia, jak to robiła wcześniej, prowokując ją do zabawy. Co najwyżej otwierała oczy i podnosiła łeb, by obserwować przechodzącą Sophie, ale kładła go z powrotem, pozwalając jej swobodnie przejść do ogrodu lub nad basen, gdzie Bridget odrabiała lekcje albo Dave zajmował się naprawami mechanicznymi.

Jordy już nie witała Griffithów pod wiatą, gdy wracali do domu. Teraz to Sophie przeskakiwała na podjeździe z jednej łapy na drugą, gdy wjeżdżali przez bramę. Jordy zaprzestała także swoich zwyczajowych rund patrolowych po dziedzińcu. Gdy Jan wyglądała przez kuchenne okno, mieszając na kuchence zupę „maltańska wdowa” według przepisu swojej babci, brakowało jej widoku Jordy obiegającej ogród, jeżącej sierść, zatrzymującej się co kilka sekund i wężającej w poszukiwaniu latających intruzów. Luke przychodził każdego popołudnia tylko po to, aby posiedzieć pod domem przy swojej ukochanej obrończyni. Zachęcał ją do wyjścia na podwórze, rzucając piłkę tenisową na trawnik, ale zamiast żwawo za nią pogonić, Jordy powoli szła w kierunku, w którym poleciała piłka, po czym kładła się na środku trawnika.

Mijały dni i w rodzinie narastał lęk. Wszyscy wiedzieli, że zbliża się kres Jordy. Cierpiała i nie byli w stanie na to patrzeć. Trzeba było ją uspić, ale gdy to sobie uświadomili, trudno im było poruszyć ten temat. W rozmowach wspominali najlepszy okres Jordy. Luke raczył ich historyjkami, które doskonale znali i których uwielbiali słuchać w kółko. Niewypowiedziana perspektywa tego, co muszą zrobić, wisiała nad domem Griffithów przez kilka tygodni. Pewnego dnia, gdy Jan i Dave obudzili się i znaleźli Jordy w znacznie gorszym stanie niż kiedykolwiek wcześniej – ledwie dającą radę unieść się z koców w legowisku, gdyż jej niedomagania się nasiliły – Jan zdała sobie sprawę, że będzie musiała stawić temu czoła. Ani Luke, ani Dave nie byli w stanie się tym zająć, a Jan obawiała się, że zamieni się w kłębek nerwów, jeśli sama spróbuje podjąć się tego zadania. Dlatego zadzwoniła do jednego z najbardziej zaufanych przyjaciół rodziny i najlepszego kolegi Luke’a z dzieciństwa, Jenko, który zetknął Luke’a z Jordy ponad dziesięć lat temu.

– Chcieliśmy cię prosić o ogromną przysługę – powiedziała Jan do Jenko, który poczuł się bardzo zaskoczony. Uważał Griffithów niemal za swoich drugich rodziców i zaniepokoiło go drżenie, które usłyszał w głosie Jan. Jako kumpel Luke’a, Jenko spędził okres nastoletni w towarzystwie Jordy i był jedną z nielicznych osób, które mogły przekroczyć bramę ich domu

bez narażania się na pogryzienie. Wiedział, że z Jordy nie jest dobrze, ale nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

Jan poinformowała go, że umówiła wizytę u weterynarza, by uspił Jordy. Rodzina nie potrafiła podjąć decyzji, ale nie chcieli przedłużać jej cierpień. – Ona nie daje rady – wyjaśniła Jan. – Nie jest już szczęśliwa. I jak się domyślasz, wszyscy jesteśmy zrozpaczeni. Luke tego nie robi, a Dave jest beznadziejny, gdy chodzi o sprawy związane ze śmiercią. Dałbyś radę zabrać ją do weterynarza?

Jenko zgodził się to zrobić, gdyż wiedział, że Jan nie prosiłaby go o to, gdyby Griffithowie naprawdę nie potrzebowali jego pomocy. Był przywiązany do Jordy, ale ponieważ wychowywał się z psami użytkowymi utrzymanymi w domu, wiedział, że przyjemność posiadania psów wiąże się też z przykrymi obowiązkami.

– Czuję się jak zdrajca, zabierając psa mojego najlepszego kumpla do uspienia, ale wszyscy wiedzieliśmy, że nic innego nie można już zrobić, aby pomóc Jordy – powiedział Jenko.

Gdy Bridget była w szkole, a Jan i Dave w pracy, Jenko przyszedł po nią. Powoli zaprowadził bardzo słabą Jordy do kliniki weterynaryjnej, oddalonej o pięćset metrów od ich domu. Dotarcie tam zajęło im aż pół godziny, ale te jej ostatnie trzydzieści minut spędziła na świeżym powietrzu w blasku słońca.

Kiedy tego dnia po południu Dave wrócił do domu, zauważył brak Jordy, zwykle śpiącej w swoim legowisku. Wszedł po schodach do kuchni na górę i zapytał Jan: – Zabrałaś ją, prawda?

Jan kiwnęła głową, po czym podeszła do Dave'a, położyła mu dłonie na policzkach i pocałowała go w usta. Opuścił głowę i pogłaskał ją po ramionach.

Później Jan rozmawiała z weterynarzem, który zapewnił ją, że Jordy zasnęła i nie czuła bólu, gdy odchodziła. – Czy chce pani zabrać ciało? – zapytał weterynarz. Jan kategorycznie odmówiła. Griffithowie nie chcieli pochować Jordy na podwórku. Miała żyć w ich pamięci i w rodzinnych historyjkach.

Nie pierwszy raz Griffithowie jednoczyli się, aby radzić sobie ze smutkiem. Bridget, która od jakiegoś czasu spodziewała się, że „to” nastąpi, nie zapytała Jan o Jordy, gdy wróciła do domu ze szkoły. Sophie przywitała ją przy furtce i Bridget turlała się z nią po ogrodzie dla pokrzepienia. Później, gdy Luke wszedł do ogrodu, aby jak co dzień złożyć Jordy wizytę, od razu zorientował się, że odeszła. Nie było jej w ulubionej dziurze ani w legowisku. Wbiegł po schodach, ale zatrzymał się, zanim otworzył siatkowe drzwi. Oczy miał szkliste, gdy wszedł do środka. – Odeszła, prawda? – zapytał Jan, która skinęła głową, tak samo jak Dave'owi. Syn głośno westchnął. Minęło kilka dni, zanim znowu ich odwiedził.

Jan i Dave, którzy mieli już doświadczenie w pomaganiu sobie nawzajem w trudnych chwilach, próbowali zachować stoicką postawę. Zawsze kochali swoje psy, lecz nie ulegali sentymentom. Pies jest członkiem rodziny, ale posiadając zwierzęta domowe, trzeba również umieć poradzić sobie z ich stratą. Pełna wigom Jordy cieszyła się długim życiem i dostarczyła całej rodzinie wielu chwil radości i zabawy, ale, jak powiedział Dave: – Co mieliśmy zrobić? Wykopać dół w ogrodzie, żeby każdy mógł nad nim stanąć i zapłakać? To za trudne. Była starą suką i cierpiała z bólu. Nie mogliśmy tego przedłużyć. Nadeszła pora, by pozwolić jej odejść.

Także Sophie zauważyła, że Jordy zniknęła. Przez kilka dni szukała swojej wychowawczynie, węsząc niepewnie wokół dołu Jordy za domem i spoglądając pytająco na Bridget i Jan, gdy przechodziły przez furtkę. Szczenię i jego właściciele pocieszali się nawzajem. Wszyscy członkowie rodziny byli wdzięczni losowi za to, że mają Sophie, mogą skupić na niej uwagę i przelać na nią swoje uczucia. Prawdę mówiąc, wciąż niezdarna suczka bardzo szybko skorzystała na odejściu swojej starszej siostry. Jej obecność pozwalała Griffithom oderwać się od smutnych myśli, a ona nie zamierzała się temu sprzeciwić.

Nie minął nawet tydzień, a Sophie nabrała energii. Wszyscy okazywali jej miłość, nawet Luke, toteż nie tylko zaakceptowała zmianę swojej pozycji, ale również jej się to spodobało. Teraz, gdy Dave lub Bridget wyciągali wąż ogrodowy, Sophie zachowywała się jak dominujący pies, którym się stała. Zaczęła ujawniać swoje prawdziwe umiejętności sportowe. Przejawiała także talenty komiczne. Gdy któreś z nich rozwijało wąż ogrodowy, Sophie energicznie kręcąc pupą i węsząc przy gruncie, posuwała się w kierunku wody, jakby podkładała się do niepokolejącego niczego karalucha. Gdy Dave unosił szlauch, podbiegała susami, a potem przyskakując do strumienia wody i odskakując od niego, zawzięcie kłapała na niego zębami, jak gdyby bawiła się w „Nie złapiesz mnie!” z przebiegłym wężem. Zabawa była równie wciągająca dla rodziny, jak dla szczeniaka i gdy odwiedzało ich którekolwiek z pozostałych dzieci, wszyscy obserwowali, jak Sophie kłapie zębami na wodę, a Dave wymachuje wężem ogrodowym dłużej, niż rzeczywiście było potrzebne, i wesoło to komentowali.

Griffithowie zdali sobie sprawę, że Sophie, w przeciwieństwie do Jordy, ciągnęło do wody. Za czasów Jordy wystarczyło, że Dave wzięł w rękę wąż i już jej tam nie było. Wówczas Jan, wyglądając przez kuchenne okno, widziała ją pod goździkowcem brazylijskim, zwiniętą w dole z łbem opartym na jego krawędzi. Mogła tam siedzieć godzinami, mimo że Dave już dawno odłożył szlauch. Zrobiłaby wszystko, aby uniknąć kontaktu z wodą.

Natomiast Sophie od samego początku wyglądała na psa wodnego. Mając zaledwie dwa miesiące, bez zachęty z niczyjej strony polubiła szlauch i godzinami dostarczała Griffithom rozrywki będącej powodem do dumy. Jej zafascynowanie wodą, objawiające się kłapaniem na płynący z węża strumień, choć pełne urzekającego entuzjazmu, nie obejmowało jednak basenu. Luke nigdy nie próbował wrzucić jej do basenu, tak jak zrobił z Jordy, ale ona i tak zawsze okazywała zaniepokojenie, gdy ktoś z rodziny do niego wszedł. Poszczekując, biegała wokół basenu i obserwowała każdy ruch. Mogła godzinami warować na brzegu, najpierw stojąc, potem siedząc, a w końcu leżąc, gdy Bridget i jej przyjaciółki bawiły się w wodzie. Dziewczęta rzucały jej piłkę tenisową lub chlapały na nią. Czasem Bridget podpływała do krawędzi basenu, aby ją pocałować, a suczka dotykała swoim noskiem nosa dziewczyny i delikatnie ją lizała. Ale cały czas Sophie czuwała. Jednym okiem nieustannie obserwowała, co się dzieje. Bridget czuła, że jej przyklepny szczeniak jest gotowy wskoczyć do wody na pierwszy sygnał jakichkolwiek kłopotów. Cała jej postawa wyrażała: „Hej, uważajcie tam w wodzie!”.

Gdy ujawniła się jej osobowość, Sophie podbiła Griffithów swoją wrażliwością. Stopniowo rozwiały się ich podejrzenia, że nowy członek rodziny nie jest zbyt inteligentny, ustępując miejsca podziwowi dla tego stworzenia, cechującego się opanowaniem i pewnością siebie oraz nieczującego potrzeby ciągłego zwracania na siebie uwagi. Nigdy nikogo nie gryzła po kostkach ani nikomu nie wskakiwała na kolana bez ostrzeżenia, jeśli nikt się do niej nie odzywał podczas obiadu. Nigdy nie szcekała rozpaczliwie, gdy miała ochotę się bawić lub chciała, aby wziąć ją na ręce, i zawsze była gotowa do przytulania się. Jordy wiecznie była czujna, gotowa chwycić zębami każdego, kto podszedłby zbyt blisko, jeśli się tego nie spodziewała, albo szcekać na gościa, którego już setki razy spotkała na podjeździe do domu, natomiast Sophie zawsze chętnie poddawała się pieszczotom. Gdy rodzina zasiadła wokół stołu do kolacji albo goście zebrali się wokół basenu, podbiegała z opuszczonym nieco łbem i kładła pysk komuś na kolanach. Mogła siedzieć jak kangur, z tylnymi łapami zgiętymi pod kątem prostym i rozłożonymi na boki, tak że cały zad spoczywał na ziemi.

Choć obcych początkowo traktowała z rezerwą, zawsze bardziej zależało jej na uściskach, poklepywaniu i towarzystwie, niż na okazywaniu krzepy psa użytkowego. Jednocześnie była łagodniejsza i bardziej uparta od większości psów pasterskich, które zostały wyselekcjonowane tak, aby słuchały swojego pana, ale także potrafiły działać samodzielnie.

Mówi się, że niektórzy ludzie albo psy mają stare dusze. Griffithowie wierzą, że Sophie jest taką starą duszą. Zdaje się pochodzić z innej epoki, w której kobiety nosiły rękawiczki i uczyły się dobrych manier, a psy znały swoje miejsce.

Rozdział 2

Wyjątkowa

Maniery Sophie sprawiły, że Bridget chciała jak najczęściej chwalić się swoją podopieczną. W każdy wtorkowy wieczór zabierała ją do przedszkola dla szceniąt, a później na koszykówkę. Dziewczyna brała udział w rozgrywkach zarówno na poziomie miasta, jak i stanu, a suczka towarzyszyła jej podczas większości treningów. Trenerka, co prawda, wznosiła oczy, udając niezadowolenie z tego stanu rzeczy, lecz gdy Bridget zerknęła ukradkiem w jej stronę, widziała, jak głośno szczeniaka i czule do niego przemawia. Miejsce Sophie było na ławce obok boiska, gdzie siedziała spokojnie i obserwowała grę. Wodziła wzrokiem za piłką albo za Bridget, zwracając łeb to w jeden koniec boiska, to w drugi. Niekiedy dreptała po ławce w tę i z powrotem, jeśli akcja się zagęszczała i na boisku robiło się głośno. Gdy Bridget, mając spoconą twarz, a myśli wciąż jeszcze zajęte grą, schodziła z boiska naradzić się z drużyną, Sophie nie domagała się od niej uwagi. Leżała na ławce, wodząc oczami po sali, i czasami unosiła łeb, aby popatrzeć na graczy na ławce rezerwowych, ale nie przeszkadzała dziewczynie.

W ciągu dnia, gdy Bridget załatwiała sprawy, korzystając z jednego z samochodów rodziców, Sophie wskakiwała na przednie siedzenie czerwonej hondy Dave'a lub srebrnego nissana Jan, aby jej towarzyszyć. Czasem wymykały się we dwie na plażę, aby wyszaleć się z piłką tenisową, ponieważ Sophie – po początkowych nieudanych próbach łapania piłki, gdy była jeszcze za słaba, by zacisnąć na niej szczęki – nauczyła się tego i sprawiało jej to radość. Bridget i Sophie wbiegały do wody. Dziewczyna nurkowała pod falami. Suczka, trzymając łeb uniesiony nad wodą i mocno zaciśnięty pysk, pływała, a później zawracała, z widoczną w oczach determinacją i ogromnym zadowoleniem. Gdy psinka dorosła i nabrała pewności siebie, te wyprawy na plażę stały się jednymi z jej ulubionych zajęć. Nie tyle lubiła pływać, co wręcz to uwielbiała i po zabawie z piłką sama rzucała się do wody, jak sportowiec splukujący się po ciężkim treningu.

W drodze do domu Bridget zajeżdżała na parking przy sklepie, opuszczała szyby i zostawiała Sophie, która stawała na fotelu i wystawiała łeb przez okno, obserwując otoczenie, kiedy dziewczyna odbierała ubrania z pralni chemicznej lub dokupowała coś, co było matce potrzebne na obiad. Widząc wracającą Bridget, stawała na baczność, machała ogonem i całym biodrami. – Wskakiwała na siedzenie kierowcy, jakby chciała powiedzieć: „Dobrze, że jesteś z powrotem. Pojedziemy już?” – wspomina Bridget.

W przeciwieństwie do Jordy, która spędziła wiele godzin, jeżdżąc po mieście z Lukiem jego Volkswagenem Beetle rocznik 1971 w kolorze zielony metalik, i warczała na każdego, oprócz członków rodziny, kto zbliżył się do samochodu, Sophie nie burczała ani nie syczała na przyjaciół Bridget. Nie przejawiała żadnej agresji, co jednak nie znaczy, że była gapowatą niedorajdą. – Nigdy nikogo nie ugryzła, ale wiedziałam, że broniłaby mnie – mówi Bridget. Mimo łagodności, Sophie od samego początku cieszyła się autorytetem. Nie musiała nikomu grozić, warcząc na niego czy łapiąc go zębami, ale gdy we dwie wychodziły na miasto albo przyjmowały gości w domu, zawsze trzymała się blisko dziewczyny, zazwyczaj między nią a osobami będącymi w pobliżu. Spuszczała łeb i patrzyła przed siebie, z prawie zamkniętymi oczami, ale wystarczył jeden ruch kogoś z gości, by skupiła na nim uwagę. Była to raczej

postawa niż działanie. – Jej instynkt przede wszystkim nakazywał jej zawsze być miłą i przyjacielską – mówi Bridget.

Sophie była także towarzyska i nieco zalotna. Podczas spacerów z Bridget w sąsiedztwie domu miała skłonność do zostawiania w tyle, gdy ludzie przystawali, aby ją podziwiać. – Ta sama trasa, którą pokonywałam z Jordy, zajmowała nam dodatkowe piętnaście do dwudziestu minut, ponieważ chciała się zatrzymywać i machać ogonem do każdego, kto nas mijał.

Połączeniem spokoju z uroczą swawolnością zasłużyła sobie na przydomek, który powoli i w naturalny sposób do niej przyłgął – Sophie Tucker³. W pewnym stopniu był hołdem złożonym jej wodewilowej imienniczce, ale pojawił się przede wszystkim dlatego, że zgodnie ze wspianą australijską tradycją przezwiska były powszechne w rodzinie Griffithów. Nic więc dziwnego, że zaczęli także tworzyć różne wersje imienia Sophie. Jan nie znała prawdziwego imienia Dave'a przez pierwsze dwa miesiące ich związku, był po prostu Griffem lub Griffo. Luke rzadko reaguje na własne imię, gdyż przez większość życia wołano go Lukey, Spooky lub Griff. Jan nazywana jest Janny, a Ellen – Nell. Bridget reaguje na kilka imion, w tym pieszczotliwe Gitte, utworzone przez matkę od Brigitte. Tylko Matthew nosi typowe i oczywiste zdrobnienie – Matty.

Tak więc Sophie została Tuck, Sophie Tucker, Soph. Gdy suczka galopowała plażą, Bridget wołała: „Sophie Tucker!”, gdyż lepiej odzwierciedlało to jej zachwyty charakterem pupilki niż samo: „Sophie!”. Z kolei Dave i Luke wyjątkowo polubili przydomki Tuck i Tucker. „Tuck” zaskarbiało jej powszechny szacunek. Podobnie jak jej imienniczka, zachowywała się jak dama. Przydomek uwzględniał wszystkie elementy jej coraz mocniej ujawniającego się usposobienia. „Sophie” wyrażało jej opanowanie, pewność siebie i wytworność, „Tucker” – jej młodzieńczą energię, a ich połączenie mówiło o niej wszystko.

Gdy Bridget zapraszała swoich przyjaciół, Sophie zawsze była mile widziana. Było mnóstwo spontanicznych spotkań po szkole, a także przyjęć – imprez ze starannie zaplanowanymi strojami, które zazwyczaj odbywały się na terenie do grillowania przed domem i koncentrowały wokół basenu. Dom Griffithów był miejscem, gdzie dzieciom zawsze wolno było urządzać imprezy, dzięki czemu Dave i Jan mogli mieć oko na wszystko.

Kiedy Bridget i jej koleżanki wylegiwały się w bikini lub dekadencckich, zgodnie z najnowszą modą, nakryciach głowy, a ich koledzy w spodenkach kąpielowych coraz głośniej i głośniej opowiadali różne historyjki, Sophie, często w papierowej, szpiczastej czapeczce, siedziała na kolanach swojej pani, wyglądając cudownie. Znajomi Bridget byli pod urokiem Sophie i darzyli ją podziwem. Najmłodsza z Griffithów nie musiała daleko szukać, by znaleźć potwierdzenie, że jej własna słabość do pupilki była uzasadniona. Obie czerpały radość i korzystały z tego, że znajdowały się w centrum zainteresowania. Stanowiły wspianą duet i doskonale zdawały sobie z tego sprawę.

Choć Sophie ogromnie polubiła kąpiele w morzu, nigdy nie przewyciężyła nieufności, jaką budził w niej basen. Jeśli ktoś pływał, zawsze była gotowa do zabawy, ale przez większość czasu biegała wokół basenu, jakby chodziła na palcach. Sapała przy tym i cieszyła się. Czasem szczerknęła, gdy ktoś zanurkował lub zrobił jakikolwiek gest mogący świadczyć o zamiarze rzucenia jej piłki tenisowej. Gdy odwiedzał ich Luke, starał się zwabić Sophie na górny schodek basenu, zapewniając ją, że to taka sama woda jak ta, do której wskakuje na plaży. Robiła krok w dół, kładąc przy tym uszy do tyłu, ale też machając końcem ogona. I siedziała tam, z łapami i dołem tułowia zanurzonymi w wodzie, a Luke wzniecał rękami fontanny wody, ochlapując ją z czułością, żeby zlizywała krople. Niekiedy pozwalała Bridget wciągnąć się do wody na krótką chwilę, jednak zdecydowanie wołała pozostać na brzegu, czekając na zabawę piłką tenisową.

³ Sophie Tucker, właśc. Sonia Kalisz, ur. 13 I 1886 r., zm. 9 II 1966 r., amerykańska piosenkarka i aktorka wodewilowa pochodzenia ukraińskiego (przyp. tłum.).

Uwielbiała ocean, ale jak wiele psów bała się zamkniętego zbiornika wodnego, jakim jest basen.

Sophie miała swoich ulubieńców wśród przyjaciół Bridget. Lubiła zwłaszcza jednego z jej kolegów, który przeważnie ją ignorował, nawet gdy siedziała obok niego. Należał do tego rodzaju chłopców, którzy nie mówią zbyt wiele, ale gdy już się odezwą, wszyscy ich słuchają. Sophie siadała u jego boku, niewzruszona tym, że nie zwraca na nią uwagi, jakby czując w nim swego rodzaju bratnią duszę. Jednak, aby upewnić się, że nie ominą ją żadne ewentualne pieśczoćy, podchodziła do Bridget i innych, lubianych przez nią znajomych dziewczyny, kładła łeb na ich nogach i machała ogonem w przewidywaniu przyjacielskiego poklepywania i głaskania.

Ale nie wszystkich traktowała tak samo. Dość wybiórczo okazywała uczucia i zdawała się intuicyjnie wyczuwać osoby zachowujące się nieodpowiednio. W niektórych momentach wyglądała tak, jakby nie zwracała specjalnej uwagi na trwającą wokół niej zabawę – leżała z głową między łapami. Jednak zawsze przypominała o swojej obecności, gdy bawiących się zaczynała rozsadzać energia w sposób, który jej się nie podobał. Jeżeli ktoś robił się nieznośny, bo kołysał się na stojąco i zawzięcie trajkotał, Sophie dawała mu to odczuć. Podchodziła do niego i siadała między nim a resztą gości. Zazwyczaj był to ktoś, kto zdaniem Bridget zaczynał tracić nad sobą kontrolę. – Było tak, jakby Sophie dawała mu delikatne ostrzeżenie: „Uspokój się, bo w przeciwnym razie dam ci nauczkę” – opowiada Bridget.

W ciągu zaledwie trzech miesięcy od zjawienia się u Griffithów Sophie zajęła istotne miejsce w życiu rodziny i wzbudziła zachwyt prawie każdego, kogo spotkała. Jordy nigdy nie zostanie zapomniana, ale jej następczyni okazała się bardziej niezwykła, niż Bridget i Jan mogły przypuszczać, gdy zapalały do niej miłością w sklepie zoologicznym. Szczególnie Bridget była oddana swojej suczce. W rzeczywistości więź między sunią a jej nastoletnią panią zapoczątkowała nową erę w stosunkach Griffithów z psami. Do tej pory Jan i Dave wyznawali poglądy, z których znakomity „zaklinacz” psów, Cesar Milian, byłby dumny: psy to psy, a ludzie to ludzie. Dotyczyło to zwłaszcza psów pasterskich. Hoduje się je do pracy na farmach, aby przez cały dzień, w palącym słońcu zaganiały bydło i owce. Dave zawsze twierdził, że gdyby Jordy była na farmie, „przywiązałyby ją do zbiornika wody i dwa razy na tydzień rzucił jej nogę kangura do zjedzenia”. Innymi słowy, traktował psy jak psy, a miejsce psów, zwłaszcza użytkowych, jest na dworze.

Tym razem jednak Bridget i Sophie od samego początku znajdowały sposoby, by nie podporządkować się temu. Dziewczyna wpuszczała po cichu Sophie do domu i sadzała ją sobie na kolanach, gdy oglądała powtórki *Seksu w wielkim mieście*. Logicznej argumentacji Bridget nie można było nic zarzucić. Przecież Sophie nie siedziała na kanapie, tylko na niej! Ponadto Jan i Dave zdawali sobie sprawę, że gdy nadchodziła pora snu, Bridget, zamiast wypuścić suczkę na dwór, tak jak powinna, przemykała na paluszkach obok ich sypialni, niosąc ją w ramionach i zasypiały razem – Sophie w końcu łóżka, grzejąc nogi ich córki. Rodzicom trudno było zaprotestować, skoro tak cudownie czuły się w swoim towarzystwie, lecz ich pobłażliwość spowodowała, że starsze rodzeństwo nie raz w zdumieniu unosiło brwi.

Podczas jednej z wizyt Ellen zauważyła, że nastawienie Griffithów zmieniło się, odkąd pojawiła się u nich Sophie. Stwierdziła, że wszystkie dawne zasady zostały złamane. – Nieustannie zadziwiał mnie, jak daleko Bridget i Sophie ośmieliły się posunąć – wspomina. – Faktem było, że Bridget niańczyła ją jak niemowlę i Sophie stopniowo zdobyła wstęp na schody wejściowe, za drzwi domu, do salonu... Jordy wpadała w kłopoty, nawet gdy usiadła na schodach wejściowych.

W wolniejszym czasie, gdy Bridget nie biegała z treningów koszykówki na przyjęcia urodzinowe, godzinami przesiadywała z suczką na frontowych schodach. To było ulubione miejsce nastolatki do siedzenia i rozmyślenia, albo po prostu siedzenia. Sophie zawsze się do niej przyłączała i układała się u jej stóp lub związała się obok niej. We dwie spoglądały w dół

schodów, gdy słońce oświetlało boczną część podwórza. Nastolatka snuła plany na przyszłość, a Sophie po prostu żyła chwilą bieżącą, rozkoszując się towarzystwem swojej pani.

Jednak nie wszyscy przeszli do porządku nad łamaniem dotychczasowych zasad. Gdy Lukę wrócił na kilka dni do domu, a Bridget nie było w pobliżu, Sophie miała okazję poznać podejście Luke'a Griffitha do opieki nad psami. Zamieszkał na dole, w pokoju telewizyjnym, skąd mógł planować ataki na coraz bardziej uprzywilejowaną pozycję Sophie.

– Próbowałem ją zdenerwować, aby się przekonać, czy ma w sobie coś z kundla – wspomina. – I okazało się, że tak. Miała w sobie wiele z dingo. – Sophie biegała dookoła, gdy Lukę ją gonił. Przemykała się chyłkiem i skradała się wokół samochodów zaparkowanych pod wiatą. Potem spędzili razem długie godziny: Lukę rzucał jej piłkę, a ona przynosiła ją, aż na niebie pojawiły się gwiazdy. Chłopak wykradł ojcu z lodówki puszkę piwa Fosters, aby napić się przed snem, i przysnął na podjeździe, głaszcząc Sophie. – Obudziłem się, gdy lizała mi twarz, przypominając mi, że powinienem pójść do łóżka.

Prawdę mówiąc, nawet Lukę, największy fan Jordy, nie był odporny na urok Sophie. – Miała zadatki na przywódcę stada. Tak się zachowywała – opisywał Sophie, wspominając pobyt na plaży, gdy była zbyt zajęta gonieniem innych psów, aby zareagować na kilka pierwszych wezwań.

Lukę zabrał Sophie na swoją pierwszą randkę z Heather. Zależało mu, by suczka poszła z nimi na plażę. – Pomyślałem, że warto wziąć ją ze sobą na wypadek, gdybym potrzebował wymówki, aby móc się pożegnać – przyznaje, przypominając sobie, jak wymyślił, że zawsze może udawać, iż zachowanie psa wymknęło się spod kontroli i trzeba go stamtąd zabrać. Okazało się jednak, że Sophie nie była mu potrzebna w tej roli. I całe szczęście, ponieważ zachowywała się wprost rozkosznie. Pogoniła kilka psów i brodziła w płytkiej wodzie. W końcu oczarowała Heather, tak samo zresztą jak i Luke. Choć chłopak zmiękł pod wpływem uroku Sophie, wciąż surowiej oceniał charakter suczki niż jego młodsza siostra. Niewątpliwie jej gracia i entuzjazm, jej lojalność i powab budziły w nim podziw, ale zdawał sobie też sprawę, że wykorzystywała swój wdzięk. – Należy do tych psów, które nieco wypinają pierś.

Za tym wszystkim krył się braterski żal, że Sophie – podobnie jak Bridget – była łagodniej traktowana przez rodziców niż on. Bridget, jak na razie, jest najmłodsza w rodzinie i za jej czasów rodzinny biznes się rozkręcił, a Dave częściej przebywał w domu, nawet popołudniami, gdy wracała ze szkoły. Luke twierdzi – ze skrywaną czułością – że obie są równie okropne: bystre, afektowane oraz potrafią postawić na swoim w każdej sytuacji i trafić każdemu do serca. – Sophie nieco przypomina Bridget. Wie, jak rzucić na kogoś czar – wyznaje Luke. – Sądzę, że to gra. Doskonale wie, jaki jest każdy człowiek i czym można go ująć. Ma intuicję.

Z kolei Bridget przyznaje, że nie przepadała za Jordy. Natomiast gdy opisuje Sophie, roztkliwia się jak matka dumna ze swojej latorośli.

Mimo całego uwielbienia Bridget dla Sophie, nadchodził kres tego romantycznego okresu. Suczka pojawiła się w życiu dziewczyny tuż przed wkroczeniem przez nią w nowy etap – przed rozpoczęciem ostatniego roku szkoły średniej i pójściem na studia. Miała zaledwie szesnaście lat, gdy błagała Jan o zgodę na trzymanie psa. Wykazała się wówczas straceńczą determinacją po części dlatego, że zdawała sobie sprawę, że to naprawdę jej ostatnia szansa. Już za rok czekał ją wyjazd na uniwersytet. W tym czasie miała mnóstwo spraw do załatwienia, a niektóre z nich zmuszały ją do oddalenia się z domu.

Zaledwie kilka miesięcy po wejściu przez Sophie do rodziny Griffithów Bridget miała wyjechać na miesiąc do Niemiec w ramach programu wymiany kulturalnej. Była rozdarta. – Niemal zrezygnowałam z wyjazdu, bo miesiąc tęsknoty to długo dla szczeniaka – wspomina, a mówi, jak nowo upieczona matka stojąca przed wyborem, czy ma zostać w domu, czy też wrócić do pracy.

Ostatecznie jednak pojechała i oczywiście w ciągu tego miesiąca dużo się wydarzyło. Bridget cierpiała na zatrucie pokarmowe i spędzała dni na podłodze łazienki goszczącej ją rodziny, wymiotując, walcząc z chorobą i nieznaną niemieckiego. Tymczasem Sophie nadal nabierała ciała. Już się nie chwiała, gdy szła, sierść jej ściemniała, a łeb się poszerzył. Wydawało się, że zmiany te zaszły w ciągu kilku dni. Gdy dziewczyna poznawała życie za granicą (wcale nie takie łatwe, jak się okazało), suczka zmieniła się w roztaczające blask stworzenie, nadające się do reklamy psiej karmy.

Co ważniejsze, stała się psem Dave'a. Psy pasterskie, tak jak nastoletnie dziewczęta, potrzebują przyjaciela. Gdy zabrakło Bridget, z którą Sophie jeździła po mieście i przesiadywała przy basenie, sadowiąc się pod leżakiem, potrzebowała kogoś, za kim mogłaby chodzić po domu, a Dave, który nie był szczęśliwy, jeśli nie miał filtru basenowego do naprawy albo misji do wypełnienia w sklepach, stanowił idealnego kandydata.

Od razu po powrocie do domu Bridget zrozumiała, że sytuacja się zmieniła. – Wracalam z nadzieją, że nadal będę jej faworytką, a okazało się, że już nie. Gdy byłam w Niemczech, stała się pieskiem tatusia – wyznaje Bridget. Przekonała się, że suczka zaczęła stawiać ją na drugim miejscu – zawsze, gdy miała wybór, trzymała się Dave'a. Na przykład Dave siedział przed domem z gazetą, Bridget była gotowa pójść z nią pobiegać, a Sophie, spoglądając to na jedno, to na drugie, stała między nimi rozdarta. – Wciąż mnie kochała, a jednak ją straciłam.

Sophie bardzo przywiązała się do pana domu. Dave powoli stał się jej głównym opiekunem, co wydaje się nieuniknione w przypadku wszystkich psów w ich rodzinie. Tak jakby suczka postanowiła, że będzie on lekiem na nieobecność Bridget. Z jego strony nie było to rozmyślnie postępowanie, po prostu tak działał na psy. Przemawiał do nich, a one uwielbiały przesiadywać z nim, gdy zajmował się czymś w ogrodzie lub kręcił się wokół basenu. Jan ma proste wytłumaczenie: – Nie robię takich rzeczy, które psy uwielbiają robić, a Dave owszem. – Jest ruchliwy i pracowity, nie lubi siedzieć za długo w jednym miejscu i rozumie, że psy są pod tym względem podobne do niego. To właśnie on nalegał, aby psy Griffithów były codziennie wyprowadzane, a gdy zanosilo się, że ze spaceru nic nie wyjdzie z powodu ulewnego deszczu, robił się prawie tak samo niespokojny jak Sophie. – Psy nie będą szczęśliwe, potrzebują spaceru – mruczał.

Gdy Bridget wyjechała, karmił Sophie i zagadywał do niej. Był to decydujący okres jej życia, zmieniała się z zaspianego szczeniaczka w pewnego siebie psa. Rzucił jej piłkę tenisową nad basenem, którą łapała w pysk, upuszczała do wody, a następnie popychała w stronę Dave'a, aby ją wyciągnął. Wymachiwał węzem ogrodowym, aby Sophie mogła za nim gonić i kłapiąc szczękami, godzinami, jak się wydawało, próbować złapać wodę. Zabierał ją samochodem do rzeźnika, tak jak robiła Bridget. Psica siadała na fotelu pasażera i ze stojącymi uszami na zmianę patrzyła to na drogę przed sobą, to na Dave'a. We dwoje jeździli na niekończące się weekendowe wypady na plażę. Sophie naprawdę uwielbiała morze. Bridget informowała o tym resztę rodziny, ale teraz Dave sam się o tym przekonał. Suczka rzucała się na tylne siedzenie samochodu, aby wystawić łeb przez okno, gdy dojeżdżali na wybrzeże. Wyglądała, jakby próbowała wdychać morskie powietrze, węsząc i szczekając, a na jej pysku malowała się nieklamana radość. Gdy z dala od ludzi Dave zdejmował jej smycz, natychmiast ruszała pędem, kierując się prosto do wody.

Po powrocie Bridget z Niemiec nastolatka i suczka wciąż były dobrymi kumpelkami. Sophie nadal wybiegała w jej kierunku, gdy nastolatka wjeżdżała czerwoną hondą przez frontową bramę, i lojalnie towarzyszyła jej, gdy liczyła punkty swojej drużyny koszykarskiej. Bridget wróciła o kilka kilogramów szczuplejsza i pełna energii do zabaw ze swoim ukochanym szczeniakiem, jednak Sophie nie była za nią stęskniona ani zła kniona jej uwagi, na co dziewczyna trochę liczyła. Jadła z ręki kogo innego i zdawała się rozumieć, że na dłuższą metę może liczyć tylko na Dave'a, a nie na Bridget, że to on będzie rzucać jej kawałki

mięsa i ryb z grilla, gdy wiernie usiądzie obok niego. Suczka jakby domyśliła się, że dziewczyna będzie wyjeżdżać i wracać, a Dave zostanie tu na dłużej.

Teraz Sophie miała nie jedną, a dwie ukochane osoby rywalizujące o nią. Być może wiedziała, co robi – zyskała dwa razy więcej miłości, gdy Dave i Bridget prześcigali się w staraniach o miano jej faworyta.

We dwoje zabierali ją na jedną z cichych plaż w Mackay, co stawało się okazją do treningu zarówno dla córki, jak i dla psiaka. Gdy Dave trzymał Sophie, wierzgając łapami i starając się uwolnić z uścisku, Bridget sprintem biegła wzdłuż plaży. Suczka skomlała, wyginała tułów i nawet wrywało jej się kilka szczęknięć o wysokim tonie, zanim Dave pozwalał jej ruszyć w pogoń. Z wywieszonym językiem, rozradowana gnała od najlepszego przyjaciela do najlepszej przyjaciółki. Doganiała Bridget i biegła przed nią w kółko, zmuszając ją tym do ostrego hamowania. Sophie pokazała, że świetnie rozumie, na czym polega zabawa, a nawet była w niej o krok do przodu. Wydawało się, że zagania Bridget, tak jakby spędzała bydło czy owce na farmie. Nie chwyciła jednak zębami za kostki ani nie gryzła po nogach, co leży w naturze psów pasterskich, specjalnie wyselekcjonowanych w tym kierunku, aby potrafiły poskromić pilnowane stado. Sophie była w swoim żywiole i informowała o tym swoją rodzinę. Na zmianę spoglądała na Dave'a i Bridget, gdy w trakcie zabawy robili sobie krótkie przerwy, i z radością merdała ogonem, jakby chciała powiedzieć: „Czyż to nie wspaniałe?”. Ojciec i córka z podziwem zachęcali ją do zabawy. – Biegnij, Tuck! – wołał Dave, gdy wypuszczał ją z objęć. Bridget podbiegała do brzegu oceanu, a Sophie podążała za nią aż do wody, aby się ochłodzić.

Potem zabawa zaczynała się od nowa. Dziewczyna kazała psu zostać, a Sophie, ciężko oddychając, patrzyła na Dave'a, jakby chciała powiedzieć: „Muszę czekać?”. Przytrzymał ją, gdy córka znowu oddalała się plażą. Suka wrywała się, czekając, aż jedno z nich da jej sygnał do startu. – Chodź, Sophie! – wołała Bridget i pies ruszał do biegu jak dziecko na szkolnych zawodach lekkoatletycznych.

Natomiast rezultat wszelkich prób odzyskania przez Bridget najlepszej przyjaciółki był z góry do przewidzenia. Nawet gdy wybierali się razem na wycieczkę i Sophie wsiadała do samochodu, a dziewczyna siedziała już w środku, suczka, zanim wskoczyła na siedzenie pasażera, stawała, oglądała się na Dave'a schodzącego schodami, czekała na niego i wsiadała razem z nim. Niepewnie przy tym zerkała to na Bridget, to na Dave'a, choć nastolatka pstrykała palcami, aby zwabić ją do auta. – Miałam ochotę jej powiedzieć: „Czyżby ostatnie pół roku nic dla ciebie nie znaczyło?” – żartuje teraz Bridget, choć miała powody czuć się nieco urażona.

Bridget przyznaje jednak, że ona też się zmieniła i nie mogła już poświęcać swojej najlepszej przyjaciółce tyle samo czasu co wcześniej. W 2006 roku, gdy Sophie miała sześć miesięcy i rosła, dziewczynę pochłaniała nauka w ostatniej klasie szkoły średniej i przygotowania do następnego etapu jej życia. Była zajęta bardziej niż kiedykolwiek, angażowała się we wszystkie zajęcia dostępne gorliwym uczniom klasy maturalnej: w szkolny musical, debatę, medytację, netball, ligę rugby i koszykówkę. Ponadto razem z Jan trenowały drużynę koszykarską, biorąc na siebie kolejny cotygodniowy obowiązek, ale na tych zajęciach Sophie była stałym widzem. Dla Bridget był to czas ekscytujący, ale jednocześnie pełen smutku. Wiedziała, że nieubłagane zbliża się chwila, gdy będzie musiała pożegnać się ze swoim wygodnym dzieciństwem w małym miasteczku i stawić czoła nowym, nieznanym wyzwaniom. Nieustannie odbywały się imprezy, a potem nastąpiły końcowe okrzyki radości, przedstawienie szkolne i ceremonia zakończenia roku, na które Jan wynajęła zabytkowy samochód z kierowcą dla Bridget i jej przyjaciół.

Jednak żadne uroczystości nie mogły odwlec nieuniknionego. Zbliżał się nowy rok i gdy nadszedł dzień, w którym nastolatka musiała wyjechać, było to dla niej bolesne. – W końcu wyjechałam dwa tygodnie wcześniej, ponieważ nie mogłam już znieść tych ciągłych

pożegnań. – Nawet jej rodzeństwo, Matthew i Ellen, mieszkający już w Brisbane, gdzie Bridget miała studiować, wydawało jej się nieco obce. Była zadowolona, że będzie ich miała w pobliżu, ale dzieliła ich ogromna różnica wieku i wciąż traktowali ją jak małe dziecko. Sophie, co jest typowe dla psów, zdawała się wyczuwać zamieszanie. Wreszcie nadeszła chwila, której nadejście przeczuwała – chwila opuszczenia domu przez Bridget.

O świcie w dniu wyjazdu z Mackay Bridget, z pomocą Jan, zapakowała samochód, a Luke wyniósł przed dom po kubku kawy dla każdego. Był deszczowy dzień na początku lutego 2007 roku. Luke i Dave stali na podjeździe. Młodzieniec, który rozpoczął pracę w rodzinnej firmie, gawędził z ojcem o nadchodzących pracach elektrycznych i dzielił się z nim różnymi plotkami. Dave doceniał, że chłopak stara się zająć mu uwagę, lecz kątem oka obserwował córkę, o twarzy pokrytej trądzikiem i z poważną miną, prawie gotową do wyjazdu. Był z niej dumny, ale też i zadowolony z paplaniny Luke’a. Matka, która miała towarzyszyć Bridget do Brisbane, nieustannie wzniecała zamieszanie, starając się dopilnować ostatnich przygotowań. Robiła, co mogła, aby się nie rozkleić. Płkanie nie było w jej stylu, a skupienie się na sprawach praktycznych pozwalało jej tego uniknąć.

Wszyscy byli tak zajęci, że Sophie mogłaby nawet wziąć się pod boki, a nikt nie zwróciłby na to uwagi.

– Wskoczyła do samochodu i nie chciała z niego wyjść – wspomina Bridget, która wciąż wzrusza się, gdy myśli o tamtym dniu.

– Jakby chciała powiedzieć: „Wiem, że wyjeżdżasz i nie wrócisz, więc nie wyjdę z auta”. – Usadowiła się na miejscu pasażera, a dziewczyna czekała w fotelu kierowcy, głęboko wzdychając, niezdolna do dalszych pożegnań z Davem i Lukiem. Wzięła suczkę w ramiona, mocno ją uściskała i próbowała wypchnąć na zewnątrz. Sophie nie dała się wyrzucić, schowała ogon między łapy i nie patrząc na Bridget, siedziała nadąsana. – Byłam przygnębiona, po prostu przybita, czułam, że muszę stamtąd odjechać.

Sophie nawet nie drgnęła. W końcu Dave chwycił wierną sukę za obrozę i ją zabrał. Czepiała się pazurami, gdy wyciągał ją z samochodu.

Bridget i Jan wyjechały z Mackay, słuchając piosenki, którą dziewczyna wybrała na tę okazję: *Half the World Away*⁴ zespołu Oasis. Żadna z nich się nie obejrzała.

⁴ *Half the worldaway* (ang.) – o pół świata stąd (przyp. tłum.).

Rozdział 3

Puste gniazdo i trochę dąsów, a pies Griffithów przechodzi do historii

Sophie dąsała się wiele dni. Straciła swój imponujący apetyt, nie podbiegała nawet po smakowite kąski z grilla. Nadal, cała radosna, witała podskokami Jan i Dave'a, gdy wracali do domu, ale później oddalała się na szczyt schodów prowadzących na werandę, gdzie spędziły z Bridget wiele godzin, oddając się marzeniom, skąd wyglądała jej smętnym wzrokiem. Leżała, trzymając łeb między łapami i wznosząc oczy do góry, jakby brakowało jej energii, by unieść łeb. Jan i Dave zaczęli się martwić, gdyż trwało to prawie tydzień, zanim Sophie zrozumiała, że Bridget nie wróci w najbliższym czasie, i zaczęła odzyskiwać ochotę na steki i kontakty towarzyskie. Pewnego dnia położyła piłkę tenisową u stóp Dave'a, gdy siedział nad basenem, i spojrzała na niego, merdając przy tym ogonem, jakby chciała mu w ten sposób przekazać: „Czas rozpamiętywania minął, bawmy się!”.

Wyjazd Bridget wyznaczył koniec pewnej epoki dla każdego z członków rodziny Griffithów. Rodzice tęsknili za obecnością najmłodszej pociechy wnoszącej wiele życia do domu, ale byli też z niej dumni i zaczęli pomału cieszyć się tym, że ich samych wiele jeszcze w życiu czeka. Cała ich ciężka praca w rodzinnej firmie opłacała się, żyli w jednym z najpiękniejszych miejsc na świecie i mieli Sophie.

Sophie była darem niebios, zwłaszcza dla Jan. W natłoku zajęć w ostatniej klasie Bridget i zamieszaniu towarzyszącym przygotowaniom do jej wyjazdu Jan udało się nie myśleć za wiele o tym, jakie będzie jej życie, gdy najmłodsze dziecko opuści rodzinny dom. Od czasu, gdy wiatach 70. urodziła pierwszą dwójkę dzieci, nieustannie gotowała, opiekowała się, wychowywała i była tak aktywna w szkołach, jak tylko może być rodzic. Teraz musiała przywyknąć do pustego domu, bez dzieci. Przez ostatni rok szkolny córki była bardziej aktywna niż kiedykolwiek dotąd i lubiła taki tryb życia.

Toteż gdy Jan, po tym, jak pomogła pełnej obaw Bridget przetrwać kilka pierwszych dni w dużym mieście, wróciła do Mackay i weszła do kuchni, panowała w niej tak głęboka cisza, że niemal dało się słyszeć, jak trzeszczą ściany. Przez kilka kolejnych dni czuła się naprawdę przygnębiona. W jej życiu powstała wielka wyrwa. Popadała przez to w otępienie, a jednocześnie odczuwała niepokój. Myślała podłogi, zastanawiając się, co ugotować, czy przemeblować salon albo czy zgłosić się na ochotnika do pomocy w bibliotece. Gdyby nie Sophie, mogłaby popaść w głębsze przygnębienie. – Świat usunął mi się spod nóg – wyznaje Jan.

Bridget stopniowo przywykała do będącej dla niej czymś zupełnie nowym wolności w Brisbane i uczyła się z niej korzystać, ale bardzo tęskniła za domem. Telefonowała, czasami zapłakana, i zawsze pytała o to samo: – Jak pies? – Jan dość niechętnie opowiadała jej, jak wspaniale miewa się Sophie, że wszędzie za nią chodzi i dotrzymuje jej towarzystwa. Nie chciała także jej powiedzieć, że suczka była w posępnym nastroju przez kilka dni i bardzo za nią tęskniła, aby nie pogłębiać tęsknoty córki. Mimo to wychodziła na schody, gdzie psina sobie spała, i przykładała jej słuchawkę do ucha.

– Sophie Tucker! – wołała Bridget do telefonu, a Sophie zadzierała łeb i strzygła uszami, rozglądając się wokół, aby ustalić, skąd dochodzi dźwięk. Bridget mogła długo tak przemawiać do suczki, a Jan czuła się w obowiązku pomóc córce przystosować się do nowego życia. – To było nieco żałosne, naprawdę – żartuje teraz Jan. – Dziwnie się czułam, gdy mówiła do psa przez telefon.

W tym czasie, mimo całej matczynej frustracji Jan, powstała więź między nią a Sophie. Zabrakło Bridget, a Dave był w pracy lub na przystani polerował Honey May i gadał z kumplami, toteż Sophie zaczęła się przywiązywać do Jan. Mniej więcej po tygodniu Jan zdała sobie sprawę, że jedynym sposobem na pokonanie smutku jest wyjście z domu i aktywność. Zaczęła zabierać suczkę na spacer, co zwykle należało do Dave'a. Późnym popołudniem wybierały się do miejscowego ogrodu botanicznego i znajomi Jan widywali je idące drogą, przy czym Sophie ją ciągnęła, jakby brały udział w zawodach w przeciąganiu liny. Pies parł ścieżką do przodu, z nosem przy ziemi, a Jan odchyłała górną część tułowia do tyłu, próbując zachować kontrolę nad sytuacją, ale bez skutku. Na tych spacerach zwykle łagodna suka pokazywała swą nieokiełznaną naturę, nieustannie szarpała za smycz, czasem nawet tocząc pianę z pyska, gdyż chciała iść trochę szybciej. Musiała czuć ból, ponieważ smycz wrzynała się jej w skórę, a kaganiec wbijał się w szczękę, ale wszystko to nie miało dla niej żadnego znaczenia ani nie powstrzymywało jej od parcia szybciej i dalej.

– W ogóle się nie poddawała – mówi Jan, która pamięta, że nawet prowadzona na smyczy dzika Jordy zachowywała się lepiej. Po trzech czy czterech spacerach doszła do wniosku, że bezustanne powściągnięcie jej przez Luke'a i Dave'a, duszenie się i toczenie piany z pyska jest po prostu nieprzyjemne. Ale nie Sophie, wyprowadzanie jej nie było łatwe.

Z czasem Jan i Dave zaczęli przywykać do nowej rzeczywistości i nastroj w domu Griffithów stopniowo się poprawiał. Ale Bridget nadal cierpiała z powodu oddalenia od rodzinnego miasta. Dzwoniła codziennie. Zaledwie kilka tygodni po jej wyjeździe wypadał wielkanocny długi weekend i przyleciała samolotem do Mackay. Matka czekała na nią na lotnisku. Ogromnie się cieszyła ze spotkania z córką, ale martwiła się też, że wizyta w domu przedłuży jej okres przystosowywania się do nowego życia. Niezależność wcale nie wprawiała najmłodszej Griffithówny w zachwyt i Jan czuła, że po części przyczyną tego stanu rzeczy jest to, że było jej tak dobrze w domu.

Mimo swych obaw Jan nie zamierzała żałować córce domowych przyjemności i smakołyków. Jako dobra matka upiekła z okazji tej wizyty jedną ze swoich słynnych lasagne i ulubione ciasto Bridget – morelowe z lukrem. Przygotowała tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla kilku takich rodzin jak Griffithowie.

Długo wyczekiwane spotkanie Bridget z Sophie było momentem godnym pokazania w telewizji. Jan z córką wjechały przez bramę w czwartkowy wieczór przed Wielkanocą, w chwili, gdy słońce zaczynało zmieniać kolor na pomarańczowy, a lekka bryza poruszała liście palm. Sąsiedzi zapewne usłyszeli piski i skowyt Sophie. Już od kilku dni zdawała sobie sprawę, że coś się dzieje, stawiała i opuszczała uszy, gdy szła za Jan, która była pełna wigoru i bardziej gadatliwa niż w poprzednich tygodniach. Gdy suczka podbiegła do samochodu, natychmiast zorientowała się, że nie tylko Jan w nim siedzi. Zaczęła mruczeć z głębi gardła, a energiczne machanie ogonem przeszło w potrząsanie całym zadem, gdy Bridget otworzyła drzwi i zawołała: „Sophie Tucker!”. Sunia nie zdążyła wskoczyć do samochodu, a dziewczyna już była na zewnątrz. Wzięła na ręce swoją pupilkę, już dojrzałą i znacznych rozmiarów. Obróciła ją do siebie i rozplakała się. Matka potrząsnęła głową. – Postaw ją na ziemi, głuptasie – powiedziała, promieniejąc.

Bridget nie posłuchała. Nosiła psa na rękach prawie przez cały weekend. Jeszcze tego samego wieczora, gdy podbierała plasterki pomidora i czerwonej cebuli z przygotowywanej przez matkę sałatki, podskoczyła do siatkowych drzwi, przez które przyglądała im się Sophie, wzięła ją na ręce, wniosła do środka i posadziła na podłodze w kuchni. Sama też usiadła,

wyciągając swoje długie nogi przed psicą. Kołysała suczkę, która położyła łapy na nogach dziewczyny, gdy Jan zajmowała się gotowaniem.

Dave stanął w drzwiach kuchni i pokiwał głową, widząc córkę i jej najlepszą przyjaciółkę tulące się jedna do drugiej. – Żałosne – powiedział, kręcąc głową. Tylko oczy mu błyszczały, pełne uwielbienia.

Weekend minął na licznych rozmowach, nawet do późna w nocy, o uniwersytecie i studiach Bridget. Czy podoba jej się przedsiębiorczość i handel, tak jak Matthew? A może nadal chce zajmować się aktorstwem, jak zawsze marzyła? Dave i Jan przekonywali ją, że połączenie jednego z drugim byłoby lepsze. Przez cały czas Sophie była obok – stała przyciśnięta do siatkowych drzwi, zadowolona, że jest blisko tego, co dzieje się na obiadowym stole, albo leżała brzuchem do góry otoczona ramieniem Bridget, siedzącej przed telewizorem na kanapie obitej zieloną skórą. Była tam, gdy znajomi dziewczyny przyszyli, żeby popływać, i stała na podjeździe na szeroko rozstawionych łapach, z zamglonymi oczami i opuszczonymi uszami, gdy Jan i Dave wyjeżdżali przez bramę, aby odwieźć swoją studentkę na lotnisko.

Ta wizyta Bridget, i kilka następnych, które nastąpiły wkrótce potem, pozwoliła ukoić trapiące wszystkich niepokoje. Bridget coraz lepiej radziła sobie w Brisbane, a Jan i Dave zaczęli w pełni korzystać ze wszystkich dobrych rzeczy, jakie życie miało im do zaoferowania. – Kolejny dzień w raj – tak Dave częstokroć witał nowy dzień w Mackay. Z kuchennego okna spoglądał na ogromne drzewo wianowłostki królewskiej za domem i podziwiał skąpany w promieniach słońca figowiec sąsiadów. Następowало to jednak dopiero, gdy Sophie z mlaskiem opróżniła miskę. Psina w niektóre poranki zrywała się o szóstej, w inne – o ósmej. Była towarzyskim stworzeniem, więc pora pobudki zależała od tego, jak spędziła poprzedni wieczór: czy chłoneła atmosferę jednego ze słynnych przyjęć Jan, czy po prostu kręciła się za Jan i Davem po terenie do grilla albo leżała u ich stóp, gdy oglądali telewizję.

W większość poranków suczka pchnięciem otwierała drzwi do sypialni państwa i podchodziła do łóżka po stronie Dave'a, zawsze delikatnie stawiając łapy na parkiecie. Jeśli Dave spał, siadała tak blisko krawędzi łóżka, jak mogła, z nosem parę centymetrów od Dave'a, i spokojnie czekała. Jeśli nie obudził się w odpowiednim czasie, unosiła łapę i kładła ją na jego ramieniu. Gdy Dave otwierał oczy, jego wzrok padał wprost na suczkę, która zaczynała merdać ogonem i odwracała się, aby go poprowadzić. Kiedy unosił kołdrę, spoglądała w tył na niego, tułów mając nadal skierowany w stronę drzwi. Wyprowadzała bosego mężczyznę z pokoju, mijając Jan, która rzucała zaspane: – Cześć, kochanie! – drapiąc ją przy tym po karku.

W ciągu tygodnia Sophie spędzała wczesne ranki z Davem – przynosiła mu „Daily Mercury” z podjazdu i siadała obok niego, a on rozpakowywał i czytał gazetę. Później wychodził do pracy, a suczka szła szukać Jan. Najmniej lubianą przez Sophie porą dnia była za kwadrans ósma. Wtedy Jan, świeżo wyperfumowana i ze swobodnie ułożoną krótką blond fryzurą, schodziła schodami z torebką na ramieniu i kluczami w prawej dłoni. Sophie wiedziała, co to oznacza – zostanie sama. Nigdy jej się to nie podobało. Przystawała machać ogonem i przebierać łapami na betonie pod wiatą samochodową. Smutnymi oczami, między którymi rysowała się zmarszczka, spoglądała w górę na Jan i mrugała. Ten widok codziennie łamał kobiecie serce. Gdy klikała pilota, aby zamknąć za sobą bramę, zostawiała Sophie stojącą na środku podjazdu, odwracającą głowę, ale obserwującą wyjazd Jan do pracy.

Codziennie rano Jan udawała się do Dave Griffith Electrical Services, aby zająć się finansami firmy i sprawami administracyjnymi (a także plotkowaniem z Megan, nadzwyczajną asystentką Dave'a). Ale to następowało później, gdyż najpierw wstępowała na śniadanie do kawiarni Oscar's w centrum Mackay. Koniec z tostami i marmoladą oraz kawą

błyskawiczną w domu. W dniu, w którym wyjechała Bridget, Jan stała się amatorką latte pitego rano na mieście.

– Była jedną z najważniejszych naszych klientek – mówi właściciel kawiarni John Flanagan, którego żona, Lauren, zna Jan od czasów nastoletnich. Zawsze, gdy przychodziła do lokalu, wyglądała elegancko i kolorowo, buty zwykle miała dopasowane kolorystycznie do któregoś elementu garderoby, miała naszyjnik lub pasek na swetrze. Odkąd dzieci opuściły dom rodzinny, Jan zaczęła prowadzić coraz bardziej wielkomiejski styl życia w swoim małym miasteczku. Jeździła eleganckim srebrnym Nissanem 350Z, za którym oglądali się wszyscy siedemnastoletni chłopcy, gdy mknęła nim uszmkowana i z blond fryzurą. Jan twierdzi, że nie dba o samochody tak bardzo jak o buty i ubrania, lecz Dave powiedział jej, że zasługuje na odrobinę więcej frajdy na emeryturze. – I sprawia mi to frajdę – przyznaje.

Niekiedy Jan jadła śniadanie sama. Gawędziła wtedy z kelnerkami, zwykle Europejkami lub Kanadyjkami pracującymi podczas wakacji, albo przysiadła się do Desley – wiodącej życie singielki, siedemdziesięcioletniej artystki o niezwykłej skórze i bogatej przeszłości. Przeważnie Dave dołączał do Jan po wstąpieniu do biura, gdzie już zaplanował dzień oraz spotkał się z Lukiem i „elektrykami”.

Ściany kawiarni Oscar’s zdobią zdjęcia hollywoodzkich gwiazd: Marilyn Monroe, Jamesa Cagneya, Lauren Bacall, Steve’a McQueen, Charliego Chaplina i długowłosego Brada. Upamiętniono tam jeszcze jedną legendę – za automatem do kawy, nad szklaną gablotą z ciastami wisi oprawiony w ramkę artykuł z gazety o Griffo i jego kumplach surferach z czasów ich młodości. Zdjęcie przedstawia dwudziestokilkuletniego Dave’a z umięśnionym brzuchem, który tnie fale na długiej desce, w białej koszulce rozdartej od lewego ramienia do prawego biodra. John ukradkiem „pożyczył sobie” tę fotografię, gdy był na przyjęciu u Jan i Dave’a.

Po pracy w biurze Jan wracała do domu w porze obiadowej. Gdy tylko otwierała bramę, witała ją Sophie, która kręciła się cała zadowolona, trzymając w pysku piszczący kotlet schabowy, jedną ze swoich ulubionych zabawek. Kiedy skręcała na podjazd, suka zawsze czekała ożywiona pragnieniem, by rzucić różową, gumową zabawkę u stóp pani, jak tylko ta otworzy drzwi samochodu. – Witaj, skarbie! – mówiła Jan, a Sophie podnosiła na nią wzrok i kilka razy na przemian wysuwała i chowała język.

Niekiedy po obiedzie Jan wyciągała szcnotkę – to była jedna z ulubionych uciech Sophie. Nie mogła się opanować, gdy Jan lub Dave ją szcnotkowali. Wyginała się w ich kierunku, rozkoszując się okazywaną jej miłością. Jeśli do tego jeszcze doszła zabawa piłką tenisową, Sophie była w siódmym niebie, aż się śliniła. Unosiła łapę lub rozkładała tylne kończyny, całkowicie się poddając czesaniu.

Gdy Sophie odpoczywała, mogła leżeć godzinami, z brzuchem przyciśniętym do ogrodzenia lub drzewa, dokładnie w miejscu, gdzie padały promienie słoneczne. Czasami Jan patrzyła przez okiennice pokoju na piętrze i widziała suczkę stojącą nad basenem i patrzącą nad nim w dal, gdy jej uwagę zwrócił odgłos samochodu wjeżdżającego w ich uliczkę lub odległe szczekanie psa.

Po południu Sophie miała swoje stałe, sprawiające jej radość zajęcia z Davem. Zabierał ją na spacer po okolicy, co było bardzo energetyzującym wydarzeniem. Przechadzka sprawiała mu przyjemność, zawsze zachwycało go entuzjastyczne nastawienie Sophie do wyjścia i zainteresowanie, z jakim zatrzymywała się, aby zrobić siusiu albo przywitać się z nieznanymi. Nieważne, jaka była pogoda – nawet podczas sztormów w środku pory deszczowej Dave i Sophie wychodzili na spacer. Przyjaciele Jan widywali tego łysiejącego mężczyznę w żółtym płaszczu przeciwdeszczowym, gdy brnął w deszczu drogą, a Sophie ciągnęła do przodu, z ogonem i uszami postawionymi na alarm. Czasami jednak pogoda tak się rozszalała, że nie dało się wyjść na dwór. Jeśli rynnymi przelewała się woda, a na wszystkich ścieżkach i trawnikach robiły się błotniste kałuże, Jan mówiła: – To nie jest

pogoda na spacer. – Prywatnie Dave mógł się z nią zgadzać, spoglądał jednak na Sophie i wrzeszczał ramionami: – Przepraszam, koleżanko, pani zabroniła. – Przez resztę popołudnia Dave co jakiś czas mruczał pod nosem, że Sophie musi go za to nienawidzić.

Gdy we dwoje wracali do domu z długich spacerów, Sophie wychłępywała wodę ze swojej dużej, czerwonej, plastikowej miski pod schodami pod wiatą samochodową, a Dave otwierał pierwszą tego dnia puszkę piwa Corona i odkrawał kawałek cytryny, aby wycisnąć go do napoju. Po krótkiej przerwie na odświeżenie się Dave i Sophie, zachwycona tym, że jest bez smyczy, wychodzili na trawiasty skwer obok domu, gdzie psica mogła hasać, turlać się i węszyć pod figowcami i mangowcami, ile dusza zapagnie.

W niektóre dni sąsiad Dave'a z za płotu przyprowadzał swoje bulteriery, aby pobawiły się z Sophie na tyłach domu. Tęgie psy biegały oraz goniły się nawzajem, poszczekując, siłowały się, skakały na siebie i skowytały, pryskając śliną i wyrzucając łapy w powietrze. Jeśli sąsiada nie było w domu i nie mógł wyprowadzić psów, Sophie mknęła najkrótszą drogą do ogrodu, przy którym czekała na ich właściciela. Węszyła z nosem przy ziemi i gdy usłyszała szczekanie, biegała w tę i z powrotem wzdłuż ogrodu, jakby chciała powiedzieć: „Jestem tu. Dlaczego was nie ma? Pomyślcie, jak moglibyśmy się fajnie bawić!”.

Weekendy zarówno Jan, jak i Dave spędzali w domu, więc Sophie przez cały czas miała towarzystwo. Dave rozkładał ogólnokrajowe gazety na stole przed domem i spędzał długie godziny, czytając je i drzemiąc w słońcu. Suka była u jego boku. Czasami wślizgiwała się pod jego fotel, gdzie związała się w cieniu i zapadała w sen, kiedy indziej przynosiła piłkę tenisową i grzecznie kładła mu ją u stóp, jeśli była w nastroju do zabawy. Łagodna i samodzielna z natury Sophie była zadowolona dopóty, dopóki wokół niej znajdowali się ludzie i coś się działo.

Zdarzyło się coś, co zaskoczyło Matthew i jego żonę Melissę, gdy przyjechali z Brisbane na wakacje i usiedli z Jan i Davem w pokoju na dole, aby zrelacjonować sobie nawzajem wszystkie sprawy rodzinne. Młodzi opowiadali o wyczynach Bridget, która dość regularnie gościła u nich w piątki wieczorem na telewizyjnych transmisjach rozgrywek futbolowych. Informacja, że troje ich dzieci, które wyprowadziły się daleko od domu, może liczyć na siebie nawzajem, podniosła na duchu rodziców. Gdy siedzieli we czwórce, rozmawiając przy herbacie i upieczonym przez Jan, bananowym cieście, Sophie podeszła powoli do Matthew i oparła łeb na jego kolanach.

– O! – powiedział Matthew, nieco zdziwiony. Przyzwyczajony był do zachowań typowych dla Jordy, która przez lata gryzła i kąsała jego przyjaciół.

– Jest urocza, prawda? Całkiem inna niż poprzednie nasze psy.

Sophie zawsze chciała być tam, gdzie członkowie rodziny. Gdy Griffithowie gawędzili i żartowali, a Jan proponowała kolejne przekąski, Sophie chodziła od jednego gościa do drugiego i ocierała się nosem o kolana Melissy, z czułością patrząc na nią swymi brązowymi oczami.

– Cześć! – odpowiedziała Melissa suczce, drapiąc ją pod brodą. Potem odwróciła się do Jan, której wzrok wyrażał czysty zachwyt dla pupilki. – Masz rację. Jest po prostu wspaniała.

W kolejnych tygodniach i miesiącach po wyjeździe Bridget Dave i Jan obdarzali suczkę coraz większą uwagą, toteż pogląd, że miejsce psów jest na dworze, zaczął im się wydawać zbyt surowy. Oboje tęsknili za tymi wieczorami przed telewizorem, gdy nieposłuszna Bridget tuliła Sophie, trzymając ją na kolanach. Już wkrótce Dave nie był w stanie patrzeć przez siatkowe drzwi w pełne uwielbienia oczy suni i powiedzieć jej: „Dobranoc!”, jeśli w Mackay padało lub wiał zimny wiatr. Wychodził na zewnątrz, a Sophie patrzyła na niego, zawodziła miłośnie, sapała i kładła się na grzbiecie, gdy tarosił ją po brzuchu lub drapał między oczami. Nigdy nie próbowała się wepchnąć nieproszone.

W tym czasie wszystko doskwierało twardemu dotąd Dave'owi, który tęsknił niezmiernie za obiema córkami. Żadnej z nich nie było w pobliżu, więc nie mógł z nimi żartować ani od

czasu do czasu ich rozpieszczać. Wcześniej często po przyjacielsku żartował sobie z obu panien Griffithówien. Z niedowierzaniem kręcił głową, ile nowych sukienek lub fryzur sobie zafundowały, gdy wracały do domu z zakupów, zwykle z matką, ale zawsze mogły liczyć na jego szczerą, wyważoną opinię. Nie należał do zwolenników krótkich włosów, toteż Ellen i Bridget nieustannie się przekomarzały, że Ellen, o długich, grubych warkoczach, była jego ulubienicą, gdyż Bridget przez kilka lat strzygła się „na chłopaka”. Wciąż zachęcał Jan, aby znów zapuściła swoje blond włosy tak, jak zawsze lubił. – Myśli, że jest za stara albo coś podobnego – mawiał, szeroko się uśmiechając.

Obecnie prawie wszystkie uczucia, którymi darzył córki, przelał na Sophie. Spędzali razem mnóstwo czasu nad basenem. Jeśli Dave siadał, Sophie delikatnie składała łeb na jego kolanach, a on ją głaskał. Niekiedy tak siedzieli i patrzyli na siebie przez wiele minut. Gdy opróżniał filtr basenu, była tuż obok niego. Opuszczała nieco łeb, jakby słuchała wibracji spod ziemi, i szybko machała ogonem. Uszy miała postawione i z zainteresowaniem obwąchiwała śmiecie wyrzucone z filtra, a gdy Dave wyrzucał je do ogrodu, szła i ponownie je wąchała. – Interesowała się wszystkim, co robił – opowiada Jan.

Gdy Matthew lub Ellen dzwonili do matki – a miało to miejsce co tydzień, a czasami nawet codziennie po prostu dla podtrzymania kontaktu lub wymiany wieści – zawsze pytali o Sophie i byli raczeni opowieściami o tym, że przesiaduje u boku Dave’a, gdy ten czyta gazetę, lub że właśnie udało jej się zrobić nową sztuczkę, której ją nauczył.

Kilka miesięcy po wyjeździe Bridget z domu, gdy zapadał wieczór i Jan szykowała się do spania, Dave poddał myśl, że w takie zimne noce chyba mogliby wpuścić Sophie do środka. Mogłaby spać na macie przy frontowych drzwiach i nie musieliby się martwić, że dygocze z zimna na dworze. I nie musiałby wstawać tak wcześnie, aby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku.

– Pomyśl, o ile lepiej by jej było na macie – przekonywał Jan, która miała nieco wątpliwości.

– I to by było na tyle, jeśli chodzi o jego: „Jest psem pasterskim, powinna być na dworze pod starym, skorodowanym zbiornikiem na wodę” – podkpiwała sobie z niego.

Jan zawsze była dumna, że jako właścicielka psa potrafiła znaleźć złoty środek między okazywaniem pupilowi miłości a zachowaniem wobec niego dystansu i wymaganiem od niego szacunku. Psy pasterskie nie są maminsynkami. To rasa wytrzymałych, sprawnych i opanowanych zwierząt, przystosowanych do znoszenia przez wiele dni piekielnego australijskiego upału i sprawowania kontroli nad bydłętami, które mogłyby zmiażdżyć je jednym uderzeniem kopyta. – Pozwólmy im zachować ich psią godność – są psami, a przede wszystkim psami pasterskimi. Dzieli nas od nich granica na piasku, którą same wytyczyły. Są naszymi pupilami i opiekujemy się nimi, ale trzeba uszanować to, że są psami. Żadnych „ślicznusich, milusich dzidziuni”. Nie można mówić do psa „dzidziu” – twierdziła Jan.

Choć Dave sprawiał wrażenie, że rządzi twardą ręką, tak naprawdę to on, a nie Jan, zmienił rodzinę Griffithów z nieugiętych zwolenników psiej dyscypliny w zupełnych pocziwców.

Oczywiście, jak zawsze bardzo grzeczna Sophie, potrzebowała nieco łagodnej perswazji, aby dała się przekonać, że jest mile widziana w domu. Za pierwszym razem, gdy została zaproszona do domu, była kompletnie onieśmielona. Przemknęła do środka na zgiętych łapach i praktycznie ciągnąc zad po parkiecie. Gdy Dave, a w końcu też i Jan, zapraszali ją do wejścia, pochylali się nad nią i przekonywali ją: – W porządku, kochanie. Wejdz. – Gdy zmierzała już w kierunku czerwonego tureckiego dywanika przed telewizorem, nie patrzyła im w oczy. Uszy położyła do tyłu, a ogon wcisnęła między tylne łapy, gdy Dave namawiał ją: – Chodź, Tuck. Wejdz do środka.

I tak skończyła się wymagająca miłość. Ostatecznie Sophie oswoiła się nieco z pomysłem, że ma być psem domowym. I zapisała się w historii rodziny Griffithów, gdyż nigdy przedtem żaden ich pies nie zaszedł tak daleko.

Trwało to kilka tygodni, ale w końcu Sophie poczuła się komfortowo w domu, a potem nabrała większej pewności siebie. W niektóre noce, gdy Dave nie mógł spać i szedł sprawdzić, co u niej, zastawał ją rozciągniętą na starym, niskim, skórzanym fotelu z drewnianymi oparciami, prawie dorównującym szerokością jej długości. Nie odwracała się wtedy do niego ani nie merdała ogonem na powitanie, gdyż czuła się winna. Czasem zerkła mu tylko w oczy, gdy ześlizgiwała się z fotela. Zapraszano ją jednak na dywan, ale domowe wygody mocno kuszą i nie trzeba było długo czekać, aby ten fotel stał się jej własnością.

Sophie uwielbiała swój dywanik i cieszyła się swoim fotelem, a zwłaszcza nowo odkrytą przyjemnością niebycia wystawioną na kaprysy pogody podczas letniej pory deszczowej. Choć mieszkańcy Mackay podają w wątpliwość sugestie, że ich miasto leży w strefie ekstremalnie tropikalnego klimatu północnego krańca Queenslandu, zdarza się, że pada tam całymi dniami, a nawet tygodniami, i często temperatura wynosi dwadzieścia dziewięć lub trzydzieści stopni. Psu o gęstym futrze jest więc w Mackay raczej ciepło.

Jeśli suka miała dość leżenia na słońcu, wchodziła powoli po schodach, a Jan i Dave pytali: – Gorąco ci, skarbie? – Otwierali siatkowe drzwi, aby mogła wejść do środka. Kładła brzuch na parkiecie, wystawiając się na działanie klimatyzacji nastawionej na przyjemne dwadzieścia trzy stopnie.

Gdy Luke przyszedł na swój ulubiony sznycel cielęcy, widok Sophie rozpartej po królewsku na zielonym, skórzanym fotelu nieco go wzburzył. – Co to ma być?! – wykrzyknął. Jordy nie dość, że nigdy nie została wpuszczona do środka, nie miała nawet prawa wspiąć się po schodach i zbliżyć do siatkowych drzwi. Jeśli postawiła obie łapy na dolnym schodku, Dave na nią krzyczał: – Na dół!

Czasem Sophie nieco spuszczać łeb, patrzyła zażenowana ze swojego fotela na Luke'a, najwyraźniej świadoma, że cieszy się specjalnymi względami. Jeśli Luke wstąpił do rodzinnego domu wczesnym rankiem w drodze do pracy i przyłapał ją rozciągniętą i jeszcze śpiącą na fotelu, najwyżej uderzyła kilka razy ogonem o fotel, jak chichoczące dziecko, które wie, że upiecze mu się niegrzeczne zachowanie.

Luke uznał ten stan rzeczy za ujmujący, a także przerażający.

– Nadal mam o to żal – przyznaje Luke, dla którego stanowiło to kolejne potwierdzenie, że jego młodsza siostra cieszy się statusem złotego dziecka.

Po kilku tygodniach Jan zaczęła mieć trudności z wygonieniem Sophie na zewnątrz, gdy wyjeżdżała na swoją poranną kawę w drodze do pracy.

– Sophie, chodź! – wołała, stojąc w drzwiach z kluczykami w jednej ręce, a drugą trzymając otwarte drzwi siatkowe. Suczka otwierała oczy i unosiła łeb. „Chyba żartujesz!” mówiły jej oczy. „Tam jest gorąco”.

Jan musiała zamknąć drzwi, podejść do psa i powiedzieć: – Wychodzisz na zewnątrz. – Potem trącała ją stopą i dopiero wtedy Sophie się podnosiła. Natomiast Dave był w niej zakochany i niechętny wyganianiu jej i pozbawianiu świeżo zdobytych wygod.

Prawdę mówiąc, Jan i Dave nigdy nie żalowali, że wpuścili sukę do domu, ponieważ była dobrze wychowana. Jako pies domowy okazała się cudowna. Gdy potrzebowała wyjść na dwór, nigdy nie drapała w drzwi, nie skamlała ani nie szczekała. Podchodziła do drzwi i stała cierpliwie, spoglądając na nie spokojnie z nieco opuszczonym łbem, jakby zatrzymała się w pół ruchu. Czekala, aż ktoś się zorientuje. Jeśli minęło zbyt wiele czasu, rozglądała się, sprawdzając, gdzie są wszyscy członkowie rodziny. Gdy Jan wchodziła do kuchni, często znajdowała siedzącą tam Sophie, spoglądającą na nią z nieco płaczkowym wyrazem pyska. – Myślała sobie: „Wypuść mnie, durna!” – śmieje się Jan. – „Wypuść mnie! Nie będę ci tego literować”.

Gdy małżonkowie oglądali telewizję, suka leżała przed odbiornikiem ze skrzyżowanymi przednimi łapami. Kładła łeb na jednej z łap lub rozglądała się, aby sprawdzić, że wszyscy nadal tam są, lustrując pokój ze szczerym zainteresowaniem, lecz ani trochę nie domagając się uwagi.

Tak więc, gdy kończąca wkrótce dwa lata i jak nigdy pełna energii Sophie przeniosła się ze szczytu schodów na fotel, awansowała też w hierarchii, zmieniając status z rodzinnego psa na piąte dziecko – dziecko, które nie potrzebuje niczego poza miłością i kilkoma kośćmi (oraz tureckim dywanikiem). Nieoficjalnie została też opiekunką Griffithów. Wspaniała Sophie Tucker odegrała istotną rolę, pomagając rozproszyć wszelkie obawy Jan i Dave'a, z jakimi wiązało się dla nich wkroczenie w jesień życia, a także rozwiać ewentualne poczucie winy u ich dzieci, wywołane opuszczeniem przez nie rodzinnego domu. Ogromnym pocieszeniem dla rodzeństwa była świadomość, że rodzice nie byli w domu sami – mieli swoją dziewczynkę.

Rozdział 4

Wszyscy na pokład Honey May

Pomysł zabrania Sophie na łódź, jak wszyscy przyznają, wyszedł od Dave'a i Bridget. Powstał pewnej sobotniej nocy, gdy wszyscy znajdowali się na Honey May. Bridget, już studentka drugiego roku, przyjechała do domu na wakacje i we trójkę postanowili spędzić noc na łodzi, która stała zacumowana w porcie jachtowym w Mackay. Griffithowie siedzieli na pokładzie Honey May, a kilku sąsiadów wpadło wieczorem na szklaneczkę piwa lub wina. Zjedli zamówione tajskie jedzenie i uznali, że skoro tak świetnie się bawią, a pogoda dopisuje, warto przedłużyć tę przygodę i następnego dnia wypłynąć z portu.

Okolo godziny dziesiątej Jan zeszła pod pokład, aby położyć się do łóżka. Tymczasem Dave i Bridget zaczęli jeden ze swoich osławionych wieczorów zapoczątkowanych, gdy Bridget przyjeżdżała do domu z uniwersytetu. Następnego dnia po takiej libacji Dave chodził w kółko, trzymając się za głowę i jęcząc. Tej nocy 2008 roku ojciec i córka siedzieli, popijali piwo Corona z cytryną, wspominali i żartowali. Dochodziła północ – z Sails Sports Bar w porcie wciąż dolatywała muzyka – gdy ich rozmowa zeszła na temat Sophie, która wówczas miała zaledwie dwa lata.

– Co zrobimy z tą obraźliwą cholera? – zapytał Dave, przybierając charakterystyczny, pozornie szorstki ton. – Będzie się dęsać, gdy wrócimy do domu, i nie spodoba jej się, że następnego dnia znów ją zostawimy.

Tego popołudnia, gdy wszyscy kręcili się po domu, pakując do nissana rzeczy na piknik i na przyjęcie, przygnębiona Sophie leżała na betonowej podłodze w rogu nieopodal pralni, z łbem opadającym między łapy. Dobrze wiedziała, że szykowali się, by ją zostawić. Wielokrotnie już to przeżyła i nie zamierzała z tej okazji merdać ogonem. Udawała, że nie interesuje jej, co robią, jednak co jakiś czas uchylała powieki, aby zerknąć na poczynania rodziny.

– Dlaczego nie mielibyśmy wziąć jej ze sobą? – wykrzyknęła Bridget, pobrękując kolejnymi dwoma puszkami piwa, które wyciągnęła z lodówki w kuchence pod pokładem. – Powiedzmy mamie, że ją zabierzemy.

Bridget była tak podniecona tym planem, że nalegała, aby obudzić matkę i od razu jej o nim powiedzieć. Jan dopiero zapadła w półsen, gdy do jej sypialni dotarły pełne entuzjazmu odgłosy z zewnątrz. Usłyszała stapanie w salonie, a potem córkę szepczącą: – Mamo? – Otworzyła oczy i zobaczyła, że stoją nad nią Dave i Bridget, a na ich twarzach maluje się zuchwały uśmiech.

– Jutro zabierzemy ze sobą Sophie – zapowiedziała Bridget. Jan, unosząc brwi, spojrzała na Dave'a, który z rezygnacją odwzajemnił spojrzenie żony. „To był pomysł twojej córki, przysięgam”, mówił jego wyraz twarzy.

– Będzie zachwycona! – naciskała dziewczyna. – Pomyśl tylko, jak ją tym uszczęśliwimy.

Jan pokręciła głową z udawaną dezaprobatą, spojrzała na męża i swoje najmłodsze dziecko i powiedziała: – Na waszą odpowiedzialność. – W głębi duszy była podekscytowana tym pomysłem i wszyscy o tym wiedzieli.

Następnego ranka Bridget zostawiła rodziców na łodzi i pojechała do domu po nieposiadającą się z radości Sophie, która czekała na podjeździe i machała ogonem trzy razy szybciej, gdy zorientowała się, że dziewczyna wróciła do domu po to, aby ją zabrać.

– Chodź, mała! Jedziemy na łódź! – zawołała Bridget, klaszcząc w ręce tak podniecona, jakby to ona, a nie jej pupilka miała po raz pierwszy w życiu wypłynąć w rejs. Złapała ją za przednie łapy i we dwie odtańczyły krótki taniec. Potem pobiegły podjazdem do samochodu. W drodze do portu suczka siedziała z wywieszonym językiem na przednim fotelu pasażera. Kiedy dotarły na miejsce, Bridget wzięła kipiącą energią Sophie na smycz i zaprowadziła do zamkniętej bramki przystani jachtowej. Gdy przesuwiała kartę wejściową przez czytnik, nie udało się jej utrzymać pupilki. Ta zobaczyła Jan na pokładzie stojącej trzy rzędy dalej Honey May i ruszyła biegiem, wrywając smycz z rąk Bridget. Pogalopowała pomostem z położonymi do tyłu uszami. Za nią ciągnęła się smycz. Jan podniosła wzrok, aby sprawdzić, skąd to zamieszanie na pomoście, i zobaczyła, że w jej kierunku gna w podskokach Sophie z wysuniętym językiem, a za nią biegnie Bridget w szortach i okularach przeciwsłonecznych podskakujących jej na nosie, krzycząc: – Nie dałam rady jej utrzymać!

Jan rozłożyła szeroko ramiona i zawołała: – Sophie Tucker!

Suka zakręciła na pomoście w stronę Honey May, wpadła w poślizg, prostując łapy i gotując się do skoku w ramiona Jan, a nawet dalej. – Klaskałam w ręce, a ona biegła do mnie niesamowicie zachwycona – wspomina rozradowana Jan. – Tak się cieszyła, że tam jest. To było fantastyczne.

Gdy Dave wyprowadzał łódź z portu w Mackay na usiany wysepkami, błękitny ocean, zostawiając za sobą węglowce, Sophie stała obok Jan i Bridget, z wywieszonym językiem. Machała całym zadem, rozglądała się dookoła i spoglądała na nich, jakby chciała powiedzieć: „Spójrzcie! Tam jest ocean!”. Po latach pluskania się na płyciźnie swojej ukochanej plaży wyruszała teraz znacznie dalej. Zachwycona tym, że czeka ją nowa przygoda z rodziną, zachłannie wystawiała pysk na rozbryzgi wody morskiej, a uszy na zacięte poddmuchy wiatm.

Zawsze podczas rejsów Griffithowie, gdy mijali falochrony i widzieli ciągnący się za łodzią, spieniony kilwater, odczuwali dreszcz emocji. To była chwila, gdy przemysłowe nabrzeże Mackay ustępowało miejsca Morskiemu Parkowi Wielkiej Rafy Koralewej, przez wiele osób zwanemu „oceanicznym odpowiednikiem lasów deszczowych Amazonii”. Wyjście z przystani jachtowej w Mackay otwiera się wprost na szeroki ocean, który nawet w niepokodne dni wygląda jak złożony z wielu warstw szklistych błękitów, a w polu widzenia rysują się południowe krańce większości okolicznych wysp. Mieszkańcy Mackay starają się kończyć pracę o czwartej po południu, aby mogli poszaleć na skuterach wodnych, kajakach czy łodziach i spędzić weekend w królestwie dzikiej morskiej przyrody, rozciągającym się tuż za ich progiem. Około godziny zajmuje dopłynięcie do pierwszych dziewiczych wysp, takich jak St Bees i Keswick, które stanowią część wysp South Cumberland, położonych na południe od archipelagu Whitsunday. Nie ma na nich luksusowych ośrodków wypoczynkowych, a jedynie ledwo zagospodarowane skrawki lądu z kilkoma domostwami, jakimś terenem piknikowym i gęstwiną roślin tropikalnych, pod którymi można się położyć i drzeć.

– Kiedy człowiek się tam znajdzie, dzieje się z nim coś takiego, że po prostu czuje niesamowity zachwyty – mówi Jan. Wydawało się, że i Sophie to odczuwała. Gdy Dave zwiększał prędkość Honey May i silnik ryczał, suka zaczęła ziajać i unosiła nos wysoko w powietrze, podekscytowana tym, że bierze udział w najnowszej rodzinnej przygodzie.

Honey May jest niewielką motorówką i jej załoga musi zachować ostrożność na pokładzie, zwłaszcza gdy łódź jest w ruchu. Dave wprowadził zasadę, że to pasażerowie decydują, gdzie chcą się znajdować: z przodu, z tyłu czy na mostku wraz ze sternikiem, ale przed opuszczeniem przystani, aby nie było kręcenia się w tę i z powrotem, gdy łódź się porusza. Pokład po bokach łodzi był bardzo wąski, więc przejście z dziobu na rufę wymagało wykonywania manewrów na wąskim przejściu przy jednoczesnym trzymaniu się mocno cienkiego, metalowego relingu. Z przodu było najwygodniej i roztaczał się stamtąd malowniczy widok. Im dalej w kierunku rufy i im szybciej płynęła łódź, tym było trudniej i mniej pewnie. Najdogodniejszym stanowiskiem do obserwacji był oczywiście mostek, ale

zawsze na nim wiało, więc jeśli zdecydowali się na niego wejść, mogli jedynie podziwiać widoki i rozmyślać, gdy łódź mknęła na pełnym gazie, ponieważ nie mieli szans na konwersację. Przy wyborze miejsca dla wszystkich najwyższy priorytet miało bezpieczeństwo. – To jest łódź – mawiał Dave do Jan. – Nie możemy ryzykować. W naszych rękach jest życie wszystkich, którzy znajdują się na pokładzie.

W ten piękny niedzielny poranek, idealny na pierwszy rejs Sophie, Bridget i Jan siedziały na dziobie, oparte plecami o okno, z nogami wyciągniętymi przed siebie i głęboko nasadzonymi kapeluszami, aby nie zwał ich wiatr. Psica usadowiła się między nimi, dzięki czemu mogły mocno ją trzymać. Griffithowie często zakładali wodoodporne kurtki, aby fale nie zmoczyły im ubrań, ale tym razem wszyscy cieszyli się wodną mgiełką. Zwłaszcza Sophie, która odkryła, że ta wspaniała przygoda jest także okazją do jej ulubionej zabawy z okresu szczenięcego – łapania wody do pyska. Podczas tego pierwszego rejsu co i rusz kłapała szczękami, unosiła łeb i zlizywała pryskające na nią krople wody. Przez większość czasu siedziała spokojnie, wiatr dmuchał jej w pysk, promienie słoneczne padały na niebieskoszare futro, a ona z radości wystawiała język. Można było odnieść wrażenie, że chłonie nowe doświadczenia, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi: „Zatem tym się zajmowała jej rodzina, gdy zostawiali ją samą w domu”.

Bridget i Jan obserwowały ją z uwielbieniem. – O czym myślisz, Sophie Tucker? – puszczając oko, zawołała do niej Jan, przekrzykując hałas silnika.

– I jak ci się podoba, Tuck? – zażartowała Bridget, chwytając pupilkę w ramiona w geście będącym wyrazem zarówno przywiązania, jak i chęci ochrony.

Rodzina płynęła do jednego ze swoich ulubionych miejsc na Ziemi, na wyspę Scawfell. To największa z wysp Cumberland, oddalona zaledwie dwadzieścia pięć mil morskich od ich domu. Griffithowie planowali stanąć na jednym z tamtejszych kotwicowisk, w dziewiczej zatoczce Refuge, której błękitne wody obmywają wstęgę białego piasku.

Ci, którzy znają wyspę, uważają ją za swego rodzaju święte miejsce. W przeważającej części pokrywają ją tereny góryste, gęsto porośnięte zielenią i otoczone czerwono szarymi granitowymi głazami, które zimą w promieniach zachodzącego słońca nabierają pomarańczowego odcienia. Głazy mają niezwykle kształty, niektóre opierają się jedne na drugich tylko wąską krawędzią, gotowe w każdej chwili runąć. Strażnicy parkowi z Mackay, którzy odwiedzają wyspę, aby skontrolować porządek i bezpieczeństwo, marzą o tym, że któregoś dnia znajdą czas na wędrówki po tych głazach i wśród gęstwiny roślin porastających zbocza gór.

Niecałe półtorej godziny po opuszczeniu portu Dave zwolnił, a Sophie zaczęła przestępować z łapy na łapę, obserwując Jan i Bridget na burcie, pomagające Dave'owi zakotwiczyć.

– Zostań tu, Tucker – nakazał jej Dave, gdy pokazywał córce, by rzuciła mu linę. – Jak się masz, mała? – powiedział, odwracając się do suczki, gdyż nawet w tej chwili, gdy w pośpiechu rzucał kotwicę, pamiętał, że to wyjątkowa okazja w jej życiu. Sophie popatrzyła na niego, uśmiechając się całą sobą. Węszyła dookoła i obserwowała uważnie każdy ich krok, czekając na zaproszenie do pójścia w inne miejsce. Wydawało się, że rozumie, iż na łodzi panują inne zasady niż w domu.

Griffithowie wyciągnęli leżaki i szykowali się do spędzenia spokojnego popołudnia na Honey May. Dave robił coś przy silniku, którego kłapa znajdowała się z tyłu głównego pokładu, a Jan szykowała lunch w maciupenińskim kambuzie, wyposażonym w minilodówkę i kuchenkę. Znajduje się on dwa niewysokie poziomy poniżej pokładu, a także kilka wąskich stopni od prysznica i toalety.

W tym czasie Bridget oprowadzała pieska po łodzi. – Chodź, Soph! – zawołała, walcząc z pokusą, by wziąć ją na ręce. Wiedziała jednak, że ojciec by tego nie pochwalił. Suka musiała przywyknąć do poruszania się po kołyszącym się pokładzie. Dziewczyna eskortowała

rozemocjonowanego psa wzdłuż burty – przemawiała do niego, sama wisząc na relingu, i obserwowała, jak posłuszenie i ostrożnie za nią idzie. Bridget zabrała Sophie do szklanych drzwi, otwierających się na salon. Miały w nim obie spać tej nocy, ale na razie gościnne łóżko ze sztucznej skóry było złożone. Trzy stopnie poniżej znajdowała się przednia kabina Honey May – pomieszczenie, które można byłoby nazwać główną sypialnią. Nocowali tam rodzice. Ich łóżko miało kształt litery V, przez co ich nogi krzyżowały się, a stopami dotykali ścian.

– Nie było wygodnie – przyznaje Jan. – Ale gdy się wypłynie, przestaje to mieć znaczenie.

– Było strasznie niepraktycznie – mówi Dave, przypominając żonie, że musieli stawać na skrzynce na mleko, aby dostać się do łóżka. – Znajdowało się powyżej poziomu podłogi, na wysokości pokładu dziobowego, gdzie później tego popołudnia Sophie wylegiwała się w słońcu obok Bridget i Jan. Kobiety siedziały tam w kapeluszach z szerokim rondem. Bridget, przebrana w bikini, czytała powieść i rozwiązywała krzyżówki, a Dave przeglądał gazety i wertował mapy nawigacyjne, bo zawsze chętnie zapoznawał się z obszarami morskimi, które stały się dla niego dostępne, odkąd miał Honey May.

Później Dave ułożył steki i kiełbaski na grillu, a Jan otworzyła butelkę wina, zabraną z domowej lodówki. Jednak nie był to kolejny burzliwy wieczór. Panował przyjemny, pogodny nastrój. Nawet w entuzjazmie Sophie dawało się wyczuć pewien spokój. Już obwączała łódź, oprowadzona przez Bridget, i oswoiwszy się z nową przestrzenią, trzymała się blisko rodziny. Gdy wchodzili do kambuza lub z niego wychodzili, szykując posiłek, siedziała na górnym stopniu, ale nie wchodziła głębiej do środka – jej łapy ślizgały się i rozjeżdżały na lakierowanej podłodze.

Sophie była bardzo żywym stworzeniem, a słone powietrze jeszcze dodawało jej animuszu. Wcale nie przeszkadzało jej to, że znalazła się w nieznanym sobie miejscu. Gdy jedli, Bridget i Jan na leżakach, a Dave oparty o reling pokładu dziobowego, suka siedziała między nimi, spoglądała to w jedną to w drugą stronę i czekała na to, czego mogła się spodziewać – na skrawki mięsa i być może jedną czy dwie skórki ziemniaka.

Gdy nadeszła pora snu, niedługo po zachodzie słońca, trzeba było namówić psicę, by zeszła do kabiny. Teoretycznie miała spać na podłodze obok pośłania Bridget, ale dziewczyna, oczywiście, zaprosiła ją na noc do swojego łóżka.

Następnego ranka, po zaparzeniu kawy, rodzina szykowała się, by wskoczyć do morza z pokładu łodzi i popływać. W chwili, gdy Sophie zdała sobie sprawę, co się dzieje, po tym, jak najpierw Dave, a później Bridget dali nura do wody, zaczęła wściekle szczebrać, podniecona świadomością, że zaraz nadejdzie jej kolej. Jan musiała ją delikatnie zachęcić do skoku. Bridget, idąc po dnie, zbliżyła się do niej i ją wołała, więc skoczyła. I była zachwycona. Pływała, zataczając koła. Skierowała się do dziewczyny, a potem w stronę jej ojca. Łeb uniosła nad fale, a pysk trzymała mocno zaciśnięty, aby nie nabrać do niego wody.

Słońce wznosiło się wysoko nad Scawfell, palmy i głazy zaczynały połyskiwać w jego promieniach, a koniuszki koralowców wciąż wystawały nad wodę, gdy nadchodził przypyływ. Ryzyko wystąpienia prądów strugowych i martwej fali, a także ukłucia kolcami morskich stworzeń, nawet śmiertelnie jadowitych, było tam znacznie wyższe niż na plaży w Mackay, gdzie suka wbiegała do wody. Jednak Griffithowie nie martwili się zanadto. Woda w zatoce była tak czysta i przejrzysta, że z przyjemnością w niej pływali i czuli się bardzo bezpiecznie. A Sophie bawiła się w najlepsze, pluskając się w wodzie.

– Sophie! – wołała do niej Bridget i suka ochoczo płynęła w jej kierunku, wystawiając łeb wysoko nad wodę i zaciskając szczęki, aby mogła dotrzeć tam, gdzie chciała. Dziewczyna wystawiała język, tak jak to robią psy, gdy chichotała i pryskała wodą na suczkę.

– Ty, wariatko! – drażniła się z nią Jan, gdy przepływała obok na plecach.

Sophie sapała i prychała przez nos, śmigając wokół Bridget. Dziewczyna zrobiła kilka fikołków w wodzie i zanuciła: – Czyż to nie rewelacyjne, Tucker? – Sophie energicznie przebierała łapami, kursując między ojcem a córką. „Oczywiście!”, zdawała się myśleć.

Griffithowie spędzili w wodzie kwadrans, po czym uznali, że pora na śniadanie. Jan wyszła już na pokład i wycierała się ręcznikiem, aby móc zabrać się za przygotowanie posiłku.

– Wychodźcie, dziewczęta – powiedziała, patrząc na Bridget i Sophie, które wciąż się pluskały. Dave podpłynął do łodzi i zamierzał wspiąć się po drabince. Bridget zignorowała ich, a Sophie poszła za jej przykładem i dalej zataczała kręgi, gotowa do dalszej zabawy. Jan zeszła pod pokład, nastawiła czajnik, potem zaczęła wyjmować jajka i chleb na grilla.

– Bridge! – zawołał Dave. – Sophie będzie wykończona.

Jednak suczka nie okazywała żadnych oznak zmęczenia. Dave zszedł, żeby ją złapać i pomóc jej dostać się po drabince na łódź. Odmówiła współpracy i nie zamierzała wyjść z wody, tak jak nie chciała ruszyć się z samochodu w dniu wyjazdu swojej pani na uniwersytet. W jej oczach malował się wyrzut, że Dave chce skrócić jej zabawę. Jestem psem wodnym”, mówił wyraz jej pyska. „Pozwól mi na to”.

Gdy pierwszy rejs suki okazał się udany, Jan i Dave odczuli ogromną ulgę, ponieważ wcześniej obawiali się, że na emeryturze nie uda im się połączyć dwóch sprzecznych, choć uwielbianych elementów swojego życia: poczucia wolności, jaką dawały wyprawy na ocean, i odpowiedzialności, która nieodłącznie wiąże się z radością posiadania psa. Ciężko pracowali, aby oba te elementy stały się częścią jesieni ich życia, i chcieli cieszyć się tropikalnym rajem, w którym założyli rodzinny dom.

Decyzja o zakupie Honey May wcale nie przyszła im łatwo. Przez całe życie Dave miał niewielkie łódzie, a dorastał nad oceanem. Jak dzieci były mniejsze, w każdą niedzielę pływał ze swoimi kumplami na ich katamaranach w okolicach Mackay, a Jan i dzieci piknikowali z pozostałymi rodzinami na brzegu. Kiedy Griffithowie stali się właścicielami domku plażowego w Louisa Creek, czterdzieści minut drogi od miasta (Matthew i Ellen byli wówczas nastolatkami), Dave kupił też niewielki katamaran. Tak naprawdę marzył jednak, że kiedyś dorobi się motorówki.

W latach poprzedzających inwestycję w Honey May Dave poświęcił znaczną część swojego czasu wolnego na naukę: czytał o systemach nawigacyjnych i silnikach, pytał kapitanów na przystani o obsługę łodzi, zapoznawał się z tabelami prądów, prądami oceanicznymi oraz mapami morskimi i pogodowymi. Sam nauczył się sterować łodzią i dbać o nią. Dyskutował z żoną, czy zakup maszyny, którą wielu ludzi uzna za luksus, jest rozsądny. W końcu zdecydowali się na ten krok i kupili Honey May, a Dave nie posiadał się z radości. Wątpliwości dopadły go tylko raz – tego ranka (od którego minęły już dwa lata), gdy sądził, że Jan przemyślała sprawę i uznała zakup łodzi za niepotrzebny. Jednak tamten dzień okazał się szczęśliwy – do ich rodziny weszła wtedy Sophie. A teraz dzięki Honey May suczka, tak jak reszta Griffithów, nauczyła się kochać otwarty ocean.

Gdy Dave planował rejs, skrupulatnie sprawdzał prognozy pogody w kilku witrynach meteorologicznych i robił notatki. Griffithowie nie wypływali w morze, jeśli przewidywano jakiegokolwiek odstępstwa od idealnej pogody.

– Człowiek zawsze się denerwuje – opowiada Dave o pełnieniu funkcji kapitana, wspominając pierwsze wyprawy, na które zabierał najpierw Jan, potem dzieci i w końcu przyjaciół. – Wszystko wokół przypomina ci, że to ty sterujesz łodzią i ponosisz odpowiedzialność. Stoisz na mostku i widzisz przed sobą prawie dziesięciometrową łódź, to jest przerażające. Jan nie chciałaby mnie zastąpić ani na chwilę.

Dave uważał, że do jego obowiązków jako kapitana należy nauczenie pozostałych członków rodziny wszystkiego o łodzi oraz o cudownym, ale niebezpiecznym środowisku, skoro mieli to szczęście, że mogli cieszyć się nim. – Robi to za każdym razem, gdy wypływamy. Wprost uwielbia pokazywać ludziom ocean – mówi Bridget.

Po wyprowadzeniu motorówki poza falochron Dave wskazywał fale i zmarszczki na powierzchni oceanu oraz symbole w systemie GPS. Jego celem było zapoznanie wszystkich z

niebezpieczeństwami, takimi jak głazy oraz niespokojne lub płytkie obszary morza. – Hej, Luke! – często wołał syna z dołu na główny pokład i pokazywał mu skały lub miejsca, gdzie spotykają się przeciwstawne prądy. Niekiedy siadał na mostku i uczył ich odczytywać niebo i ocean albo pozwalał im chłonąć atmosferę koncentracji, jakiej wymaga nawigacja. – Dużą wygodą jest możliwość przełączenia wszystkiego na sterowanie automatyczne, ale i tak nie można wtedy zejść na dół i czytać książki – pouczał Dave.

Już od pierwszych rejsów wzywał Jan, Bridget i Luke'a do koła sterowego, aby objaśnić im, do czego służą poszczególne przepustnice, dźwignie i monitory, i wbić im do głów najważniejszy fakt na temat sterowania motorówką: że w łodzi, w odróżnieniu od samochodu, zawsze pierwsza rusza się rufa. – Choćbyś przeczytał wszystkie dostępne książki na ten temat, ostatecznie i tak można się tego nauczyć tylko poprzez praktykę – przekonywał ich Dave. Chciał zachęcić dzieci do nauki sterowania łodzią, aby ich wyprawy stały się naprawdę rodzinnymi przygodami i aby upewnić się, że Jan, która – jak sama przyznaje – była najbardziej bojaźliwą osobą na pokładzie, poczuła się kompetentna i nie musiała na nikim polegać. Marzeniem Dave'a było, aby łódź stała się ich drugim domem.

Włożone w to starania opłaciły się z nawiązką, co czuli, gdy wypływali w morze i obserwowali mgłę kłębiącą się na górskich przełęczach na wyspie, rzucali kotwicę, aby łowić ryby lub wskakiwać do wody i pływać w ustronnej zatoczce.

Na oceanie Dave często odwracał się do Jan, która w naciągniętej czapce i często w płaszczu przeciwdeszczowym wciskała się za niego i patrzyła przed siebie poprzez koło sterowe, wdychając morskie powietrze z satysfakcją widoczną na zaciśniętych ustach. W tej wymianie spojrzeń przez chwilę przekazywali sobie potwierdzenie: „Robimy to, kochanie. Żyjemy pełnią życia”.

Zimą, kiedy choroba morska mniej dokuczała Jan, a czasami było tak źle, że przez godzinę wisiała wychylona przez reling, mrużyła oczy i wyciągała szyję, wypatrując waleń. Spotkali je wielokrotnie, a Jan opisuje to jako „przeżycie duchowe”. Gdy w oddali dostrzegali ruch potężnej, szarej płetwy ogonowej, Jan i Bridget wstrzymywały oddech i wyrывał im się okrzyk: – O, mój Boże! – przy tym matka zakrywała usta dłońmi, a córka stała z szeroko otwartymi ustami. – Nawet gdy widzi się z dużej odległości któregoś z nich wyskakującego w powietrze i wzniesającego ogromną fontannę wody przy upadku, to coś niesamowitego – wyznaje Jan. – Czasami wydaje ci się, że wiedzą, że tam jesteś i popisują się.

Tę magię czuły również dzieci Griffithów. Podczas ich pierwszych rejsów, gdy wypływali poza falochrony przystani, Jan mówiła do Bridget: – Czy nie jesteśmy największymi szczęściarzami na świecie?

– To takie super! – przytakiwała jej Bridget i pstrykała zdjęcia potarganej Jan na tle bezchmurnego nieba albo kierowała aparat na siebie i robiła głupią minę. Bridget zabierała swoich przyjaciół mieszczuchów z Brisbane do Mackay na łódź. Luke i jego dziewczyna, Heather, zrobili licencje motorowodne po wielu godzinach pływania łódką po porcie, przybijania do nabrzeża na wąskim miejscu postojowym i odbijania stamtąd.

Czuła to również Sophie. W tym samym stopniu co Bridget i Luke była dzieckiem morza. W następnych miesiącach po pierwszym rejsie Sophie towarzyszyła Dave'owi i Jan zawsze, gdy wybierali się na łódź, i przywykła do chodzenia po kołyszącym się pokładzie. Zmieniła się w „wilka morskiego” jeszcze szybciej, niż przyzwyczała się do wylegiwania na skórzanym fotelu po wyjeździe Bridget. Już się nie dąsała, gdy ładowali do nissana ręczniki, słomkowe kapelusze i piknikowy kosz z zielonego płótna, z radością podążała za Jan i Davem. Odgłos łap suki, chodzącej za nimi po podjeździe, stał się nieodłączną częścią przygotowań do wyprawy.

Podczas dziennych i nocnych wizyt na Honey May Jan uzupełniała zapasy mięsa na grill, puszek dietetycznej coli na swoją chorobę morską, owoców awokado, świeżej sałaty i puszek z warzywami na jej „sałatkę z zatoki Toowoon” (kukurydza, groszek i buraki prosto z puszek,

do tego z boku majonez, co wynikało z rodzinnego żartu na temat kuchni, na jakiej wychował się Dave. Któregoś razu Jan pojechała do Brisbane odwiedzić jedno z dzieci, a on został na kilka dni sam w domu, Ellen i Bridget poradziły matce: – Zostaw mu tylko otwieracz do puszek. Da sobie radę). Gdy Griffithowie przeciągali kartę członkowską przez czytnik bramki portu, Sophie czuła dreszcz emocji i choć prowadzili ją na smyczy, droga do Honey May była dla niej niczym bieg olimpijski.

Wypływali daleko na ocean, a Sophie znajdowała się u ich boku, zawsze chętna do badania nowych miejsc, ale najbardziej cieszyło ją przebywanie wraz z załogą. Jeśli Jan i Bridget opalały się na dziobie łodzi, układała się przy nich, a oceaniczna bryza owiewała jej futro. Zawsze przyjmowała tę samą postawę: zadzierała nos do góry i otwierała pysk, aby wdychać zapachy morza i uważnie obserwować krążące nad nimi duże ptaki morskie. Towarzyszyła Griffithom w całodziennych wyprawach na północ, na wyspę Cockermouth i wokół niej lub na St Bees, gdzie rodzina zostawała wraz Sophie na pokładzie lub w pontonie, ponieważ nie wolno tam Wypuszczać psów na brzeg.

Podobnie jak na lądzie, gdzie Sophie lubiła budzić Jan i Dave'a, swój każdy dzień na Honey May zaczynała około godziny ósmej od wędrówki pod drzwi ich kabiny, skora do harców. Wiedziała już co nieco o przygodach czekających ją na łodzi. Były znacznie bardziej ekscytujące od tego, co ją mogło spotkać w ogrodzie czy klimatyzowanym domu w Mackay. Na motorówce Jan i Dave budzili się natychmiast, gdy usłyszeli jej kroki przed drzwiami prowadzącymi do dolnej kabiny, choć nigdy nie schodziła po stopniach, ponieważ lakierowane podłogi były śliskie. Sophie wodniaczka było nieco mniej łagodna niż w wydaniu domowym.

Gdy jej zaspani właściciele wstawali z łóżka i zakładali kostiumy kąpielowe, dawała susa do niewielkiego pontonu na rufie i skakała po nim, dysząc i poszczekując od czasu do czasu. Ledwo panowała nad sobą, podniecona tym, że Jan i Dave opłyną wyspę motorówką, a potem wszyscy wskoczą do wody, aby popływać. Szczekała i kręciła się w kółko. Uwielbiała być w pontonie – nawet bardziej niż na Honey May. Być może sprawiała to bliskość wody, a może perspektywa pływania. Gdy Dave zapuszczał silnik, Jan, w powiewnym kapeluszu i sandałach, musiała mocno trzymać pobudzoną sukę – chwytając ją kurczowo za barki – do czasu, aż można było bezpiecznie pozwolić jej na skok z pontonu do oceanu. Z zadartym do góry łbem pływała razem z nimi wielce szczęśliwa, gdyż wiedziała, że gdyby potrzebowała, ma gdzie wyjść, nie tak jak w basenie.

Niekiedy zarzucali kotwicę między wyspami, często w pobliżu Scawfell, gdzie spędzali noc, grillując i grając w karty w promieniach zachodzącego słońca, a w ciągu dnia rozpinali żyłki wędkarskie ku uciechu Sophie. Dave był zbyt powściągliwy, by wyrażać zachwyt tym idyllicznym stylem życia, lecz suka nadrabiała to za niego. Jan wystarczyło popatrzeć na nią, gdy znalazła się na łodzi, by utwierdzić się w przekonaniu, że dla tego widoku warto znieść chorobę morską.

Sophie podchodziła do pływania łodzią z właściwym jej wdziękiem. Wypełniała pustkę, jaka w wyobrazeniach Griffithów czekała ich po opuszczeniu rodzinnego gniazda przez dzieci, i uprzyjemniała im okres przedemerytalny. – Nie miało dla niej znaczenia, co będzie robić, pod warunkiem że będzie z nami – opowiada Dave, choć przyznaje, że pływanie łodzią należało do jej ulubionych zajęć. Promieniowała wówczas czystą radością.

W drugiej połowie 2008 roku Griffithowie odbyli wiele rejsów, ponieważ już w poprzednich latach przywykli do życia na pokładzie. W pewien weekend pod koniec września 2008 roku, gdy Bridget była w domu, trafiła się idealna pogoda do pływania. Przez wiele dni poprzedzających przyjazd córki Dave analizował prognozy pogody i był z nich zadowolony. Przez znaczną część roku w Mackay przeważają wiatry południowo-wschodnie, często o sile przekraczającej od dziesięciu do dwunastu węzłów. Powodują one, że woda jest wzburzona i spieniona, a łódź kołysze się bardziej, niż Jan jest w stanie znieść, walcząc z nudnościami.

Wiatry te są bardzo zmienne, co oznacza, że doskonałe warunki na morzu mogą bardzo szybko zmienić się w niebezpieczne. Przy brzydkiej pogodzie na wodzie Jan starała się stosować do wskazówek dla osób cierpiących na chorobę lokomocyjną: nawadniać się, siedzieć spokojnie ze splecionymi dłońmi i patrzeć nieruchomo w punkt na horyzoncie.

Gdy synoptycy przewidywali przyzwoite wiatry o sile pięciu węzłów, zamieszkujące Mackay rodziny, takie jak Griffithowie, zaczynały szykować się do wspaniałego weekendu na wodzie. W piątek przed przyjazdem Bridget Jan i Dave biegali po mieście, kupując przynętę na ryby i produkty spożywcze na grilla, ale teraz Sophie, mimo panującego wokół niej zamieszania, już się nie bała, że zostawią ją w domu.

W sobotni poranek rodzina, w tym dysząca i merdająca ogonem Sophie, która ułożyła się na kolanach Bridget siedzącej na tylnym siedzeniu samochodu, wyruszyła na przystań już o brzasku, aby jak najwcześniej wypłynąć i nie tracić ani chwili z fantastycznej pogody. Gdy Dave wyprowadzał łódź z portu, Bridget, Jan i Sophie zajęły miejsca na mostku. Tego dnia po horyzont rozciągał się czysty i głęboki błękit, niczym na dziecięcych rysunkach, a rozpryskiwana przez mknącą Honey May woda tworzyła delikatną mgiełkę, a nie przenikające wszystko, szczypiące w oczy rozbryzgi, jak to działo się w brzydkie dni. Dzięki temu, że na pokładzie była Bridget, udało im się doprowadzić Sophie na mostek. Dave i Bridget musieli wciągnąć ją po drabince, czemu poddała się z położonymi uszami i przymkniętymi oczami. Dopiero gdy znalazła się na górze, dreptała w kółko szczęśliwa, że może być razem ze wszystkimi.

– Płyniemy na ryby, Sophie Tucker! – zawołała Bridget i podrapała sukę po łbie. Zakotwiczyli na granicy zatoki Refuge przy Scawfell, obok kilku innych łodzi, których właściciele wpadli na ten sam pomysł. Nastawili żyłki wędkarskie i robili dużo zamieszania, zamierzając próżnować w oczekiwaniu, że złapie się coś do przegryzienia. Dave rozejrzał się i na pobliskiej łodzi zobaczył kilku swoich kumpli z pracy. Pomachali do niego i zawołali: – Co za dzień, prawda?

– Piękny, koledzy!

Sophie siedziała przy drzwiach kambuza, uderzając końcem ogona w schodek oraz na zmianę stawiając i kładąc uszy.

Z powodu ciasnoty na pokładzie Sophie była odsyłana pod kuchenne drzwi, gdy rodzina łowiła ryby. Stamtąd obserwowała ich poczynania, a gdy wyciągali ryby, merdała ogonem i węszyła jak oszalała. Uwielbiała zapach i podniecenie panujące, gdy Bridget lub Jan zwijały żyłkę z rzucającą się na jej końcu pleperką lamparcią lub letrą niebieską. Jeśli było dość miejsca, ostrożnie zbliżała się do wyciągniętej na pokład ryby, chyłkiem wysuwając nos do przodu, jakby polowała na ptaka, ale miała świadomość, że to nie jej zdobycz. – Nigdy nie plątała się pod nogami. Umiała zachować odpowiedni dystans. Bardzo grzecznie podchodziła powęszyć – z dumą mówi Jan. – Jeśli ryba się rzucała, cofała się o krok. To było po prostu godne podziwu.

Jednak nie zawsze suczka potrafiła się powstrzymać, a tego dnia Griffithowie mieli rozpięte trzy żyłki i zawsze na którąś złapała się ryba. Panowała idealna pogoda na łowienie. Jan i Bridget zaczęły się zachowywać jak nastolatki, krzycząc z zachwytem, gdy co dwadzieścia minut czuły szarpnięcie żyłki w rękę.

Dave przez większość czasu usuwał wiadra z drogi i odplątywał żyłkę Jan, gdy wyciągnęła kolejną metrowej długości pleperkę lamparcią. Miał też oko na żyłki Bridget, która wyciągała rybę za rybą, ale zdarzało jej się niemal przegapić szarpnięcie, kiedy przez chwilę się rozmarzyła. Cały czas Sophie patrzyła na to wszystko z zachwytem.

– Łowiliśmy na trzymane w rękę żyłki – wspomina Bridget.

– Mama wyciągnęła rybę i Sophie koniecznie musiała podejść i na nią popatrzeć. – Gdy szła przez pokład, łapy zaplątały się jej w żyłkę.

– Tata wyrzucał sobie gapiostwo – mówi Bridget. – Potem ja złapałam rybę, więc ją wyciągałam, a Sophie była ogromnie podniecona.

Dla Dave’a tego wszystkiego było już za wiele. – Do środka – krzyknął na psa.

Sophie postawiła uszy, potem natychmiast położyła je po sobie. Spojrzała na Dave’a i na złowioną przez Bridget rybę, rzucającą się za nim po pokładzie. Ani zadzieranie łba, ani smutne oczy nie udobruchały go, tak jak to się stało wiele miesięcy temu, gdy znalazł ją na skórzanym fotelu, na który przeniosła się z dywanika. Więc suka weszła do środka i klapnęła w rogu nadąsana, kładąc łeb między przednimi łapami.

Jednak jej dąsy nie trwały długo. Gdy tylko Bridget skończyła połów, weszła do środka i wzięła swoją pupilkę na ręce, wtulając nos w jej pierś. Potem postawiła ją na podłodze, aby Sophie mogła obwąchać pozostałości zapachów po łowieniu ryb.

Tego dnia odesłaną do kąta Sophie ominęła zabawa, ale później Griffithowie jej to wynagrodzili, rzucając kawałki grillowanej ryby, którą jedli z sałatką i chlebem o zachodzie słońca. Następnego ranka znowu była ryba na śniadanie, tym razem serwowana ze smażonym jajkiem. Sophie była. w swoim żywiole.

Rozdział 5

Pies za burtą

Wspominanie dwudziestego piątego października – dnia, w którym stracili Sophie – jest wciąż bolesne dla rodziny, ale tamten poranek zaczął się tak, jak każdy inny w tropikalnym raju. Była cudowna i słoneczna sobota, gołoliczki krótkodziobe śpiewały za domem Griffithów, a Sophie obudziła Dave’a dotknięciem zimnego nosa, mówiąc: „Muszę wyjść”. Prognozy pogody na sobotę i niedzielę prezentowały się wspaniale i Griffithowie zaplanowali uroczy weekend.

Już kilka tygodni po wizycie Bridget Jan i Dave, wciąż zachwyceni efektami połowu podczas ostatniego rejsu, zamierzali ponownie wyprawić się na wyspę Scawfell, gdzie mieli nadzieję spotkać swoich przyjaciół, Denise i Iana Thomasonów, którzy obiecali zjawić się tam prosto po zawodach wędkarskich.

Jan i Dave często podpływali pontonem do wyspy, aby zbadać wybrzeże i manewrować wokół jasnych koralowców pod drzewami oraz wokół skałek przy brzegu. Czasami, choć przebywali na plaży wiele godzin, nie spotkali żadnej żywej istoty oprócz szybkich jaszczurek i krabów na piasku oraz kormoranów majestatycznie krążących nad głowami. Jan mogła godzinami myszkować na brzegu, zbierając muszelmki, badając ślady i tropy na piasku albo na liściach, które mogły należeć do tego czy tamtego owada. Zawsze kierowała nią nadzieja, że znajdzie dużą nietkniętą muszlę, taką jak róg Trytona, w jakie dmą Hawajczycy. To dość niezwykle marzenie, a Jan nie znalazła jeszcze ani jednej takiej muszli, toteż rodzina nieco z niej drwiła. Podśmiewali się z jej „hippisowskiej” natury.

Około godziny ósmej, po porannej kawie w kawiarni Oscar’s, Jan i Dave w kolorowych letnich strojach minęli bramkę dla uprawnionych użytkowników przystani jachtowej w Mackay, prowadząc ze sobą Sophie. Jan, jak zwykle, wyglądała wspaniale w jednym ze swoich okazałych letnich kapeluszy. Ciągnęli po pomoście przenośną lodówkę. Ten widok stał się już czymś powszednim dla ich sąsiadów z przystani. Suczka w podskokach i z wywieszonym językiem kierowała się do dwupoziomowej łodzi. Dała susa na pokład i kręciła zadem, gdy Dave rzucał liny z nabrzeża. Jan szybko wypakowała jedzenie w kuchni i asystowała Dave’owi, gdy wyprowadzał Honey May z portu, mijając falochrony.

Tym razem Jan i Sophie zostały na dole, na pokładzie dziobowym, gdy Dave sterował łodzią z mostka – nie było z nimi ani Bridget, ani Luke’a, więc nie miał kto wciągnąć suki wyżej. Zresztą i tak zawsze wydawała się odrobinę bardziej zadowolona, gdy przebywała na dolnym pokładzie, gdzie było zaciszniej i mniej wilgotno. Jan wyciągnęła swój leżak, usiadła na nim, stawiając stopy stabilnie na pokładzie, i wbiła wzrok w horyzont oraz wyspy przed nimi. Opuściła jedną rękę, aby pogłaskać Sophie, która siedziała obok, patrząc przed siebie. Suka zawzięcie węszyła, wciągając wszystkie te słone zapachy, do których już co prawda przywykła, ale nie stały się przez to ani trochę mniej ekscytujące i fascynowały ją za każdym razem, gdy wypływali Honey May.

Po prawie godzinie rejsu prosto przed siebie minęli urocze wyspy St Bees i Keswick. W porównaniu z nimi ich mniejsza kuzynka, Aspatria, wypadła blado – wystawała z wody niczym skała porośnięta drzewami, a nie bujną zielenią.

Dave zszedł po drabince i zbliżył się do Jan oraz Sophie. – Gotowa, by poprowadzić łódź? – zapytał żonę. – Zostanę tu na dole. Muszę sprawdzić kilka rzeczy. Sterowałabyś całkiem sama, zgoda?

Jan kiwnęła głową, a Dave pochylił się ku suczce, która wstała i przypatrywała mu się wyczekująco.

– Sprawdzisz ze mną silnik, Tuck? – zapytał, ujmując jej pysk w obie dłonie i drapiąc ją za uszami. Jan weszła po drabince na mostek, a Dave pomaszerował z uszczęśliwioną Sophie, która dyszała gotowa do następnych zajęć pokładowych. Jan usiadła na obracającym stołku, aby pilnować kursu. Spojrzała na urządzenie GPS, śledzące trasę Honey May wokół Aspatrii. Wiedziała, że wkrótce ujrzy Scawfell, od której dzieliło ją siedem mil morskich, oraz że za niecałą godzinę staną na kotwicy, aby miło spędzić dzień.

Spojrzała na wschód od Aspatrii, próbując dojrzeć Heskett Rock, znajdującą się tuż obok wyspy, ale tylko czasami wystającą ponad poziom morza. W tym miejscu zawsze się denerwowała. Dave wpoił jej przekonanie, że to niebezpieczna strefa. Miejsce było zdradliwe, woda tworzyła wiry i gotowała się, opływając Heskett, widoczną tylko podczas odpływu. – Wiele łodzi wpadło tu w kłopoty – powiedział jej mąż. Skała znajdowała się na kursie na północny wschód, dokładnie na linii między Mackay a Scawfell. Dave wprowadził odpowiedni punkt nawigacyjny do systemu GPS, aby Honey May omijała skałę po łuku o co najmniej kilometrowym promieniu, gdyż wolał uniknąć najbardziej wzburzonych wód. Mimo to zawsze, gdy tamtędy przepływali, mocno kołysało i Jan była na to przygotowana.

Tymczasem na głównym pokładzie Dave ciągnął za liny, wchodził do salonu i wychodził z niego, a zadowolona Sophie podążała za nim. Gdy coś regulował i poprawiał, stawała i cierpliwie czekała, merdając ogonem. Miała mnóstwo czasu. Dave podszedł do przedziału silnika, znajdującego się u stóp drabinki prowadzącej na mostek. Otworzył go, kucnął i zajrzał, opuszczając głowę poniżej poziomu desek pokładu. Sophie ustawiła się obok niego. Wdychała ciepłe powietrze, potem wciągnęła słono-oleisty zapach przestrzeni pod podłogą, a później obwąchała nogi i stopy Dave'a, przypadkowo trącając go nosem, gdy upewniał się, że wszystko działa tak, jak trzeba.

Natomiast na górze sytuacja uległa zmianie – i niestety wcale nie na lepsze. Jan zauważyła, że pociemniało, ponieważ nadciągały chmury. Na horyzoncie dostrzegła też coraz więcej białych grzyw fal. Zbliżali się do Aspatrii, a St Bees i Keswick zostawały coraz dalej z tyłu, więc Jan zwolniła, tak jak mąż zalecił jej zrobić w pobliżu Heskett. Wyłączyła autopilota i przeszła na sterowanie ręczne, aby mogła samodzielnie poprowadzić łódź przez pasaż, poruszając kołem sterowym, tak jakby prowadziła samochód. Dzięki temu lepiej wyczuwała dłońmi obroty koła sterowego, co dawało jej większą kontrolę nad układem sterowania.

Odgłos pracy silnika zawsze stawał się głośniejszy, gdy przepływali przez ten wąski pasaż. Wydawało się, że dźwięk odbija się wielokrotnie między łodzią a skalistymi jaskiniami Aspatrii i przez to wzmacnia. Choć Honey May przemieszczała się dość spokojnie, dziób łodzi zaczął podskakiwać. Zmarszczki na powierzchni oceanu zamieniły się w nieduże fale, które rozpryskiwały się na przezroczystej plastikowej owiewce mostka. Szum spienionego kilwaterny przybrał na sile, gdyż na niespokojnej wodzie silnik pracował z większym wysiłkiem. Tył łodzi lekko chodził na boki. Jan z coraz większym trudem panowała nad kołem sterowym. Z minuty na minutę nadciągało coraz więcej chmur i wyglądały złowrogo.

– Dave! – zawołała w dół schodów. Jej mąż dalej coś regulował, ale Sophie postawiła uszy na dźwięk jej głosu. – Chyba będziesz musiał mi pomóc.

– Minutkę – odpowiedział Dave. Spojrzał w górę na Sophie, która przyglądała mu się z zaciekawieniem, jakby chciała zapytać: „Co powiesz, Dave? Co teraz zrobimy?”.

– Tuck, zostajesz tutaj, mała. Wracam za chwilę – powiedział Dave, drapiąc ją pod brodą, czym wywołał pomruk zadowolenia. Suka przechyliła łeb, gdy wspinał się na poziom mostka do Jan.

Dave przestawił kilka przełączników, nacisnął jeden czy dwa przyciski i popatrzył na wodę. W pośpiechu wrócił do Sophie, która stała u stóp schodów, dysząc i patrząc wyczekująco w górę. Co prawda, Griffithowie nie lubili ulegać zachciankom suki, ich credo było stwierdzenie, że psy nie są małymi dziećmi i potrzebują niezależności, jednak nie znosili rozstawiać się z nią tak samo, jak ona z nimi.

W ten październikowy poranek Dave zdał sobie sprawę, że musi zadbać o jeszcze jedną rzecz, więc ponownie wszedł po schodach. – Zostań tu, Tuck – polecił suce, zostawiając ją na dole przy drabinie, i przemierzył pokład mostka dzielący go od steru. Upewnił się, że wszystko zostało przełączone na sterowanie ręczne i Jan nie będzie miała problemu z utrzymaniem kierunku. Słońce ustąpiło miejsca chmurom, czego nie przewidzieli prognostycy pogody. Wiatr się wzmacniał i odnosiło się wrażenie, że morze wokół Honey May mocniej falowało, ale wciąż płynęła gładko.

Dave pogłaskał Jan po ramieniu, pytając: – W porządku? – Potwierdziła, kiwając głową. Upewniwszy się, że żona dobrze się czuje i da sobie radę, zaczął ponownie schodzić do czekającej Sophie. Nie było jej jednak przy drabinie, gdzie kazał jej warować. Idąc na dół, zastanawiał się, dlaczego nie podbiegła, aby go przywitać.

– Tuck! Tucker! – zawołał, gdy wciąż nie mógł jej dostrzec. Odczekał minutę.

– Tuck! Sophie! – jego puls przyspieszył. Gdy szczęśliwy psiak nie podbiegł w podskokach, Dave zaklął. Na łodzi nie było zbyt wielu miejsc, w których Sophie mogłaby się ukryć, a robienie trudności nie leżało w jej charakterze. Zbiegł schodami do sypialni. Przeszedł burtą przy relingu na pokład dziobowy, gdzie suka spędzała tyle czasu z Jan i Bridget. Przekonał się, że tam też jej nie ma.

W jednej chwili, z przerażającą pewnością, uświadomił sobie, że zniknęła. Czas dla niego stanął.

Jednak nie na długo.

– Jan! Wciśnij przycisk „człowiek za burtą”! – krzyknął.

– Jak to? Co się stało? – zawołała Jan, sięgając do przycisku.

Dave wiedział, że te pierwsze sekundy mogą być decydujące, jeśli chcą uzyskać jakąkolwiek szansę, by odszukać suczkę. Walcząc z narastającą paniką, wychylił się przez reling i rozejrzał dookoła, aby sprawdzić, czy nie ma jej za burtą. – Sophie zniknęła. Musi być gdzieś w pobliżu – wykrzyknął. Łódź błyskawicznie wyhamowała, a oni zaczęli wołać psiaka po imieniu. Jan czuła, jak wali jej serce. „Czy to się dzieje naprawdę?”

Powściągając narastającą panikę, Dave wszedł do kabiny po lornetkę. Nie minęła jeszcze nawet połowa poranka, a niebo już się zachmurzyło i jego odcień bardziej przypominał szarą sierść Sophie niż rozświetlony błękit, z którego słynie Queensland.

Dave lustrował powierzchnię wody, a Jan nawoływała. Pocieszała się, że suka spędziła z nimi tyle czasu w wodzie, że potrafi dobrze pływać. Ze nic jej się nie stanie. Jednak aura sprzysięgła się przeciw nim. – Zrobiło się tak szaro. To już nie był ładny dzień. Nawet gdyby znajdowała się blisko, mogliśmy nie dostrzec jej niewielkiego łba – wyjaśnia Jan.

Wzięła lornetkę od męża, który pospieszył na mostek. Postanowili pływać w tę i z powrotem. Dave miał przepatrywać okolicę z góry, a Jan z pokładu.

Gdy mimo nawoływań i obserwacji przez lornetkę nie wypatryli pływającego psa, Jan ogarnęło prawdziwe przerażenie. „Jak mogła zniknąć tak szybko? A jeśli uderzyła o burtę łodzi? Mogła wpaść w pianę, nałykać się jej i utonąć. Fale mogły zepchnąć ją na skały, gdzie od uderzeń straciła przytomność – albo jeszcze gorzej. Inni żeglarze nie zauważyli jej i rozjechali ją łodzią. Co gorsza, nawet Honey May mogła po niej przepłynąć”.

Pływali zygzakami i po wcześniejszym kursie prowadzącym na Hesket i Aspatrię. Sophie mogła pływać w pobliżu miejsca, gdzie wypadła za burtę. Niebo jeszcze bardziej pociemniało i ochłodziło się, a oni wciąż wołali ją po imieniu. Morze tak kołysało, że Jan było trudno utrzymać równowagę i złapać ostrość lornetką. Zaczynała mieć przywidzenia: wydawało jej

się, że nawet białe grzywy fal to Sophie, że każda skacząca ryba czy zmarszczka na horyzoncie jest jej pupilką. Rozpaczliwie pragnęła wypatrzeć te niebieskoszare, czujne uszy. Jednak z każdą mijającą minutą wiedziała, że szanse maleją. Jeśli Sophie żyła i znajdowała się w wodzie, musiała walczyć z tyłoma siłami natury. „A jeśli naprawdę uderzyła w coś głową, ale wciąż żyła, gdzieś tam miotana przez fale? Co musiała czuć? Paniczny strach. Pewnie była zdezorientowana. Spodziewała się, że po nią przyplyną i ją wyłowią, więc zastanawiała się, dlaczego, u licha, wciąż jest tam sama. Może widziała Honey May, a na niej swoich państwa krzyczących z burt? Może nawet ich dostrzegła, próbowała dać głos, ale nie była w stanie szczeleć? Czy trzymała łeb nad wodą?”

Dave wyteżał wzrok i wyobrażał sobie samotną Sophie na oceanie: „Jak miała tam przeżyć? Wszędzie dookoła była woda”. Spoglądał na morze tyle razy, czy to z deski jako surfer, czy z pokładu Honey May jako jej właściciel, i wówczas wypełniało go poczucie spełnienia oraz spokoju. Uwielbiał bezmiar oceanu i jego energię. Jednak znał też jego niszczycielską siłę i im dłużej uczył się żeglarstwa, tym większą miał tego świadomość. Sama myśl, że Bridget lub Ellen mogłyby wypłynąć same, sprawiała ból i przerażała, była ponad jego siły. A Sophie była jeszcze bardziej bezbronna. Nie miała pojęcia o pływach czy rekinach. Nie wiedziała, co to znaczy być samemu na świecie. To on ponosił odpowiedzialność za nią i za to, co się stało.

W obojgu natychmiast zrodziło się poczucie winy. Jan miała do siebie pretensje: „Dlaczego zawołała Dave’a na mostek? Dlaczego zostawili Sophie samą? Nigdy, przenigdy tego nie robili, a teraz suka była gdzieś daleko od nich. Nie znosiła rozłąki z nimi. Jak mogli być tak głupi?”.

Takie myśli kłębiły się w głowach Jan i Dave’a, ale nie wypowiadali ich na głos. Znaleźli się w krytycznej sytuacji, a ich zadaniem było odnalezienie suki. Cisza wydawała im się niezbędna. Gdyby się odezwali, wszystkie ich obawy natychmiast by się urzeczywistniły.

Dave zajmował się na zmianę poszukiwaniami i sterowaniem Honey May. Wbiegał po drabinie, podpływał łodzią kawałek do przodu i znów rzucał kotwicę, aby mogli stanąć i uważnie przeszukać kolejny obszar i aby odgłos silnika nie zagłuszył ewentualnego szczenięcia lub wycia. Zatrzymywali łódź na dziesięć minut. Posuwali się wzdłuż swojej trasy wokół północnego wybrzeża Aspatrii, potem podpłynęli do Heskett Rock tak blisko, jak się dało, zachowując środki ostrożności. Tam znów stanęli i raz po raz wołali sukę.

– Sophie! Sophie Tucker! Tutaj mała! Tuck! Gdzie jesteś, Sophie? Tucker! – nasłuchiwali i mrużyli oczy, wychylając się poza relingi Honey May. Wiedzieli, że z każdą mijającą minutą, ocean mógł znieść Sophie coraz dalej od nich. Nie wiedzieli, gdzie dokładnie znalazła się za burtą, ale na łodzi stracili ją z oczu na niecałe dziesięć minut, a to na morzu oznacza bardzo długo. Około wpół do dziewiątej, czyli mniej więcej dziewięćdziesiąt minut przed zaginięciem suki, pływ był wysoki. To oznaczało, że woda będzie przemieszczać się ze swoją maksymalną prędkością przez następane półtorej godziny. Pływ kierował się na północ, za Scawfell i wszystkie pozostałe wyspy.

„Dlaczego nie mogą jej wypatrzeć? Jak długo może wytrzymać w oceanie i dlaczego nie płynie obok Honey May, patrząc na nich w górę tymi cudnymi, ufnyimi oczami, gotowa wskoczyć z powrotem do pontonu? Była dobrą pływaczką, ale czy miała szanse w starciu z pływami tak silnymi, że rozkołysały Honey May, a Jan przyprawiły o mdłości? A jeśli wpadła na rafę koralową, która pokaleczyła ją niczym ostrze brzytwy? A jeżeli krwawiła? W morzu są rekiny, które mogły ją zaatakować, co groziło jej śmiercią. Zresztą nawet, jeśli nie znalazły jej rekiny, mogła bardzo szybko wykrwawić się na śmierć.

Och, dlaczego nigdzie nie było jej widać? Dlaczego nie potrafili jej wypatrzeć?”

Gdy Griffithowie prowadzili poszukiwania, uruchamiali silnik, rzucaли kotwicę i nawoływali, ich podejście zmieniło się z planowego w gorączkowe, a potem znów w metodyczne. Dave przepatrywał w myślach wszystkie informacje o pływach, krzycząc: –

Tuck! – Biegał co chwilę do systemu GPS, aby możliwie najdokładniej wytyczyć trasę. Oboje próbowali zachować koncentrację, gdy pływali w tę i z powrotem po okolicy. Nie chcieli się poddać.

Jan patrzyła przez lornetkę w kierunku Aspatrii, od której dzieliły ich jakieś trzy mile morskie. Widziała jedynie linię brzegową i zmarszczki fal, które sięgały jej brzegu i cofały się. Przy tak chmurnej pogodzie wyspa wyglądała złowrogo. Nie przypominała tropikalnego schronienia, a raczej skalistą, odległą masę lądu na straszliwym oceanie – tak daleką od ich rodzinnego domu i tak daleką od miejsca, gdzie Sophie zawsze była bezpieczna. Jan spojrzęła w wodę i zrobiło jej się niedobrze. Ocean, nad którym się wychowała, kojarzący się z dostatnim życiem, na które sobie zapracowali, teraz upominał się o niezastąpioną część ich życia. Jan nie umiała sobie wyobrazić pupilki na brzegu, a w miarę upływu czasu nie potrafiła już i nie chciała widzieć oczyma wyobraźni pływającej w nim samotnie Sophie. Była taką kruszyną w porównaniu z bezkresnym oceanem.

Doświadczeni marynarze ostrzegają każdego wynajmującego łódź, że jeśli ktoś wypadnie za burtę, nie wolno spuścić go z oczu, bo inaczej nigdy się już go nie odnajdzie. – Nie ma nadziei – mówi przyjaciel Griffithów, Warren Hill, sternik, nurek i całoroczny żeglarz, który utrzymuje się z morza od 1973 roku. – Jeśli wasz pies wypadnie za burtę, nie usłyszycie jego szczekania. Zanim zorientujecie się, co się stało, już go nie będzie.

Im dłużej się rozglądali, tym bardziej zbaczali ze swojego pierwotnego kursu, wypływając coraz dalej na Morze Koralowe. Znane im wyspy zniknęły, a przed nimi, po sam horyzont ciągnęła się jedynie morska głębia, a nad nią niebo. Gdy ochrypli od wykrzykiwania imienia suki, musieli przyznać, że zrobili już wszystko, co mogli.

Jan i Dave nie potrafili na siebie spojrzeć. Krążyli od dwóch godzin, szukając i nawołując Sophie. Nie chcieli jej pozbawić żadnej szansy ratunku. Jednak byli również w szoku i myśleli już tylko o jednym – o najgorszym. O tym, że nieważne, jak długo będą jeszcze jej szukać, bo i tak nie przeżyła. Nie potrafili tego powiedzieć jedno drugiemu, ale każde z nich dobrze wiedziało, o czym drugie myśli. Nadszedł czas, aby wracać. Decyzja była niezmiernie bolesna, ale byli zbyt zmartwieni i zdenerwowani, by dalsze szukanie mogło cokolwiek przynieść.

Instynkt nakazywał Dave'owi wracać do domu. Jak mogliby zakotwiczyć przy Scawfell i spotkać się z przyjaciółmi w tropikalnym raju, wiedząc, że ich ukochana Sophie zginęła? – Nie widziałem już żadnej nadziei. Zginęła – wspomina Dave. – Okrążyli cały obszar i wołali ją po imieniu. Była jednak tylko psem, wypadła za burtę i nie było po niej śladu. To był ocean, a oni zabrali ją na niego praktycznie tak daleko, jak tylko mogli.

Jan instynkt podpowiadał wręcz przeciwne postępowanie. Jak mogliby wrócić do domu bez psa? Jej racje zwyciężyły. Kontynuowali rejs zaplanowanym kursem. Jan pozostała jeszcze ostatnia iskra nadziei. „Niewykluczone, całkiem możliwe, że napotkamy Sophie po drodze albo jutro, gdy będziemy wracać do domu? Może którymś zmysłem pojęła, dokąd się udajemy – przecież była już z nami na Scawfell – i dotrze tam. A może jakimś cudem dopłynęła do Aspatrii, nie tak znowu odległej od miejsca, gdzie zaginęła?” Jan nie chciała pogodzić się z porażką. Wydawało jej się to czymś niesprawiedliwym i nierealnym. Jeszcze tego ranka Sophie węszyła i dreptała najpierw za nią, a później za Davem. We trójkę wybierali się na przyjemny weekend. A teraz suka zniknęła, tak po prostu, a oni nie potrafili jej odnaleźć, byli bezradni. „Jak mogła tak po prostu zniknąć?” Musiała tam gdzieś być. Instynkt macierzyński Jan podtrzymywał w niej nadzieję, choć w sercu czuła ból. Było wielce prawdopodobne, że Sophie już nie żyła.

Przypuszczenie było tak uzasadnione, a wstyd tak silny, że Jan i Dave nawet nie omawiali możliwości zaalarmowania władz. Gdyby Sophie była człowiekiem, grupy poszukiwawcze byłyby już na miejscu. Zwykle dopiero po trzech do pięciu dni ratownicy dochodzili do wniosku, że nie ma już szans na odnalezienie zaginionego jeszcze żywego, a po tygodniu

zawieszali wszelkie poszukiwania. Jan i Dave po kilku godzinach nadziei, która bardzo szybko gasła, uznali, że ich dwudziestodwukilogramowy pies, znacznie mniejszy i słabszy od człowieka, najprawdopodobniej nie żyje. Że utonął. Do Aspatrii były ponad trzy mile morskie, do St Bees kolejne pół mili. Pływy szybko zmieniały kierunek i ze swoich badań Dave wiedział, że największe występowały właśnie na wschodnim wybrzeżu Australii w okolicach Mackay. Jan pocieszała się jeszcze tym, że suka zachłysnęła się wodą i długo się nie męczyła, że była ledwie przytomna. Możliwych było zbyt wiele bardziej przerażających scenariuszy, których rozważanie było ponad wytrzymałość ich obojga.

Jan i Dave zdawali sobie sprawę, że w rojących się od drapieżników wodach Wielkiej Rafy Koralowej mógł ją czekać znacznie gorszy los, niż utonięcie. Właśnie w tych wodach w 2006 roku tragiczny koniec spotkał słynnego łowcę krokodyli Steve'a Irwina – został dźgnięty w serce przez płaszczkę, do której za bardzo się zbliżył. Skoro płaszczka może zabić krzepkiego mężczyznę, trudniącego się łapaniem krokodyli, łatwo sobie wyobrazić, co mogłoby spotkać Sophie. Wystarczy zadrażnienie lub nadgryzienie przez któreś z licznych morskich stworzeń, aby straciła siły, a zapach jej krwi rozszedł się po całej rafie.

Żyły tam śmiertelne węże morskie, gigantyczne manty, wytwarzające toksyny gąbki szklane, wyglądające jak rośliny parzydełkowce i wiele gatunków meduz, w tym kostkomeduza śmiertelna, która potrafi zabić człowieka w kilka minut. Nie wspominając już o rekinach. Choć w pobliżu Wielkiej Rafy Koralowej rozciągano sieci i rozstawiano boje z jednej strony zakotwiczone do dna morskiego, a z drugiej mające linę z przynętą zawieszoną na haczyku (które dla pozostałych stworzeń morskich są mniej szkodliwe od sieci), aby uczynić plaże bezpieczniejszymi dla ludzi, na rafie żyło wiele rekinów. Rekiny wielorybie wolą co prawda plankton od mięsa, ale jedno drażnienie zębem rekina dowolnego gatunku miałyby fatalny wpływ na dwudziestodwukilogramowego psiaka. Rekiny młoty i rekin tygrysie, mierzące od jednego do nawet trzech metrów, znane są z tego, że odgryzają kawałek każdego napotkanego mięsistego stworzenia, niezależnie od tego, czy płyną na polowanie, czy na małą przekąskę.

Myślenie o krótkich łapach i tułowi Sophie, którą tak lubili przytulać, narażonych pod wodą na ataki każdego ciekawskiego czy głodnego rekina lub rybę, było zbyt makabryczne dla Jan i Dave'a.

Prawdę mówiąc, nie byli też w stanie rozmyślać o wielu innych rzeczach. W chwili, gdy odkryli zniknięcie suczki, zabrali się do działania, a później byli w szoku. Instynkty podpowiadały im sprzeczne rozwiązania, prowadząc do konfliktów między nimi, a także w nich samych. Żadne z nich nie mogło do końca uwierzyć, że psina wypadła za burtę, ani wyobrazić sobie, że mogła tak szybko zniknąć. Jeszcze do nich nie docierało, że ją stracili, a przypuszczenie, że musiała spotkać ją śmierć, wydawało im się absurdalne. Jej nieobecność już wyraźnie odczuli, gdyż zwykle kręciła się gdzieś w pobliżu. Powinna również towarzyszyć im w dalszej drodze na Scawfell. Powinna chodzić za nimi, patrzeć na nich pytającymi oczyma: „Co teraz? Co się dzieje? Dokąd idziemy?”.

Kolejną nierozwiązana kwestią było, jak wypadła za burtę. Mogła wylecieć poza reling, gdy płynąca przez pasaż Honey May została uderzona przez falę i zakołysała się. Rzeczywiście morze było wzburzone i z pewnością łódź nie sunęła gładko, ale Sophie już wielokrotnie pokonała z nimi ten pasaż bez żadnych problemów.

Przepływała tamtędy zaledwie kilka tygodni wcześniej, gdy mieli tak udany połów. Nigdy nie podchodziła blisko burty. Nigdy też nie zdarzył się żaden, nawet niegroźny, wypadek z jej udziałem. Prawie zawsze wlokła się za którymś z członków rodziny lub zostawała pod pokładem, leżąc w przejściu do kambuza, gdy słońce przypiekało dla niej za mocno albo gdy Dave uznał, że dzieje się za dużo rzeczy jednocześnie i kazał jej usunąć się z drogi.

Jan i Dave znaleźli tak naprawdę tylko jedno wytłumaczenie: Sophie chciała wejść po drabinie na mostek. Zostawili ją samą, wpadła w panikę i próbowała dostać się do nich na

górze. Wcześniej już ją tam zabierali. W pośpiechu mogła zapomnieć o swojej głębokiej niechęci do samodzielnego wspinania się po drabince. Być może usiłowała po niej wejść, ześliznęła się i zleciała za burtę. Mogła też podejść do krawędzi łodzi, żeby mieć dość miejsca do skoku na górę, uderzyła w ścianę mostka, odbiła się od niej i wpadła do oceanu. Jan i Dave wyobrażali sobie, że próbowała jakoś dostać się z powrotem na łódź, ale fale ją zniosły, zanim na dobre zorientowała się, że spadła. Im bardziej starali się złożyć w całość sekwencję wydarzeń tego przedpołudnia, tym bardziej docierał do nich niezaprzeczalny fakt: Sophie zniknęła. Była ich stałą towarzyszką. Była ich przyjaciółką i członkiem rodziny. Co bez niej poczną?

Gdy porzucili poszukiwania, dotarcie do Scawfell zajęło im niecałą godzinę, a wtedy było już wczesne popołudnie i słońce znów wyjrzało zza chmur. Wyspa wyglądała zjawiskowo pięknie jak zawsze. Turkusowe wody zatoki zapraszały do tego zakątka tropikalnego raju, a granitowy fundament wyspy malowniczo czerwienił się na tle oceanu. Lecz tym razem nie był to dla nich raj. Ogarnęło ich poczucie odrętwienia. Nie odzywali się do siebie, gdy Dave zrzucił liny za burtę i opuszczał kotwicę w pełnej rezygnacji ciszy.

Zwykle kotwiczenie było zajęciem głośnym i dynamicznym. Dave krzyczał do Jan, aby odwinęła linę i rzuciła ją dokładnie „teraz”. Tego wieczora, gdy wokół nich ustawiły się inne łodzie rekreacyjne, starali się z całych sił, aby kompletnie się nie załamać. Dave w tym celu skupił się na zabezpieczeniu łodzi i wieczornych zajęciach. Pracował sam, a Jan, zagryzając wargi i starając się spokojnie oddychać, otwierała i zamykała szafki w kambuzie, by przygotować coś do jedzenia. „Ale co? Przekąski? Wino? Kolację? Jak mogliby cokolwiek zjeść?” Ledwo funkcjonowała. Liczyła na to, że wkrótce zjawią się przyjaciele i nieco ich zabawią, a jednocześnie miała ochotę zanurzyć się w ciemnościach kajuty i zapaść w sen.

– Jedzenie kolacji tego wieczora było jak przeżuwanie żyletek – wspomina Jan. Jedynym błogosławieństwem było to, że Ian i Denise przyprowadzili jeszcze jedną parę znajomych. Trzy małżeństwa zebrały się na jednej z łodzi. Usiedli razem, jedli i popijali. Denise i Ian promienieli po dniu spędzonym na zawodach wędkarskich w Mackay, w których oboje zdobyli wiele nagród, w tym Champion Boat. Denise skromnie opowiedziała, że nie tylko wygrała w konkurencji indywidualnej, ale też pokonała lana, najwyraźniej swojego największego konkurenta, o jedną makrelę.

Choć było to nieuniknione, Jan i Dave robili wszystko, co tylko mogli, aby uniknąć zmierzania się z tym, o czym oboje teraz myśleli, że stracili Sophie i że to była ich wina. Niezależnie od tego, czy wciąż gdzieś tam płynęła, a tej nadziei jeszcze nie chcieli się wyzbyc, czy też od razu utonęła, pozwolili jej utonąć. Związany z tym szok był przytłaczający i nie potrafili się zmusić, by opowiedzieć o tym przyjaciółom. Jan bała się, że jeśli wspomni o suczce w jakimkolwiek kontekście, całkowicie się załame. Nie chciała im tego robić, a nie potrafiła sama zmierzyć się ze smutkiem. Jan i Dave nie chcieli wyznaczyć się stało. Było to zbyt straszne. – Czuliśmy się tak okropnie, bo pozwoliliśmy jej utonąć. Tak mocno nam ufała. Jak mogliśmy być tacy głupi? – mówi teraz Jan i wciąż wypowiada te słowa drżącym głosem. Do dziś wracanie wspomnieniami do dnia, w którym stracili Sophie, jest dla niej zbyt bolesne. Zamyka oczy lub po prostu zmienia temat.

Tak więc Jan i Dave siedzieli z przyjaciółmi i starali się uczestniczyć w życiu towarzyskim. Zakotwiczone łodzie, wyjęto składane krzesła, rozpalono grill i otwarto butelki wina. Pogawędkom towarzyszył odgłos skwierczących ryb.

W pewnym momencie, niedługo po tym, jak się rozsiedli, a słońce zaczęło zachodzić, nieopodal nich zakotwiczyła kolejna łódź. Jan wpatrywała się w wyspę. Nie mogła się powstrzymać od przeczesywania wzrokiem wybrzeża w poszukiwaniu Sophie. Zauważyła, że ci ludzie mieli psy, więc zaczęła obserwować ich z ciekawością, gdy wsiadali do pontonu na rufie, aby popłynąć na Scawfell.

– Jeden z nich był błękitnym psem pasterskim – opowiada Jan. Zaczęła podnosić się ze swojego składanego krzesła, ale się powstrzymała. Spojrzała na Dave’a, który opierał się o reling, próbując okazać zainteresowanie toczącą się rozmową. Jan wyciągnęła rękę i trąciła męża w ramię, następnie wskazała głową rodzinę w pontonie. Nie musiała nic mówić. Dave bez słów wiedział, o czym pomyślała: Ktoś mógł ją wyłowić!

– Zachowywałam się głupio, ale zaczęłam nabierać przekonania, że ci ludzie ją uratowali – wyznaje Jan. – Wyobrażałam sobie, że nigdy nie będą chcieli się do tego przyznać. Ktokolwiek ją znalazł, na pewno chciałby zatrzymać takie urocze stworzenie.

Jednak to nie była ich suka. Pies nie rozglądał się w poszukiwaniu Jan i Dave’a. Nie okazywał też żadnych oznak niepokoju czy wyczerpania. Niemożliwe, aby Sophie tak spokojnie przyłączyła się do innej rodziny, ani po niedawnym upadku za burzę, ani w innej sytuacji. Nie odeszłyby ani nie zaprzyjaźniłyby się z innymi ludźmi, zachowywała się towarzysko pod warunkiem, że Griffithowie znajdowali się w zasięgu jej wzroku.

Jan obserwowała tamtą rodzinę, gdy wyciągała ponton na brzeg, i serce jej się ścisnęło.

Siedziała i słuchała opowieści przyjaciół, spokojnie kiwając przy tym głową. Twarz przyoblekła w sztuczny półuśmiech i ledwo dawała radę uczestniczyć w spotkaniu w zwykły dla siebie, ożywiony sposób. Była to naprawdę idylliczna scena: trzy małżeństwa relaksujące się przy winie i owocach morza pośród araukarii Cunninghama i lazurowych wód tropikalnego Queenslandu, których jedynym zmartwieniem jest to, o której godzinie mają jutro wyruszyć w drogę do domu. Jednak pod niezobowiązującymi rozmowami krył się strach i gdy wszyscy inni układali się już do snu, Jan i Dave wiedzieli, że dla nich właśnie zaczynają się bezsenne noce.

W niedzielny poranek po zaginięciu Sophie, gdy słońce wzeszło nad Scawfell, a od zniknięcia suki minęła już prawie doba, Jan i Dave, niewyspani i wciąż w szoku, zaczęli długą drogę powrotną do Mackay. Była dziesiąta rano i wiedzieli, że czeka ich najdłuższe dwadzieścia pięć mil morskich w ich żeglarskim życiu. Wyprawa, która miała być towarzyskim i wypoczynkowym rejsem weekendowym, jednym z takich, dla których młodzi ludzie porzucają pracowite, miejskie życie, by przeprowadzić się w queenslandzkie tropiki, zmieniła się w okropne wspomnienie.

Postanowili, że popłyną trasą, którą zwykle określali mianem „malowniczej drogi powrotnej do Mackay”, to znaczy okrążą Heskett Rock i Aspatię, następnie obiorą kurs na St Bees i przepłyną przez cieśninę Egremont, mając nikłą nadzieję, że nastąpi cud, za jaki niewątpliwie należałoby uznać odnalezienie Sophie. Atmosfera panująca między małżonkami była bardzo delikatna. Żadne z nich nie mówiło zbyt wiele. Ustalając plan dnia i podczas innych rozmów, nie wspominali imienia Sophie, aby uniknąć traumy. Gdy Dave się odzywał, wymieniał jedynie kierunki i odległości. Rozważając, jak blisko miejsca, gdzie zaginęła suczka, znajduje się wyspa St Bees, zdał sobie sprawę, że jeśli chcą zachować jakąkolwiek nadzieję, muszą sprawdzić, czy miała szansę dotrzeć do brzegu któregoś z tych wysp.

Był nastawiony bardzo sceptycznie. Miał złamane serce i uważał, że bardzo mało prawdopodobne jest, by Sophie się tam znalazła.

Jednak popłynięcie, bardziej niż cokolwiek innego, pozwoliłoby mu odzyskać pewne poczucie kontroli nad sytuacją. Inaczej groziło mu, że się rozsypie.

Jan odpowiedziała na jego propozycję kiwnięciem głowy i ćwierć uśmiechem. Z trudem oddychała i trzęsły się jej ręce. Oboje starali się wykrzesać z siebie odrobinę optymizmu: „Może jeszcze wszystko skończy się dobrze?”. Każde z nich starało się trzymać fason przed współmałżonkiem.

– Usiłowałam wyrzucić z głowy wizję zalewającej ją spienionej wody za motorówką – wyznaje Jan. – Prześladował mnie straszny obraz jej pięknej, niebieskiej sierści unoszącej się na wodzie.

Dave sterował, a żona siedziała za nim z lornetkę w ręku. Jedną dłoń położył na prawym udzie, a drugą trzymał koło sterowe, przez co sprawiał wrażenie znacznie spokojniejszego, niż był w rzeczywistości. Mrużąc oczy skryte za przeciwsłonecznymi okularami korekcyjnymi, z nadzieją szukał wzrokiem jakiegokolwiek śladu swojej pupilki na wodzie. Bez wątpienia mieli niewielkie szanse, zwłaszcza po wczorajszych intensywnych poszukiwaniach. Skoro nie byli w stanie wypatrzeć suczki kilka minut po jej zniknięciu, jakie mogły być na to szanse po całym dniu i całej nocy pływów? Była jednak silnym, pełnym energii psem pasterskim i pływała w oceanie przez całe swoje krótkie życie. Jan i Dave chcieli wierzyć, że dała radę płynąć w nocy i będzie tam czekała, aż ją zabrają.

To koszmar nawet dla silnego, dobrze pływającego człowieka, a co dopiero mówić o ich rozpieszczanej Sophie. Świadomość, że była tam sama, sprawiała ból. Gdy minął dzień, musiała stracić nadzieję, że Jan i Dave zjawią się, by ją uratować. Musiała płynąć dalej, inaczej by utonąła. Oczyma wyobraźni widzieli swojego najdroższego psa, z łbem uniesionym ponad wodę i zaciśniętymi szczękami, jak płynie i płynie, przebierając łapami, ale nie wie, dokąd zmierza. Gdyby nawet dała radę utrzymać się na wodzie, przerażała ich myśl, jak musiała być wystraszona, gdy wszystkie znajome dźwięki umilkły – warkot motorówek w oddali oraz samolotów i helikopterów w górze – ustępując ciszy oceanu i odgłosom nocy. Mogli jedynie sobie wyobrażać, jak się czuła, gdy ogarnął ją chłód kładącego się do snu świata wokół niej.

Płynęli w kierunku Aspatrii. Przewód morza oddzielającego ich od Scawfell dziś wydawał się nieco mniejszy, a Aspatria była okruszyną w porównaniu ze Scawfell. Przez lornetkę dało się dostrzec jedynie ciemne skały, gęsty las i mnóstwo kolczastych zarośli. Dave prowadził Honey May z powrotem przez burzliwy pasaż, którego wody tego dnia były znacznie spokojniejsze i bardziej przejrzyste. Jan się zastanawiała: „Gdyby wczoraj panowały takie warunki jak dziś, czy psina nadal byłaby z nimi? Czy ich świat by się nie zmienił?”

Niebo było prawie bezchmurne, a morze przychylne. Małżonkowie na zmianę lustrowali okolicę przez lornetkę, skupiając się na Heskiet Rock i akwenie aż do brzegu Aspatrii: „Czy pływy mogły znieść Sophie aż na wyspę?”. Oboje wiedzieli, że to wątpliwe, ale wierzyli w to na tyle, że próbowali jej szukać. Słońce mocno świeciło, co utrudniało im obserwację większości obszaru znajdującego się w zasięgu ich wzroku. Tam, gdzie wczoraj na oceanie pieniały się białe grzywy fal, dziś rozbłyskiwały jaskrawe refleksy światła. Widzieli skaliste wybrzeże Aspatrii z pokrytymi muszlami ostrzeg gładzami wystającymi z niewielkich połaci piasku. Widzieli wszelkiego rodzaju szczątki roślin, takie jak szpiczaste liście paproci i trawy gnane przez wiatr wzdłuż brzegu, i drobne fale obmywające brzeg, równie łagodne jak pogoda tego dnia. Dave wiedział tylko, że nie ma tam żadnego śladu zmęczonego psiaka. Sophie nie czekała na nich, leżąc na Heskiet Rock lub brodząc przy brzegu Aspatrii.

– To było po prostu straszne – wspomina Jan. – Nie potrafiłam przestać się nienawidzić za to, że pozwoliłam jej utonąć. Ciężko było pogodzić się z faktem, że będziemy wracać do domu bez niej.

Opłynęli St Bees i pokonali cieśninę Egremont. W pewnym momencie, gdy Honey May skręcała na południe, zostawiając za sobą wyspy St Bees i Keswick, i kierowała się w stronę węglowców stojących w szeregu jak żołnierze wzdłuż wybrzeża Mackay, Dave, który stał na mostku, wziął do ręki swój telefon komórkowy i zadzwonił do Luke’a. Jan znajdowała się niżej, na głównym pokładzie. Trzymała się relingu na dziobie i oszołomiona spoglądała w kierunku przystani w Mackay, do której wcale nie chciała dopłynąć. Im bliżej byli portu, tym bardziej wszystko stawało się realne. Po dopłynięciu do Mackay bez Sophie nie będą mogli już dłużej zaprzeczać temu, że zginęła. Gdyby Jan nie wiedziała, że to bezcelowe, należałoby, aby tak długo krążyli po okolicy i odwiedzali wyspy w promieniu stu kilometrów, aż uratują swoją sunię.

W Mackay Luke był właśnie na dorocznym festiwalu kulturalnym, Mackay Eisteddfod, i obserwował swoją dziewczynę, Heather, która wykonywała szkocki taniec. W kieszeni zabrzczał mu telefon i na wyświetlaczu zobaczył, że dzwoni ojciec. Odszedł parę kroków na bok od widzów.

– Chcę cię prosić, abys pojechał do domu – zaczął Dave.

Luke zakrył dłonią lewe ucho, aby muzyka nie przeszkadzała mu w rozmowie, i zapytał: – Co się dzieje?

– Zdarzył się wypadek – powiedział Dave.

Luke'owi zaschło w ustach.

– Pomyślałem: „Mama wypadła”. Gdy rodzic mówi ci coś takiego, myślisz o najgorszym!

– Sophie zniknęła. Wypadła za burtę. Nie mamy pojęcia jak, ale wypadła – wyjaśnił Dave.

Żołądek Luke'a zawiązał się w supeł. Jego ojciec, zwykle zachowujący stoicki spokój, miał trudności z wypowiedaniem słów. Musiało być źle.

Dave wyjaśnił najlepiej, jak potrafił, rzeczowo, ale zacinając się, że stracili Sophie i nie chce zbyt wiele o tym mówić. Zniknęła, szukali jej, potem szukali jeszcze raz, ale wyzbyli się już wszelkiej nadziei.

– Możesz uprzątnąć wszystkie rzeczy Sophie, aby matka... abyśmy oboje nie musieli ich oglądać po powrocie do domu? – zwrócił się do syna.

Poprosił Luke'a, aby zabrał miskę, karmę i smycz suki. Poprosił go także, aby przeszukał cały teren, zebrał wszystkie jej piłki tenisowe i schował je w takim miejscu, aby nie musieli ich oglądać, gdy wjadą przez bramę. Tym razem wjadą bez obaw, że suczka będzie biegła tuż obok jadącego samochodu. Wjadą i nie będzie merdała ogonem, ciesząc się z ich powrotu.

Dave powiedział do syna: – Nie obchodzi mnie, co z nimi zrobisz. Po prostu się ich pozbądź.

Luke'owi zrobiło się niedobrze. – Była członkiem rodziny – wspomina teraz. – To było zbyt straszne, aby przyjąć to do wiadomości.

Jedyne, co mu pozostawało, to jak najszybciej wziąć się do działania. Pojechał do domu rodziców. Pierwszą rzeczą, którą zobaczył po przejechaniu otwieranej pilotem bramy, był piszczący, gumowy kotlet, ulubiona zabawka Sophie. – Czujesz się wtedy tak, jakbyś wszedł do domu, gdzie leży kapelusz kogoś, kto właśnie zginął – mówi Luke.

Działał szybko. Pozbierał pogryzione piłki tenisowe spod krzaków, a kilka wyłowił z basenu. Wziął miski na wodę i psią karmę oraz smycz, na której Dave codziennie wyprowadzał Sophie na spacer, i wrzucił je do magazynku obok pralni na dolnej kondygnacji. Luke wykonał większość pracy najdokładniej, jak zdołał, ze świadomością, że uścisk dławiący go za gardło jest niczym w porównaniu z tym, co przeżywali rodzice w drodze powrotnej do Mackay.

Rozdział 6

Stało się coś strasznego

Istnieje wiele sposobów radzenia sobie ze smutkiem i cierpieniem, a Jan i Dave mieli wiele doświadczenia w tym względzie. Ich pierwszą instynktowną reakcją było unikanie rozmów o tym, co się stało, nawet we własnym gronie. Starali się, by życie toczyło się dalej swoim rytmem. Ich ukochana Sophie odeszła, ale była psem, nie człowiekiem. Nie stracili na morzu córki, mimo to nękał ich dojmujący ból. Musieli jednak zachowywać się inaczej niż wówczas, gdyby tamtego dnia za burtę wypadła Bridget czy Ellen (i ta straszna myśl nawiedzała ich oboje).

Griffithowie wierzyli, że między zwierzętami domowymi a ich właścicielami powstają bardzo mocne więzi. Mimo to uważali, że żałoba po kocie czy psie nie powinna mieć zbyt dużego wpływu na ich życie. Zwykle ludzie nie mają ochoty znosić dłużej niż tydzień słuchania o tym, jak bardzo komuś brakuje ich Kici czy Pimpusia. Zarówno Jan, jak i Dave darzyli Sophie głęboką, prawdziwą miłością, jednak sądzili, że należy zachować rozsądny umiar. Przynajmniej w teorii.

W praktyce jej zniknięcie okazało się dla nich obojga koszmarnym doświadczeniem. Była październikowa sobota, gdy suczka weszła na pokład łodzi. Obecnie Jan i Dave już są w stanie o tym rozmawiać, lecz oboje ograniczają ilość istotnych szczegółów, takich jak to, która była godzina, gdy wcisnęli przycisk „człowiek za burtą”, czy też po ilu dniach powiedzieli o tym nieszczęściu znajomym. Ten brak precyzji po części wynika z naturalnego zacierania się szczegółów w pamięci w miarę upływu czasu. Przede wszystkim jednak przyczyniła się do tego trauma, która spowodowała, że wyparli z pamięci bolesne detale. Tamtej nocy na Scawfell Jan krzyczała rozdzierająco, aż do utraty tchu, płakała i zawodziła, a Dave przytulał ją i nic nie mówił. Nie można było już nic powiedzieć.

Nie pamiętają wjazdu przez bramę na swoje podwórko w niedzielny wieczór po zniknięciu suczki. Nie chcą pamiętać, jak to było wracać do domu bez niej. Nie rozmawiali ze sobą i starali się o tym nie myśleć. Jan usiadła na miejscu dla pasażera i patrzyła prosto przed siebie. Życie bez Sophie było dla nich czymś niewyobrażalnym, za to z łatwością przychodziło im wyobrazenie sobie panicznej trwogi, która zapewne ją ogarnęła, a oni do tego dopuścili. Lepiej było się wyłączyć. Musieli to zrobić, jeśli chcieli przetrwać tę ciężką próbę.

Wypakowali rzeczy z samochodu, mechanicznie odstawili kosz piknikowy do schowka na piętrze i włożyli jedzenie do lodówki. Wzięli prysznic i zaczęli szykować się do snu. Jednak kolejna sprawa wywołała ich niepokój, musieli zadzwonić do dzieci. Robili to zawsze po powrocie z rejsu. Zwykle rozmowy były krótkie: informowali, że wszyscy, Jan, Dave, i Sophie, wrócili do domu cudownie zmęczeni słońcem i mchem na świeżym powietrzu.

Teraz żadne z nich nie kwapiło się do przekazania dzieciom tragicznej wiadomości. Nie chcieli ich zasmucać ani rozmawiać o Sophie. Gdyby jednak nie zadzwonili, dzieci zaczęłyby się o nich martwić.

Najpierw Jan wybrała numer Matthew, ale syn nie odbierał, więc siłą się na pogodny głos, zostawiła mu wiadomość. Później skontaktowała się z Ellen. – Zadzwoniła mama i powiedziała mi bez ogródek, co się stało – wspomina Ellen. – Doskonale to pamiętam. – Narzeczony Ellen, Ben, akurat rozmawiał przez komórkę ze swoimi rodzicami. Gdy się odwrócił, zobaczył ją ściskająco kurczowo słuchawkę i płaczącą. – Próbowałam wziąć się w

garść, bo słyszałam w głosie mamy, jak bardzo była przygnębiona – opowiada Ellen. – Jednocześnie starałam się uspokoić Bena, że nic mi nie jest. Pamiętam, że chciałam dokładnie wiedzieć co i jak, ale nie potrafiłam zapytać. Rozłączyłam się, a potem płakałam i płakałam.

Następnie Jan zatelefonowała do Bridget. – Cześć, dzwonię, żeby powiedzieć, że jesteśmy już w domu – zameldowała Jan.

– Jak było? Jak moja mała? – natychmiast zapytała Bridget. – Zamęczona na śmierć tym pływaniem? – Była to tylko figura stylistyczna, gdyż Bridget wiedziała, że zawsze wszyscy troje byli wykończeni po takiej wyprawie.

Na linii zaległa cisza.

– Wszystko w porządku. Słuchaj, jestem zbyt zmęczona na pogawędki – odpowiedziała Jan i się rozłączyła.

Bridget została z głuchą słuchawką w ręku i poczuła niepokój. Nie rozumiała, o co w tym wszystkim chodzi.

Wtedy jej telefon zadzwonił jeszcze raz.

– Co się dzieje? – zapytała dziewczyna. Tym razem dzwonił ojciec. – Gdzie mama?

– Położyła się do łóżka. Nie była w stanie rozmawiać. Posłuchaj, mamy złe wiadomości – powiedział. Żołądek Bridget się ścisnął.

– Co? Co się stało, tato? Powiedz mi!

– Straciliśmy Sophie. Wypadła za burtę. Mama jest kompletnie rozbita. Szukaliśmy jej, ale przepadła.

Bridget nie pamięta dalszego przebiegu rozmowy. Odłożyła słuchawkę i poszła do łóżka płakać. Trwało to dwa dni. Gdy zasypiała, śniła o Sophie: okropne, ponure koszmary, w których suczka wciąż przebierała i przebierała łapami w oceanie do czasu, aż nie miała już siły nimi ruszyć. Budziła się, myśląc, że to nie może być prawda. Pamiętała psinę na łodzi, jaka zawsze była szczęśliwa i podekscytowana, jak grzecznie się zachowywała i jaka była zadowolona, że może być razem z rodziną. W umyśle Bridget Sophie wciąż żyła. Dziewczyna nie znalazła się na tyle blisko wydarzeń, aby w pełni dotarły do niej wiadomości przekazane jej przez ojca tym samym, idealnie wyważonym tonem głosu, który zaniepokoił Luke'a. Sophie powinna być w domu, gdzie Bridget ją zostawiła, i troszczyć się o Jan i Dave'a.

Następny dzień zatarł się w pamięci Jan i Dave'a. Wrócili do domu późnym wieczorem w niedzielę i czuli się skrajnie wyczerpani. Nie mieli najmniejszej ochoty czymkolwiek się zajmować. Jan najchętniej położyłaby się do łóżka i spała przez kilka dni. Dave miał chęć na piwo w dużych ilościach. I tak niewiele mu pomogło. Zresztą wypił go mniej, niż potrafił wypić kiedy indziej w stresujących sytuacjach, ponieważ obawiał się, że podda się emocjom. Oboje najchętniej zaciągnęliby zasłony, usiedli przy kuchennym stole i czekali, aż zadzwoni któryś ze znajomych żeglarzy i zakomunikuje: „Znaleźliśmy waszą Sophie”.

Pobudka w poniedziałkowy poranek i uświadomienie sobie po raz kolejny, że suczka zniknęła i nie wróci, były dla nich straszne. Dave prawie nie spał i gdy otworzył oczy, nie ujrzał cierpliwie wpatrującej się w niego Sophie. Nie polizała go po twarzy. Jan próbowała spać dalej i nie otwierać oczu, aby się nie zmierzyć z faktem, że ulubienica nie przyskoczy do niej i nie otrze się o nią nosem. Odkąd Bridget opuściła dom, każdy poranek rozpoczynał się od kontaktu z uroczą Sophie i dzięki niej codzienna pobudka sprawiała im radość. Teraz dom wydawał się potwornie pusty i przerażająco cichy. Musieli iść do pracy, ale oboje czuli, że nie mają po co wstawać.

Wspólnie doszli do wniosku, że nie mogą się zamknąć w domu i że trzymanie się zwykłego planu dnia pomoże im zająć myśli.

– Nie możemy z tego powodu się tu zagrzebać, kochanie – powiedział Dave. – Chodźmy do Oscar's.

Około dziewiątej Jan i Dave, jak zwykle, weszli do kawiarni Oscar's na śniadanie, z silnym postanowieniem, by dalej normalnie żyć, ale z ciężkim sercem. Wszystko wyglądało

tam zwyczajnie, tak samo jak przed utratą Sophie. Przywitali się z Johnem, który podgrzewał mleko w automacie do kawy, i z Desley, która siedziała przy swoim stałym stoliku, rozwiązując krzyżówki w „Daily Mercury”. Usiedli, złożyli zamówienie i spojrzeli po sobie. Nie zaczęli jednak zwykłej pogawędki o pracy Dave’a na ten dzień, o pogaduszkach Jan z którymś z dzieci tego ranka (rodzinne rozmowy telefoniczne Griffithów zaczynały się, gdy tylko wstał dzień nad Mackay). Byli w stanie mówić jedynie o tym, co wziąć na śniadanie i co Jan powinna kupić na kolację.

Jan uprzejmie się uśmiechnęła i powiedziała: – Dziękuję, kochanie – do ładnej niemieckiej kelnerki, podającej jej chude latte. Gdy Desley dosiadła się do ich stolika, Jan zmusiła się, aby zapytać ją, jak spędziła weekend. Znajoma opowiedziała o filmie, na którym była w kinie w sobotę wieczorem, a potem zainteresowała się, jak im minął weekend. Dave spojrzął na żonę, a jego mina wyrażała: Zostawiam to tobie.

– Cóż – powiedziała Jan, ze wzrokiem wbitym w kawę – popłynęliśmy łodzią na Scawfell.

– Cudownie – zachwyciła się Desley, marszcząc nieco brwi. Wyczuła, że coś było nie w porządku, ale przypuszczała, że Jan i Dave są po prostu zmęczeni, jak to zwykle bywało po ich wyprawach żeglarskich. – Tym razem też była dobra pogoda na ryby?

– Mmm, tak – odpowiedziała Jan i podniosła wzrok na rozmówczynię. – W zasadzie, nie. Spotkaliśmy się z przyjaciółmi, Ianem i Denise. Byli na zawodach wędkarskich.

Zapanowała cisza. Jan nie była w stanie jej znieść.

– Właściwie, Desley – głos Jan się załamał – stało się coś strasznego.

Kobieta spojrzała na Dave’a, który potwierdził kiwnięciem głowy.

– Och, nic wam nie jest? – Desley poczuła się zakłopotana i zaniepokojona.

– Straciliśmy Sophie – wyznała Jan, a w jej oczach zaczęły zbierać łzy. Nie chciała płakać przy ludziach, nie mogła.

– Jan! O, Boże! – westchnęła Desley, odkładając łyżeczkę, którą się bawiła.

– Wypadła za burtę. Byliśmy nieopodal St Bees i zostawiliśmy ją na pokładzie. Tylko na dziesięć minut. Czuję się tak głupio. Pierwszy raz zostawiliśmy ją samą na dole i teraz nie żyje.

Desley wyobraziła sobie Sophie (którą widziała kilka razy u Jan i Dave’a) gdzieś tam na oceanie. – To taki uroczy piesek. Och, tak mi przykro.

– Jestem zrozpaczona – powiedziała Jan, obejmując dłońmi swoje latte, jakby chciała je rozgrzać od ciepłej kawy. – Szukaliśmy jej. Szukaliśmy i szukaliśmy, ale nigdzie nie zobaczyliśmy, by dopłynęła na wyspę – powiedziała Jan. Oczy miała pełne łez. – Najgorsze jest to, że nie wiemy, co się z nią stało. W jednej chwili była tam, a zaraz potem zniknęła.

Tego dnia Desley wróciła do domu udręczona. – Nie mogłam przestać myśleć o tym psiaku płynącym bez końca i nie mogącym nigdzie dotrzeć – opowiada Desley. – Nawet dla mnie wyobrażenie sobie tego było bardzo bolesne. Wiedziałam, że musieli czuć się zrozpaczeni. Naprawdę zależało im na tym psie. Uwielbiali go.

Po tym, jak Jan i Dave otworzyli się przed Desley, już mało komu się zwierzyli – tylko kilku osobom w Mackay, z którymi byli dość blisko na co dzień. – Prawie nikomu o tym nie mówiłam. Po prostu nie mogłam. Było mi tak wstyd i nie chciałam już więcej o tym myśleć – opowiada Jan. Zadzwoiła do Jenko, ponieważ wiedziała, że nie będzie jej osądzał i rozumieją.

Jenko powiedział jej dokładnie to, co w tej sytuacji mogło ją pocieszyć. – Pani Griffith, nie wolno pani myśleć o tym, że pływała bez końca, zataczając kręgi. Nabralaby pełno wody do pyska. Psy nie mają koordynacji odruchów. Opilaby się wody i natychmiast by utonęła – nic bardziej pozytywnego nie mógł jej powiedzieć. – To było naprawdę okropne – wspomina. Zauważył, że głos Jan drżał bardziej niż wtedy, gdy zadzwoniła do niego w sprawie uśpienia Jordy.

Jan powtarzała sobie, że ludzie mają na co dzień do czynienia ze śmiercią swoich pupili, lecz w zniknięciu Sophie było coś więcej, coś, co rodziło koszmarnie pytania. Oboje małżonków bezustannie dręczyły możliwe scenariusze wydarzeń. Mówili sobie, że odeszła i że nastąpiło to szybko. Nie potrafili jednak przestać myśleć: „A co jeśli ona gdzieś tam jest?”. Miotali się między pragnieniem wyobrażenia sobie, że ma ciepło i bezpiecznie, a powrotami do rzeczywistości, gdy zdawali sobie sprawę, że jeśli nawet przeżyła, nie może mieć ani ciepło, ani bezpiecznie. Jak mogłaby sobie poradzić? Tak bardzo była od nich zależna (a oni od niej). Jan wyobrażała sobie, że pływy zniosły ją na jakąś wyspę, powiedzmy na Aspatrię otoczoną skałami i oceanem, na której wznosiły się ciemne góry. Nie było na niej kropli słodkiej wody i stwarzała bardzo ograniczone możliwości zdobycia pożywienia. Psina miała do wyboru jedynie kraby lub ostrygi, a także ryby, gdyby zebrała dość sił i wykazała tyle zaradności, by łowić w morzu. Jan przesładowała myśl, że suczce udało się dotrzeć do wyspy, rozejrzała się wokoło, szukając swojej rodziny, po czym przekonała się, że jest całkiem sama. Musiała być wyczerpana, spragniona, głodna i strasznie zagubiona. Jan dręczył obraz Sophie leżącej na piasku z łbem na łapach i pełnym desperacji wzrokiem, będącej u kresu wytrzymałości i rozpaczliwie zastanawiającej się, gdzie są jej państwo.

Wśród lęków czasami pojawiała się iskierka nadziei, która jedynie przyczyniała im dalszych tortur psychicznych. Nie potrafili jednak uwolnić się od myśli: „Czy miała w ogóle jakiegokolwiek szanse, by jej się udało?”. Sophie dobrze pływała, była silna i bystra. Jeśli przeżyła wypadnięcie za burtę, miała dość sprytu i rozumu, by rozejrzeć się wokół i zorientować się, gdzie ma szanse ocaleć, a gdzie nie. Szukałaby najbliższego lądu i wiedziałyby, że najlepiej skierować się w miejsce, w którym wyczuje obecność ludzi. „Z pewnością jest na tyle zmyślna, by powziąć jakiś plan” – myślała sobie Jan.

Były to jednak tylko mgliste rozważania i nadzieje. W głębi duszy oboje byli przekonani, że Sophie nie żyje. Próbowali pogodzić się z tym faktem, ale było to trudne. W jednej chwili Sophie stanowiła część ich życia, a w następnej była... czym? Wspomnieniem? Nie potrafili się pożegnać. Jan zamykała oczy, gdy niepokojące sceny pojawiały się w jej głowie. Brała kilka głębokich oddechów i starała się wywołać pogodne obrazy Sophie, doświadczającej tego, co ludzie doznają, gdy są bliscy utonięcia: światła i ciszy. Bez bólu, bez strachu.

Któregoś poranka podczas tego pierwszego tygodnia Jan obudziła się i poczuła, że musi porozmawiać o stracie z kimś innym niż mąż i dzieci. Jej poczucie wstydu się pogłębiało. Zżerało ją poczucie winy, że pozwoliła Sophie zginąć, że zabrali ją na łódź, a nie powinni byli nigdy tego robić, i że dopuścili się strasznego zaniedbania.

Postanowiła zadzwonić do swojej starej przyjaciółki Heather. Później miała dziękować za tę decyzję swojej dobrej gwiazdzie.

Jan i Heather miały niewielką grupę znajomych kobiet i co kilka miesięcy u którejś z nich w domu organizowały damskie spotkania, czasami dość huczne. Zwykle relaksowały się w basenie, co niekiedy powodowało kaca u jednej czy dwóch następnego dnia. Heather, która przez kilka lat okazywała radość z obecności Sophie na obiadach u Jan, była miłośniczką psów i posiadaczką białej, puszystej pudliczki imieniem Carly. Wraz z mężem, Tommym, zabierali ją na swoją łódź, gdy pływali wokół archipelagu Whitsunday.

– Jan zadzwoniła, zalewając się łzami, zrozpaczona – wspomina Heather. – Powiedziała: „Straciliśmy Sophie. Wypadła za burtę”. To było straszne, bardzo jej współczułam. Obie płakałyśmy.

Jan potrzebowała pocieszenia, odrobiny empatii, czegoś, co by jej ulżyło w dźwiganiu przygniatającego ją ciężaru i wyrzutów sumienia, że zawiodła jako opiekunka Sophie. – Sądzę, że Jan wiedziała, bo my też zabieramy naszego psa na rejsy, że zrozumie, jak łatwo czworonóg może wypaść za burtę. A wielu ludzi nie ma o tym pojęcia i potrafią bezlitośnie oceniać. Natomiast ja wiedziałam, jak łatwo może do tego dojść. Zawsze zabieramy ze sobą

Carly i nie potrafilibyśmy inaczej. Byłaby tak przygnębiona, gdybyśmy ją zostawili. Jednak zawsze gdzieś na dnie duszy czai się obawa.

Jan nie miała wiele do powiedzenia, ale potrzebowała to z siebie wyrzucić. Nie należy do osób łatwo wybuchających płaczem i trudno jej było otworzyć się przed Heather. – Po prostu czułam, że ona musi wiedzieć – mówi Jan. Po odłożeniu słuchawki poczuła się nieco lepiej. Później, przy kolacji, opowiedziała mężowi, jak Heather okazała jej zrozumienie. – Na łodziach zdarzają się wypadki i nie da się zapewnić psu stuprocentowego bezpieczeństwa – podsumowała Heather.

Dave z trudem słuchał tego, co mówi żona. Niewielką pociechą było dla niego przypomnienie, że nie tylko oni zabierali ze sobą psa, nadal czuł się podle. Przez kilka ostatnich dni chodził do firmy i starał się zająć pracą, ale w gruncie rzeczy myślami i duchem był nieobecny. Ledwo do niego docierało to, co ludzie do niego mówili. Próbował włączać się w pogaduszki przy kawie ze swoimi pracownikami, ale przeważnie stał milczący. Nie żartował tak jak zwykle. Przebywanie w firmie pozwalało mu oderwać myśli od Sophie, przynajmniej w pewnym stopniu, ale gdy tylko usiadł spokojnie, powracały wspomnienia tych strasznych godzin, gdy krążyli po morzu i nie mogli niczego dostrzec, prócz szarego nieba i wzburzonej wody.

Wracając po południu z pracy, Dave z ciężkim sercem przekraczał bramę domu. Potrzebował wyłączyć całkowicie swój mózg, więc sięgał po swoje wieczorne piwo Corona. Nie czekał go już popołudniowy spacer. Brakowało mu towarzystwa Sophie, która wszędzie za nim chodziła. Miał ochotę przemawiać do suczki. Przez większość dnia starał się nie myśleć o niczym, aby uniknąć myślenia o tym, jak strasznie cicho zrobiło się w domu. Gdy podlewał ogród, nie wiedział, czy ma sobie gwizdać, czy się powstrzymać. Oboje małżonkowie cierpieli i w konsekwencji więź między nimi, dotąd pełna serdeczności i werwy, zaczęła słabnąć.

Przez następne dni Jan płakała, co było do niej zupełnie niepodobne, ilekroć pomyślała o Sophie. Czwórka ich dzieci wymieniała się emailami i wydzwaniała do siebie nawzajem i do nich, zastanawiając się, co mogą zrobić, aby pomóc. Dave, urodzony słuchacz, wycofywał się z dyskusji znacznie częściej niż przed tym okropnym wypadkiem, który zmienił ich życie. Odkąd poinformowali o tym wydarzeniu bliskie im osoby, jeśli pominąć pojedyncze przypadki, gdy ktoś zapytał o wspianiałą Sophie, Jan i Dave nie wymieniali jej imienia, nawet w rozmowach między sobą.

Rozdział 7

Pies rozbitek

Był jeden z pierwszych grudniowych dni 2008 roku, dochodziło południe. Minął już ponad miesiąc od wypadnięcia Sophie za burtę. Na Keswick Brian Kinderman wracał właśnie do pensjonatu z pasa lotniskowego, gdzie witał i żegnał wszystkie odwiedzające tę wyspę samoloty. Ten wąsaty, były menedżer korporacyjny przeniósł się na Keswick cztery lata temu, aby zacząć nowe życie z dala od wyścigu szczurów w Brisbane. Miał na sobie swój zwykły strój wyspowy: dżinsowe szorty, wsuwane, płócienne buty oraz żółtą, odblaskową kamizelkę z poliestru, aby pilotom było łatwiej go dostrzec. Dzień był upalny i słoneczny, podobnie jak wiele innych podczas tej wyjątkowo gorącej i bezdeszczowej pory suchej, bardziej skwarnej od wszystkich, które pamiętają nieliczni mieszkańcy Keswick. Brian jechał wózkiem golfowym w górę drogi gruntowej, kiedy spotkał psa.

Był to pies o ciemnoniebieskiej sierści nakrapianej ciemnoszarymi cętkami, z małymi, szpiczastymi uszami, które postawił, przy czym lewe nieco mu opadało. Stał pewnie na środku drogi, zachowując czujność, z łapami lekko rozstawionymi, i patrzył na Briana.

Pies.

Widok był surrealistyczny. Brian na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje. Przecież to nie przedmieście Brisbane, tylko samotna wyspa, na której trzymanie psów jest zabronione! Spojrzał za siebie, w kierunku pasa lotniskowego. „Czy tam na dole kołysała się zakotwiczona łódź? Skąd wziął się ten pies? I dlaczego tak tu stał, wpatrując się w niego?”

Mniej więcej tydzień temu inny wyspiarz i kolega Briana, Mikę Barnett, powiedział, że około piątej rano widział psa biegnącego drogą w pobliżu jedynej na wyspie ronda. Poinformował Briana i kilka innych osób, że poszedł za psem, ale zgubił go w okolicach plaży. – Golnij sobie kolejne piwko – usłyszał wówczas żartobliwą odpowiedź.

Ale pies tu stał. Zatem Mike’owi wtedy się nie przywidziało.

Wówczas wszyscy doszli do wniosku, że jeśli naprawdę Mikę widział psa, musiał on przypłynąć na łodzi, która zakotwiczyła na noc u brzegu wyspy. Jednak teraz, tydzień później, Brian zdał sobie sprawę, że być może nie ma żadnego jachtu, na który ten pies mógłby wrócić. Gdy zwałniał wózkiem golfowym, aby się zatrzymać, zwierzę się nie poruszyło. Wyglądało na wychudzone i zaniedbane. Dostrzegł żebra wystające pod szorstką, zmierzwioną sierścią. Pomyślał, że jeśli pies przebywa na wyspie od tygodnia, musi być bardzo spragniony. Na Keswick nie ma słodkiej wody, więc mieszkańcy zbierają deszczówkę, której brakowało od miesięcy. – Pies nie wyglądał najlepiej – wspomina.

Zwierzę patrzyło Brianowi prosto w oczy, ale od czasu do czasu nieśmiało odwracało łeb. Wyglądało tak, jakby chciało go sobą zainteresować, ale nie zamierzało wykonać pierwszego ruchu. Nie było groźne ani nie wydawało się wystraszone. Brian nie wiedział, czy prosi go, aby za nim poszedł, czy próbuje mu coś pokazać. Okazywało wahanie, ale nie zachowywało się nieprzyjaźnie.

– Wsiadłem, wziąłem sznur z tyłu wózka i ostrożnie podeszedłem do niego na palcach, mówiąc: „Witaj, piesku. Dzień dobry”.

Stali naprzeciw siebie, patrząc przyjaźnie. Brian podeszedł na tyle blisko, by słyszeć jego dyszenie. – Czuję się, jakby mnie sprawdzał. Nie był wystraszony, ale też nie przymilał się. Po prostu stał tam jak posąg.

Jednak, gdy mężczyzna zbliżył się na tyle, by wyciągnąć rękę, pies umknął. Dopiero co stał nieruchomo, po czym w ułamku sekundy zerwał się do ucieczki. Brian chciał wypróbować sznur jako lasso, kręcąc nim dwa razy w powietrzu i rzucając je w kierunku psa, którego już przed nim nie było. Uciekał galopem drogą w kierunku dwudziestu rozrzuconych po wyspie domów.

Brian wskoczył do wózka golfowego i mszył w pogoń, rozwijając dopuszczalną na wyspie prędkość dwudziestu kilometrów na godzinę. Była to scena niczym z kreskówki Disneya: pies prowadził Briana w górę i w dół po wzgórzach, ani na chwilę nie zbaczając z drogi. – Odwracał się do mnie, jakby chciał powiedzieć: „Nadał za mną podążasz?”. Miałem wrażenie, że chce mnie gdzieś zaprowadzić.

Po co gonił za psem, nie było jasne nawet dla niego samego. – Co bym zrobił, gdybym go złapał? Zabrałbym go do domu i przynajmniej nakarmiłbym go i napił wodą, ale musiałbym zawiadomić EPA⁵, ponieważ na wyspie nie może być żadnych zwierząt, które nie występują tu naturalnie. Przyjeżdżając tu, wszyscy musieliśmy pożegnać się ze swoimi naprawdę kochanymi pupilami.

Brian jechał za psem tak szybko, jak tylko mógł przez ćwierć wyspy Kozia Droga, która prowadzi przez nowe działki budowlane na plażę, gdzie wypielegnowane trawniki i swobodnie rosnące ogrody rodzimych róż odmiany Maiden's Blush i drzew *Macaranga tanarius* ustępują miejsca suchym zaroślom i buszowi.

Brian zgubił ślad psa między buszem a plażą nad zatoką Basil. – Jechałem za nim wieczność, powtarzając sobie, że muszę go dogonić. Nieustannie się rozglądał, jakby chciał się upewnić, że wciąż za nim jestem. Potem nagle zniknął w podszyciu. Zatrzymałem wózek i pobiegłem w krzaki, ale zniknął. – Brian przez godzinę szukał go i wołał: – Tutaj, piesku! – ale bez skutku. Tajemnicza zjawa z powrotem rozplynęła się w dziczy.

Odwiedzający liczącą pięćset trzydzieści hektarów wyspę Keswick mogą włóczyć się po niej całymi dniami, nikogo nie spotykając. Osiemdziesiąt procent powierzchni wyspy to dzikie obszary, w większości górskie gęstwiny z lasami deszczowymi, tysiącletnimi gatunkami cykad i żółtakami, których długie, trawiaste liście wyrastają z grubego pnia. Piloci, zwykle przelatujący nad wyspą cessnami z oddalonego o trzydzieści cztery kilometry lotniska w Mackay, mogą obejrzeć z góry pofałdowany teren porośnięty dziką roślinnością, jakiej musieli stawić czoła pierwsi australijscy osadnicy. W górach i wzdłuż granic wyspy ciągną się zarośla mangrowców, mokradła, nad którymi pochylają się czarnobiele, zwane drzewami papierowymi, i mnóstwo różnych gatunków eukaliptusów. Wzdłuż wybrzeża rozrzuconych jest pięć piaszczystych plaż – zachwycających, lecz dzikich. Całymi dniami, a nawet miesiącami nikt ich nie odwiedza. Biegają po nich jedynie kraby i setki niewielkich brązowych scynek przypominających gekony, a biegacze pustynne i kawały wyrzuconego przez morze drewna toczą się po piasku, gdy wieją silne wiatry, co często się zdarza, ponieważ Keswick leży na linii dominujących w tym regionie południowo-wschodnich wiatrów.

Para młodożeńców, która zatrzymałaby się w jedynym na wyspie pensjonacie, mogłaby, całymi godzinami, a nawet dniami, siedzieć samotnie na plaży nad zatoką Basil z butelką wina, niepokojona co najwyżej przez wścibskiego kraba czy przechodzącą iguanę. Jedynym człowiekiem, którego ta romantyczna para miałaby szansę spotkać, byłby jeden z czternastu stałych mieszkańców Keswick (a liczba ta rośnie) przepływający obok kajakiem, spacerujący drogami przeciwpożarowymi lub delektujący się własnym winem, gdy tarcza słońca nad Morzem Koralowym pokrywa się różowopomarańczowymi smugami.

⁵ Environment Protection Agency (EPA) – Agencja Ochrony Środowiska (przyp. tłum.).

Waranom z Keswick nie zagrażają drapieżniki, ponieważ w przeważającej części wyspy nie ma żadnego. Muszą jedynie uważać na bieliki biało brzuche i kruki spadające na nie z góry, ale na ziemi spotykają jedynie niejadowite węże i pająki. Nie występują tam żadne zwierzęta większe od waranów – nie ma kóz, kangurów, dingo, psów ani kotów.

Keswick, w przeciwieństwie do wielu okolicznych wysp, w tym St Bees, udało się ochronić przed napływem gatunków obcych, a mieszkańcom nie wolno trzymać żadnych zwierząt domowych. Hasłem kampanii promującej turystykę na Keswick jest „ostatni raj w archipelagu Whitsunday”, o czym świadczą setki szczęśliwie żyjących tam gatunków ptaków i zdrowa populacja pszczół miodnych kaukaskich, które uchowały się dzięki setkom lat izolacji.

Ludzkie siedziby znajdują się w południowo-wschodniej części wyspy i zajmują pas łądu ledwo widoczny z większości plaż na Keswick, a nawet z motorówek, które dziesiątkami przypływają w każdy weekend. Pasażerowie jachtów żeglujących cieśniną Egremont lub turyści patrzący z St Bees mogą nawet nie zauważyć pensjonatu w kolorze zielonej herbaty, przycupniętego jak bocian nad stromym urwiskiem w otoczeniu lasów deszczowych, które schodzą prosto do zatoki Horseshoe. Reszta domów na Keswick – lekkich drewnianych konstrukcji pomalowanych w przytłumionych odcieniach niebieskiego, szarości oraz zieleni i rozsianych po łagodnych wzgórzach wioski – jest ledwo widoczna. W sumie jest tam dwadzieścia domów, miejsce na cztery kolejne, czterystuosiemdziesięciometrowy pas lotniskowy oraz wyremontowany pensjonat należący do Briana Kindermana i jego żony Lyn.

Mieszkańcy poruszają się elektrycznymi wózkami golfowymi po kilku drogach gruntowych noszących takie nazwy jak Droga Zatoki Lazurowej czy Droga Cieśniny Korolowej. Wieczory spędzają na swoich balkonach, podziwiając zachody słońca nad lasami deszczowymi wyspy i wybrzeżem otoczonym rafami koralowymi. Większość z nich ma niczym nieprzesłonięty widok na tropikalny ocean oraz połyskujące w słońcu wyspy Brampton i Hampton aż po Wielką Rafę Korolową.

W weekendy pielęgnują swoje ogrody, w których rosną miejscowe gatunki roślin, a wiosną zbierają się wieczorami na przyjęciach w pensjonacie, aby obserwować stada humbaków płynących przez cieśninę Egremont podczas migracji na południe. Jero Andrews, który przeprowadził się na Keswick na początku 2008 roku, a większość życia spędził w pobliżu wody i na łodziach, nie sypia przez całą noc z powodu hałasujących walen. W czasie zalotów wyskakują one nad powierzchnię wody i rozpryskują ją uderzeniami płetw. Pijąc poranną kawę, mieszkańcy wyspy bywali świadkami narodzin młodych walen. Wieloryby spędzają czasem kilka kolejnych miesięcy w Egremont, zanim ruszą w dalszą drogę z małymi.

Na wyspie nie ma sklepów ani kawiarni. Największymi intruzami z cywilizowanego świata są cenny przywożące architektów i robotników budowlanych, a także zapasy artykułów spożywczych i skrzynki wina na nadchodzące dni, tygodnie i miesiące.

Turyści odwiedzający Keswick, których jest około trzystu rocznie, mogą usiąść i podziwiać orły i rybołowy, podczas przypływu nurkować w zatoce Basil wraz z żółwiami morskimi i płaszczkami albo spacerować od jednej zatoki do drugiej, fotografując malownicze formacje koralowców. Mogą także wędrować drogami przeciwpożarowymi i kilkoma szlakami turystycznymi, obserwując pełzające po gałęziach węże nadrzewne i stojące na tylnych łapach warany. Jedyne poważne zagrożenie na wyspie stanowią pszczoły w srebrne paski, które dopóty nikim i niczym się nie interesują, dopóki nie sprowokuje ich woń mocnych perfum czy inny ostry zapach.

Brian był pierwszą osobą, która spotkała psa, i przez kilka następnych tygodni raczył wyspiarzy i gości szczegółami pogoni za zwierzęciem. Myśl o tajemniczym psiaku walczącym o przeżycie gdzieś tam na wyspie zarówno martwiła, jak i cieszyła mieszkańców

Keswick. Zwierzęta domowe i tęsknota za nimi były stałymi tematami ich rozmów przy drinkach, gdyż większość z nich musiała zostawić ukochanych czworonożnych członków rodziny, aby móc zamieszkać na terenie objętym ochroną. Jednak pod warunkiem, że wspomnianie o tym nie było dla nich zbyt bolesne, jak w przypadku Lyn Kinderman, która rozstała się z dwoma kotami, gdy wraz z Brianem przenosiła się na Keswick. Złamało jej to serce i potrzebowała kilku kieliszków wina, aby się otworzyć i podjąć rozmowę na ten temat. – Oddaliśmy je do schroniska. Nie mogę o tym mówić, bo się rozpłaczę – wyznaje Lyn.

Tak więc, gdy na początku grudnia nieuchwytny pies pokazał się Brianowi, wśród mieszkańców Keswick rozniosła się pogłoska o nim, gdyż wówczas zdali sobie sprawę, że widzieli go stanowczo zbyt wiele razy, aby można go było uznać za przypadkowego i tymczasowego gościa. Karen Cooke przypomniała sobie, że spotkała psa nieopodal ronda kilka tygodni wcześniej niż Mikę Barnett. Zobaczyła go na szlaku pieszym schodzącym do zatoki Connie, to znaczy na stromej ścieżce o długości około trzech kilometrów, która prowadzi z zamieszkaną część Keswick na wybrzeże.

Karen, będąca czujną wyspiarką, zauważyła również odchody różniące się od tych zostawianych przez dzikie zwierzęta z wyspy i gdy przeszukała okoliczny busz, znalazła miejsca z wygniecioną trawą. Wówczas nie potrafiła stwierdzić, jakie zwierzę mogło to zrobić, ale gdy psa zobaczył najpierw Mike, a potem Brian, stało się dla niej jasne, że odkryła ślady jego pobytu.

Na wieczornych spotkaniach mieszkańcy wyspy wymieniali się historyjkami i teoriami na temat tego, skąd wziął się pies na wyspie, gdzie się teraz znajduje i jakim cudem przeżył. Martwili się, jak znajduje dość picia, skoro nie padało od miesięcy. Nawet poziom wody w zbiornikach niektórych wyspiarzy znacznie się obniżył. Ponadto lato było gorętsze niż zwykle, panowały temperatury wyższe od idealnych temperatur rzędu trzydziestu stopni. – Wszyscy zaczynaliśmy się niepokoić. Nigdzie nie było wody i o ile pies nie przyczał się gdzieś w okolicy i nie wysysał wody z roślin doniczkowych, to musiał strasznie cierpieć z pragnienia – mówi Lyn Kinderman.

Oprócz kwestii wody pitnej pojawiła się kolejna: co ten psiak jadł? Nikt nie zauważył, aby zniknęło mu jedzenie z kuchni czy z koszy na śmiecie. Na wyspie były ptaki i jaszczurki, ale czy dość, aby pies się wyżywił? Mógł zapolować na gnieźdzące się na glebie kukale bażancie albo wiecznie otumanione kuliki, a poza tym na wyspie żyły niejadowite węże drzewne, które nadawałyby się na posiłek dla niego, gdyby był na tyle sprytny, żeby je złapać. Mógł jeszcze łowić ryby przy brzegu wyspy, ale musiałby bardzo uważać, aby nie pokaleczyć się o koralowce. Raczej nie było tam warunków umożliwiających przetrwanie samotnemu psu, za to groziło mu tam mnóstwo niebezpieczeństw, których musiał się wystrzegać.

Wyspiarka Eva Browne-Paterson przysięga, że przez kilka nocy słyszała szczekanie, które wrywało ją ze snu. Budziła się zdenerwowana i z przekonaniem o konieczności lepszego zabezpieczenia się. Mike Barnett, który odpowiadał za pilnowanie bezpieczeństwa na wyspie, dokładał starań, aby znaleźć psa podczas swoich codziennych rund jedynym na Keswick pojazdem z napędem na cztery koła. Po tym pierwszym spotkaniu wczesnym rankiem przed swoim domem nie zobaczył już go więcej, ale on i jego żona Lyn dostrzegli ślady psich łap na ziemi. Chodzili trzyipółkilometrową drogą do zatoki Arthur i kilkakrotnie w ciągu tygodnia czy dwóch zauważyli odciski łap biegnące od lasu deszczowego w kierunku wybrzeża, a potem z powrotem. Mike i Lyn jako zagorzali miłośnicy zwierząt, którzy gotowi byli ratować gąsienicę czy mrówkę, przenosząc ją ze swojego balkonu do ogrodu, podeszli bliżej, aby zbadać trop i zidentyfikowali go jako ślady psich łap. Domyślili się, że psina musi chodzić na plażę, aby się kąpać lub łowić ryby.

Mimo że Mike i Lyn odczuwali wielką pokusę, aby ponownie zostać właścicielami domowego zwierzęcia, wiedzieli, że gdyby nawet udało im się schwycić psa, to i tak musiałby zniknąć z wyspy. – Nie moglibyśmy go zatrzymać, ale postaralibyśmy się znaleźć kogoś w

Mackay, kto by go przygarnął – wyjaśnia Mike. – Wzywianie hycła lub strażników parkowych nie było dobrym rozwiązaniem. Zabiliby go, gdyby nie udało im się go schwytać. A nie wyglądał na takiego, który da się złapać. Nie mieliby wyboru, taka praca.

Wszyscy mieszkańcy Keswick wypatrywali psa podczas swoich codziennych zajęć. Wiedzieli, że z każdym mijającym dniem jego szanse na przetrwanie maleją. Jeśli nie był odwodniony i zagłodzony, mogli go złapać strażnicy parkowi. Keswick po prostu nie jest przyjaznym miejscem dla zwierząt domowych.

Jedyne słowa, które adekwatnie opisują długie, samotne pływanie Sophie w morzu, to „cud” i „bezprecedensowy przypadek”. Gdy wypłynię się na środek oceanu i popatrzy na ogromne odległości oraz zdradliwe, niespokojne wody, które musiała pokonać, aż trudno uwierzyć, że jej się udało. Jednak w pewnym momencie po wypadnięciu za burtę o poranku 25 października, czy to po upływie dwunastu godzin, czy też dwunastu dni, wdrapała się na brzeg Keswick znajdującej się w odległości około pięciu mil morskich od miejsca, w którym Dave i Jan nacisnęli przycisk „człowiek za burtą” na Honey May. Z pewnością była cała pokryta solą, wyczerpana i w szoku. Sierść miała pozlepianą i przyklejoną do skóry. Trudno sobie wyobrazić, jak bardzo musiały ją boleć stawy przednich i tylnych łap po przeplnięciu takiego dystansu.

Musiała przeżyć ogromny wstrząs w chwili, gdy wpadła do wody, ale instynkt przetrwania zmusił ją do płynięcia. Tylko w ten sposób weterynarze i kynolodzy potrafią wytłumaczyć, jak jej się udało dotrzeć tak daleko. Dla psa, który spędzał ponad pół godziny w basenie czy jeziorze, nawet bardzo lubiącego wodę, to musiał być wyczyn powodujący skurcze. Jeśli wyobrazimy sobie psa na środku oceanu, płynącego pięć, sześć, możliwe nawet że dziesięć lub więcej mil morskich, walczącego z prądami, prądami morskimi i znośzeniem przez wodę spowodowanym tym, że wody oceaniczne zmieniają swój bieg zmuszone do opływania wysp i raf koralowych, wyczyn ten jest tym bardziej zadziwiający.

– Do tego zdolny byłby tylko czworonóg tak silny jak psy pasterskie – mówi australijski weterynarz Rob McMahon. – Są niesamowicie wytrzymałe, ponieważ wyhodowano je do jednej z najcięższych prac, jakie mogą wykonywać psy.

– Moim zdaniem dopłynięcie przez psa do lądu było prawie niewykonalne fizycznie, jeśli wziąć pod uwagę niepomyślnie prądy morskie – twierdzi Warren Hill, znajomy Griffithów i doświadczony żeglarz. – Nie ma możliwości, by jej się udało bez ogromnej pomocy matki natury, jeśli pomyśli się, ile miała szczęścia z prądami morskimi.

Niektóre psy są doskonałymi pływakami. W czasie przepędzania owiec i bydła psy pasterskie pokonują rzeki wpraw, aby zaganiać stada. Jednak unoszenie się na wodzie to zupełnie co innego. Gdy pies płynie, nie może sobie pozwolić na zanurzenie łba i musi cały czas przebierać łapami, aby utrzymać się na powierzchni wody. Porusza się albo rzuca się w wodzie. Zwykle ma też słabą koordynację odruchów, jak podkreślił Jenko w rozmowie z Jan po fatalnym październikowym dniu, a to jest niezbędne, by nie nałykał się wody chlapiącej mu do pyska. Znane są historie silnych psów roboczych, które utonęły w płytkich strumieniach, ponieważ opily się za dużo wody, albo zostały utopione przez kangury, przytrzymujące im łby w plamach wody, które z trudem nazwalibyśmy kałużami. Zatem niezwykle mało prawdopodobne jest, aby pies przeżył długie pływanie we wzburzonym morzu, co zresztą byłoby ponad siły większości ludzi. Musiałby się bardzo wysilić i kontrolować, aby powstrzymać się od połykania wody morskiej.

Pływy były wówczas wysokie, ale zaczęły opadać dwie godziny przed przypuszczalną godziną wypadnięcia Sophie za burtę, toteż ich prędkość jeszcze rosła. Zmieniają one kierunek co sześć godzin i dwadzieścia pięć minut, a maksymalną prędkość osiągają po trzech godzinach od zmiany kierunku, zatem suczka wpadła do wody właśnie wtedy, gdy miały nabrać największej prędkości. Przemieszczały się na północ od Mackay, na pełne Morze Koralowe. Gdyby Sophie nie złapały wiry powstające wokół wysp, które mogły działać na jej

korzyść i wyrzucić ją na Aspatrię, zanim ponownie porwał ją odpływ, nie miałyby wyboru i musiałyby płynąć z wodą zdążającą na północ do czasu, aż pływ zwolniłby, aby zmienić kierunek. Tylko niezwykle silny pływak potrafi płynąć pod prąd, ale oczywiście nie da się płynąć w kierunku przeciwnym niż kierunek przemieszczania się pływu. W najlepszym wypadku Sophie musiała być w wodzie przynajmniej dwanaście godzin. Nigdy wcześniej nie pływała dłużej niż dziesięć do piętnastu minut przy plażach Mackay. Jej krótkie łapki musiały być potwornie zmęczone.

Jero, który od wielu lat jest windsurferem oraz instruktorem, kilka razy na tydzień wiosłuje na desce kajakowej wokół Keswick i St Bees i jego zdaniem to coś niesamowitego, że Sophie przeżyła i pokonała wpływ taki dystans. – Jestem przekonany, że gdybym gdzieś tam spadł z deski kajakowej, to już po półgodzinie nie byłbym w stanie dalej płynąć i dałbym się nieść wiatrom i pływom tam, gdzie by mnie pchały – przyznaje.

Po zmroku suczka miała bardzo ograniczoną widoczność. W nocy 25 października było już blisko do nowiu, co oznacza, że prawie nie było światła księżyca, w którym mogłaby zobaczyć przed sobą ląd, nie mówiąc już o wdrapaniu się na brzeg wśród wszystkich niebezpieczeństw, jakie czyhają na rafie koralowej. – Nocą jest jeszcze trudniej – mówi Warren Hill. – Pies jest zwierzęciem lądowym. Skąd ma wiedzieć, w którą stronę powinien się kierować?

Serce Sophie było w doskonałej kondycji po wszystkich biegach po plaży i do następnej przecznicy. Jednak niezależnie od jej formy, wobec potęgi takiego żywiołu była niczym pchełka. – Szczęście – mówi Warren. – Nie miała nic do powiedzenia, gdzie niosło ją morze. Miała niewiarygodne szczęście.

Jeśli uwzględnić, że zapewne wiał południowo-wschodni wiatr, prawdopodobnie odpływ znosił Sophie z północy na północny zachód do czasu, aż znów zmienił kierunek jakiegoś cztery godziny później, a wtedy pływ pchał ją znów na południe w kierunku wysp St Bees i Keswick. Warren jest przekonany, że musiała znajdować w samym środku cieśniny Egremont, gdy zmienił się kierunek pływów, jakimś cudem znalazła się w idealnym miejscu, by woda pociągnęła ją na południe na skutek występującego w cieśninie efektu lejka między Keswick i St Bees. Gdyby znalazła się poza zasięgiem tego „lejka,” mogła nigdy nie dotrzeć na ląd. A gdy już została wciągnięta do cieśniny, nastąpiło coś, co należałoby uznać za interwencję opatrności, woda wyniosła ją na brzeg. – Prąd morski cały czas płynie na północ, niosąc piasek i wszystko inne prosto na Papuę Nową Gwineę – wyjaśnia. – Gdyby temu psu nie udało się wydostać na jedną z tych wysp, z pewnością by zginął, gdyż prąd wyniosłby go na otwarty ocean.

Żeglarze mogą spekulować, co się przydarzyło suce tej nocy, ale należałoby uwzględnić tyle różnych czynników, że nikt oprócz Sophie nigdy nie będzie tego wiedział. Odległość od miejsca, gdzie Jan i Dave nacisnęli przycisk „człowiek za burtą”, poprzez Heskett Rock do Keswick wynosi od pięciu do siedmiu mil morskich (w zależności od trasy wokół St Bees, którą pływy i prądy morskie ją niosły). Jeżeli morze wyrzuciło ją tam w nocy po dniu, w którym zaginęła, a nie najpierw gdzie indziej, przypuszczalnie płynęła cały dzień, a może nawet dłużej.

Być może dostrzegła Aspatrię, następnie St Bees, a później Keswick, gdy płynęła. Mogły dla niej wyglądać jak złowrogie plamy, ale niosły również zapachy życia, co musiało ją skłonić do tego, by skierowała się – na tyle, na ile mogła – w kierunku jednej z nich.

Jest również możliwe, że najpierw dotarła na Aspatrię, następnie, gdy zdała sobie sprawę, że jest tam całkiem sama i nie znajdzie tam ani kropli słodkiej wody, postanowiła popłynąć dalej w kierunku rysującego się w pewnej odległości lądu. Z pewnością skłoniły ją do tego wyczuwane w oddali ludzkie zapachy. Przypuszczalnie zmusiła się do dalszego wysiłku i pokonania kilometrów między Aspatrią i St Bees. Jeśli tak, nagrodą dla niej była słodka woda z jednego z szesnastu naturalnych źródeł na wyspie. Mogła wylądować na niej od strony

wschodniej i powlec się przez gęsto porośnięte wzgórza lub dookoła, niebezpiecznym wybrzeżem, aby dojść na zachodni brzeg, skąd widać Keswick.

Nikt nie wie, dlaczego zdecydowała się ponownie popłynąć, ale tak zrobiła. Aby dotrzeć na Keswick, gdzie widzieli ją Mikę i Brian, musiała przepłynąć cieśninę Egremont, czego nie podjąłby się dokonać wpływ żaden mieszkaniec Keswick, gdyż woda w cieśninie płynie ze sporą prędkością, od pięciu do ośmiu węzłów, i roi się w niej od morskich stworzeń, między innymi rekinów. Sophie jakoś udało się uniknąć wszelkich gryzących i wbijających kolce jadowe stworzeń zagrażających jej w oceanie, a wystarczyłoby jedno chapnięcie szczęk, uderzenie czy nawet otarcie się o nią, by zginęła.

Niezależnie od tego, jaka rzeczywistość była jej trasa, wydaje się, że wyspa Keswick była pierwszym miejscem, gdzie postanowiła zostać dłużej. Karen Cooke widziała psie odchody na ścieżce wokół zatoki Connie w pierwszej połowie listopada, a zatem suczka dotarła tam dość wcześnie podczas swojej ciężkiej przygody. Być może wylądowała nad zatoką Connie, położoną o trzy kilometry od obszaru mieszkalnego na wzgórzu.

Trzyletnia pupilka przetrwała w warunkach, w których praktycznie nie da się przeżyć, i dokonała wyczynu, który byłby ponad siły większości ludzi, z wyjątkiem mistrzów pływackich. Była w szoku, wyczerpana i samotna. Straciła rodzinę, do której była niezmiernie przywiązana i której była oddana, ale jakoś sobie poradziła w tym nieprzyjaznym miejscu. A czekały tam na nią całkiem nowe problemy.

Czy mogła nie być wygłodzona? Nawet jeśli po drodze trafiła na pleperkę lamparcia, talanga, łapę żółwia czy innego rodzaju morską przekąskę i udało jej się chwycić ją zębami, gdy płynęła, wciąż byłaby piekielnie głodna i starałaby się wywęszyć cokolwiek, co pozwoliłoby jej podtrzymać siły.

Na pewno się otrząsała, jak robią psy, gdy pływają w wodzie. Jednak to nie było pluskanie się, za jakim przepadała, a jej sierść i skóra musiały przesiąknąć solą. Z pewnością też zdrętwiała z zimna. Pod tym względem gorąca wyspa była dla niej wybawieniem, nawet jeśli oznaczało to trudności ze zdobyciem wody pitnej. Sophie mogła na niej obeschnąć, jednocześnie uświadamiając sobie nowe realia – samotność.

Mogła szczeleć i zastanawiać się: „Czy Jan i Dave ją słyszą?”. Gdy spojrzała z brzegu w górę, widziała głązy i ścieżki na klifie prowadzące w różnych kierunkach w głąb wyspy, w gęstwinę drzew, traw, krzewów i liści. Ten teren, na którym poczułaby dreszcz podniecenia, gdyby znalazła się tu w towarzystwie Griffithów, teraz musiał wydawać się jej przerażający.

Nigdy nie była pozostawiona bez opieki Jan i Dave’a albo któregoś z Griffithów dłużej niż jeden wieczór. Nigdy nie musiała samodzielnie troszczyć się o posiłek ani sama wychodzić rano z domu, aby się wysuszyć. Sophie, która z gabloty sklepu zoologicznego trafiła pod skrzydła opiekuńczej rodziny, co oznaczało dostatek mięsa i klimatyzowane warunki, teraz była sama. Jeśli Jan i Dave w ogóle pozwalali sobie na myślenie o tym, co się stało, chcieli wierzyć, że jakimś nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności dotarła na ląd i błyskawicznie przystosowała się do trybu życia w dziczy, ruszając w busz z obnażonymi kłami jak pies myśliwski. Co prawda była rozpieszczaną pupilką, lecz Griffithowie zawsze zachęcali ją, by kierowała się swym psim instynktem. – Psy to nie małe dzieci – jak mawiała Jan.

Mimo wszystko Griffithowie zastanawiali się, jak sobie poradziła, gdy wylądowała na Keswick: „Co Sophie zrobiła najpierw po wdrapaniu się na brzeg? Spała przez kilka godzin? Stała nad delikatnie falującym oceanem, patrząc w dal? Skamlała i piszczała? Wyła? Była tak zmęczona, że nie miała siły się ruszyć albo tak przerażona, że zmusiła się, aby ukryć się za skałką bądź w jaskini i tam czekać na Dave’a i Jan? Kiedy pozbyła się wszelkiej nadziei? Na ile miała świadomość upływu czasu – od ilu godzin była sama i ile jeszcze dni tam spędziła?”.

Została zniesiona na prawie bezludną wyspę, gdzie niewiele zwierząt mogło stać się dla niej źródłem mięsa, nawet gdyby wpadła na to, jak upolować coś do jedzenia. Jej wytrzymałość

i determinacja miały tam zostać poddane prawdziwej próbie. Do czego wychowanie na podmiejskiego, cywilizowanego pupila domowego i przywiązanie do Griffithów mogły się tam jej przydać?

Ze względu na opanowany charakter i wychowanie wśród wygód zapewne nie była od razu gotowa do upolowania czegoś dojedzenia. U psów, podobnie jak u dzieci, śmiałość i chęć przeżywania przygód często zależą od poczucia bezpieczeństwa. W nowym środowisku większość psów, jeśli nie ma w pobliżu właścicieli, którzy zapewniliby im wsparcie, staje się niespokojna. Sophie zwykle potrzebowała trochę czasu, aby poczuć się komfortowo w towarzystwie nowych osób, toteż Griffithowie przypuszczają, że musiało jej chwilę zająć uzmysłowienie sobie, w jakich warunkach się znalazła. Potrzebowała czasu, aby zobaczyć, co to będzie dla niej oznaczać. Bez wątplenia w żołądku przyzwyczajonym do tego, że przez całe życie dostawała dwa posiłki dziennie i liczne przekąski w międzyczasie, burczało jej z głodu, ale równie łatwo wyobrazić sobie, że spędziła wiele godzin, a nawet dni, spoglądając na ocean i wypatrując Honey May. Leżała na brzegu morza, tak jak zwykle wylegiwała się w słońcu na skraju basenu, czekając, aż Jan i Dave wrócą do domu.

Mogło minąć kilka dni, zanim dotarły do niej niektóre realia nowej rzeczywistości – rzeczywistości, w której Sophie była rozbitkiem na wyspie, zdanym tylko na siebie. Na pewno nałykała się trochę wody morskiej, gdy płynęła, co musiało wywołać wymioty. Miała szczęście, że nie padła z odwodnienia. Jeśli początkowo trafiła nad zatokę Connie, jak podejrzewa Jero i sugerują spostrzeżenia Karen, znalazła się w jedynej części wyspy, gdzie miała realne szanse na znalezienie wody. Do zatoki Connie przylega las drzew papierowych. Znaczna część podłoża w lesie jest wilgotna prawie przez cały rok i nawet po czterech gorących, suchych miesiącach pod wierzchnią warstwą gleby można znaleźć wodę. Jeśli Sophie wykopała dół, zbierała się w nim woda. Jako mieszanka wody morskiej i słodkiej była słonawa, więc dobrze jej nie nawadniała, ale pozwalała jej utrzymać się przy życiu. – To chyba jedyne znane mi miejsce na Keswick, gdzie jest jakakolwiek woda. Niewątpliwie wylądowała w odpowiedniej zatoce – mówi Jero.

Pod koniec listopada Mike Barnett ujrzał ją wczesnym rankiem, biegnącą drogą. Możliwe, że chciała zbliżyć się do ludzi. Zapewne, gdy ją zobaczył, weszła na teren zamieszkały, aby szukać Jan i Dave'a. Prawdopodobnie usłyszała dźwięki dochodzące z budowy, na której praca zaczynała się wcześniej rano – odgłosy buldożerów, młotów i niewyraźne męskie głosy. Musiała też zauważyć samoloty, a być może odkryła lądowisko, w pobliżu którego spotkał ją Brian.

Wówczas była już chudsza i na pewno bardzo spragniona. Choć wydaje się, że ci ludzie mogli być rozwiązaniem problemu dręczącego ją głodu i pragnienia oraz niechcianego osamotnienia, niewiarygodne jest to, że atutem, który przyniósł jej ocalenie okazała się lojalność. Mógł ją powodować strach i onieśmienie, jednak sprawiała wrażenie, że nie chce się zbliżyć do żadnego z tych ludzi, aby uzyskać pomoc. Sophie zawsze po przyjacielsku traktowała obcych – oczywiście pod warunkiem, że obok niej był ktoś z rodziny Griffithów. Nie zaliczała się jednak do psów hojnie obdarzających nieznanymi swym uczuciem. Była wierna jednej rodzinie i dochowała tej wierności, nawet gdy musiała walczyć o przeżycie. Nie ma dowodów, by zbliżyła się do domów położonych zaledwie kawałeczek od plaży. Nikt nie zauważył, by splądrowała śmietniki w poszukiwaniu świeżych resztek jedzenia i z pewnością nie włamała się nocą do żadnej kuchni, aby dobrać się do domowych potraw, których zapach musiała czuć.

Wszystko to dowiodło bezgranicznego oddania Griffithom, którzy mimo że rozmyślania o cierpieniach ich ukochanego psa sprawiają im straszny ból, cieszą się z faktu, że – o ile im wiadomo – samodzielność i niesłabnąca lojalność Sophie przejawiały się także podczas jej pobytu na wyspie. Nawet wówczas, gdy los pchnął ją ze świata pełnego luksusu do nieprzyjaznego, dzikiego środowiska, dochowała wierności właścicielom, których kochała i

do których mocno się przywiązała. Swoim lojalnym psim rozumkiem nie oczekiwała ratunku od ludzi jako takich – oczekiwała, że ocalą ją Jan i Dave. A na razie nic nimi nie pachniało.

Rozdział 8

Noga za nogą

Utrata Sophie wywołała spustoszenie w życiu Jan i Dave'a. Jan dopiero co wypracowała sobie program dnia po wyjeździe Bridget na studia i zapanowała nad obawami, jakimi napawała ją, skądinąd ekscytująca, perspektywa życia od tej pory tylko we dwoje, podczas gdy przez ponad dwie dekady cały ich świat kręcił się wokół dzieci. Suczka była z nimi we wszystkich dobrych i złych chwilach, z jakimi wiązały się te zmiany. Ułatwiła im przyzwyczajenie się do ciszy w domu, a dzięki niej nie stał się on całkiem pustym gniazdem. Sophie potrzebowała ich tak samo, jak oni jej.

Teraz odeszła i to w tak szokujący sposób. Jan nie mogła sobie z tym poradzić. To, że psica zniknęła, będąc pod ich opieką, i nie wiedzieli, przez co przeszła, powodowało, że wspomnianie okoliczności tego zdarzenia było bardziej przytłaczające niż jej śmierć w jakiś zwykły sposób, na przykład od ugryzienia pająka na domowym podwórku. Było im smutno, gdy umiała Jordy, tak zresztą jak po śmierci każdego ich zwierzaka, ale Griffithowie cierpieli także z powodu niepewności i dramatycznych okoliczności całego wypadku.

Mantrą Dave'a i Jan stało się wyrażenie „noga za nogą”. Na pozór prowadzili takie samo życie jak wcześniej – jedli śniadanie w kawiarni Oscars, chodzili do pracy, pili piwo Corona, lecz każdy dzień stanowił dla nich wyzwanie. Szczególnie popołudnia były straszne dla Jan. Zdawała sobie sprawę, że aktywność pozwoliłaby jej zachować dobry nastrój, ale straciła partnerkę do spacerów, a nie potrafiła się zmusić do wyjścia na przechadzkę w pojedynkę, ponieważ to tylko pogłębiłoby u niej dojmujące poczucie straty. Ponownie oddawała się rozmyślaniom, jak ożywić duży dom, który przez tyle lat rozbrzmiewał głosami dzieci i psów.

Wiedziała, że jest wiele rzeczy, które mogłaby i powinna robić, aby wykorzystać obecny etap życia i uczynić go przyjemnym. Jednak po zniknięciu pupilki samo rozważanie czegokolwiek poważniejszego budziło w niej niechęć. Gdy Bridget wyjechała z domu, Jan myślała o powrocie do gry w golfa, którym pasjonowała się w pierwszych latach po ślubie. Po stracie suczki zdarzały się chwile, w których zastanawiała się, czy to dobry moment, by do tego wrócić, zapisać się na kilka partyjek golfa i znów zacząć grywać. Czuła się jednak zbyt zdruzgotana.

Jan nie miała nawet ochoty na gotowanie, które zawsze było jedną z jej wielkich pasji. Co wieczór stawiała jedzenie przed mężem, ale straciła do tego serce.

– Ellen i ja wyobrażałyśmy sobie rodziców siedzących na kanapie w kompletnej ciszy. Z pewnością przesadziłyśmy, ale bardzo się o nich martwiłyśmy. Całe ich życie obracało się wokół Sophie – opowiada Bridget.

Wyobrażenia córek Griffithów nie były jednak tak bardzo wyołbrzymione. Rodzicom było ciężko tylko we dwoje w domu, bez towarzystwa pogodnej Sophie. – Jeszcze długo nie nadawaliśmy się do żadnej rozmowy – mówi Jan. – Bez niej czuliśmy się tacy nieszczęśliwi.

Zamknięcie się w sobie, małomówność i poczucie winy dały im się we znaki w tygodniach i miesiącach, które nastąpiły po zniknięciu Sophie. Było im tak ciężko, jakby nosili w sobie jakąś wstydliwą tajemnicę. Pewna doza stoicyzmu, właściwa ich charakterom, i krytyka ze strony innych właścicieli psów w ich niewielkim mieście rodzinnym, co było bardzo realną możliwością, mogły jeszcze podsycić dręczące ich wątpliwości, czy dobrze zrobili, zabierając Sophie na łódź. – Wiedziałam, co tata myśli – zdradza teraz Bridget. – Nie powiedział tego,

ale dobrze go znam. Pomyślał sobie: „Zawiodłem ją. Moim obowiązkiem było się nią opiekować, a ja ją zawiodłem”.

Wspomnienia wszystkich wesołych chwil – jej pierwszy skok z pomostu przystani prosto w ramiona Jan stojącej na Honey May, radosne powitania tuż za bramą wjazdową na rodzinną posesję – sprawiały, że jeszcze trudniej im było znieść jej nieobecność.

Dave’owi, tak jak i Jan, rzeczy, które lubili robić, przypominały jedynie z gwałtowną ostrością o dotkliwej stracie, jaką ponieśli. Motorówka zawsze była dla niego miejscem relaksu oraz inspiracji, ale jak mógłby teraz się na nią wybrać? Jednak siedzenie w domu wcale nie było lepsze. Nikt nie chodził za nim po ogrodzie ani nie obwąchiwał basenowego filtra. W weekendy czuł się zagubiony bez suczki, która zwykle siedziała obok niego, gdy spoglądał znad gazety lub dochodził do wniosku, że pora na trochę ruchu.

Rozmowy z Bridget przez telefon w pewien sposób pomagały Jan, a jednocześnie wzmagaly ból. Bridget wiedziała, że rodzice cierpieli, i dlatego nie chciała sama rozkleić się przy telefonie. Dawniej zawsze zaczynała pogawędkę od: „Co słychać?”, a potem pytała: „Jak moja mała?”. Przez pierwsze kilka tygodni po zniknięciu Sophie matka i córka znacznie skróciły swoje codzienne rozmowy, ponieważ obie wiedziały, że tracą nad sobą kontrolę, jeśli zaczną mówić o suczce. Bridget przyznaje, że utrata psiaka wprowadziła niepożądaną niezręczność w jej kontaktach z rodzicami.

Gdy kilka tygodni po wypadnięciu Sophie za burtę Bridget przyjechała do domu, z trudem radziła sobie z sytuacją. Ogromnie tęskniła za swoją pupilką. Od chwili, gdy przekroczyła próg domu, stało się dla niej jasne, jak bardzo wszystko się zmieniło. Nie było kochającego i liżącego ją psiaka, który zjawiłby się zaraz po wjeździe przez bramę albo spałby z nią w jednym łóżku. Nie mogła wyjść z domu, aby usiąść na schodach z ulubioną kumpelką ani rywalizować z ojcem o jej względy.

Przeraził ją także brak wesołego rozgardiaszu w domu. Panowała niezwykle spokojna atmosfera – wręcz potwornie normalna. Rodzicom jakoś mijały dni, ale w powietrzu nie wyczuwało się zwykłej energii – nie było żadnych figlarnych docinków ze strony ojca ani chęci do gotowania u matki. Gdy Bridget stała w kuchni, rozmawiając z matką, a na kuchence bulgotał obiad, usiłowała czymś wypełnić zapadające chwile ciszy między opowieściami, którzy znajomi z Mackay się pobrali lub nie poszli na studia.

Dla Dave’a kilka tygodni tej nijakiej egzystencji było wszystkim, co potrafił znieść. Po utracie Sophie unikał pójścia na łódź, jak długo się dało. Początkowo myślał o tym, aby ją wyczyścić, a później ewentualnie nią wypłynąć, gdy dzieci będą w mieście, była ponad jego siły. Ale nikt nie może zbyt długo zostawiać łodzi samej sobie w ruchliwej przystani w Mackay.

Dave zaczął chodzić na Honey May, rozpaczliwie stęskniony za jakimś zajęciem. W weekendy sprawdzał silnik, szlifował, polerował, robił przeglądy i witał się ze znajomymi na przystani. Stopniowo łódź ponownie zaczęła się Dave’owi kojarzyć pozytywnie. Jak na ironię, im bardziej tęsknił za Sophie i przeżywał, jak wszystko się potoczyło, tym większej nabierał ochoty na spędzanie czasu na łodzi, choćby zacumowanej. Chodził na nią popołudniami, aby czytać gazety lub podręczniki żeglarstwa albo siedzieć i godzinami rozmawiać ze znajomymi żeglarzami o pogodzie, nowinkach i planowanych rejsach. Przebywanie na Honey May było dla niego terapią.

Jednak nie dla Jan. – Wytrąciłoby mnie to z równowagi – mówi Jan o pomysle siedzenia na przywołującej tyle wspomnień łodzi po odejściu Sophie, gdy Dave zajmował się naprawami silnika czy też skrobał i szlifował ściany. – Naprawdę bałam się pójść na łódź i nienawidziłam już samej myśli o przebywaniu na niej.

Dawniej Griffithowie uwielbiali spędzać dni lub noce na Honey May zacumowanej w porcie. Nie musieli nigdzie wypływać, lubili relaksować się na pokładzie i jeść tam kolacje. To były wakacje bez wyjeżdżania gdziekolwiek. Jednakże bezpośrednio po wypadku było to

wykluczone. Dobrze wiedzieli, że łódź przestała im się kojarzyć z przyjemnymi chwilami, przynajmniej Jan i przynajmniej na razie.

Dave starał się przekonać żonę, aby przyłączyła się do niego, gdy sam już na nowo przywykł do przebywania na łodzi. – Musimy żyć dalej, kochanie – tłumaczył i próbował skusić obietnicą świeżego, oceanicznego powietrza i rybnymi burgerami ze sklepu rybnego w porcie.

– Sądzę, że byłby zadowolony z mojego towarzystwa i wsparcia w tym smutnym okresie – przyznaje Jan. Wdali się w pełną napięcia rozmowę na ten temat, w której Dave przekonywał ją, że nie mogą porzucić łodzi, że tak ciężko pracowali, aby móc sobie pozwolić na taki styl życia, i że muszą dać sobie przyzwolenie na to, by spróbować znów cieszyć się życiem.

W końcu Griffithowie zdecydowali się wypłynąć łodzią na morze, przeżyli jednak ogromny stres. Utrata Sophie unaocniła Dave’owi, jak łatwo o wypadek na morzu. Zawsze był ostrożny, a na pokładzie nawet trochę niespokojny, ale teraz zastanawiał się, czy w ogóle jest możliwe, by zachować dostateczną ostrożność. Opowiedział Bridget o tym, jak bezustannie sobie wyobraża, jakby to było, gdyby jakiś człowiek wypadł za burtę Honey May. – Panicznie go to przerażało – mówi Bridget.

Gdy płynęli motorówką, Dave musiał mieć pewność, że wszyscy znajdują się w takich miejscach, gdzie może ich widzieć. Często wyglądał z mostka i przypominał wszystkim, aby nie chodzili po pokładzie, gdy łódź się przemieszcza, i aby nie stawali zbyt blisko burty. Nie zabierał więcej niż pięć osób na pokład. – Jeśli kogoś nie widział, dostawał bzika – opowiada Bridget. – Okazało się, że pływanie nie sprawia mu już takiej frajdy jak dawniej.

Mimo to Dave postanowił wrócić na morze. Wiedział, że dążenie do odzyskania pewności siebie na pokładzie jest jedynym sposobem na przetrwanie i pokonanie smutku. Powtarzał sobie i Jan, że wciąż mają siebie. Dalej wykonywali rutynowe zajęcia, pracowali, gotowali, planowali wycieczki zagraniczne i codziennie jedli śniadanie w kawiarni Oscars. Jednak utracili coś, co było ważne w ich życiu, i oboje dobrze o tym wiedzieli.

Rozdział 9

Sophie znów pływa w morzu

Jakiś czas po spotkaniu z Brianem Kindermanem i co najmniej dwa miesiące od trafienia do dziczy Sophie Tucker szykowała się do kolejnej podróży wpław. Minęło dużo czasu, gdy ostatni raz jadła stek i piła ze swojej czerwonej miski, która pełna wody czekała zawsze, gdy tylko poczuła pragnienie. Z tego, co wiadomo mieszkańcom Keswick, w tym czasie zrobiła się koścista i liniała. Mogła kopać doły i wysysać wodę zbierającą się w lesie, ale na wyspie wciąż panowała susza, więc nie mogło jej być dużo. Wydaje się mało prawdopodobne, by zakradała się do domostw, by wypijać wodę z doniczek, tym bardziej że nikt jej nie widział. Pogoń Briana za psem była jedynym znaczącym kontaktem z nim, ale nikt na Keswick nie wątpił, że tajemniczy ogar ma poważne trudności ze znalezieniem pożywienia – na wyspie po prostu nie było tyle jedzenia, by wyrosnięty pies mógł przeżyć bez przychodzenia do ludzkich domów. Był już wychudzony, gdy spotkał go Brian. Z czasem musiało być gorzej.

Dzień po dniu węsząc na wzgórzach i w buszu, musiała tęsknić za zapachem mięsa i pewnie była niepokieszona, że wciąż nie może go zwęszyć. Ten zapach oznaczałby nieco tłuszczu tak potrzebnego do okrycia jej kości. W końcu musiała nauczyć się poruszać w świecie całkiem nowych dla niej woni. Jak by nie patrzeć, była psem pasterskim, wyhodowanym do tropienia i pilnowania zwierząt znacznie większych od niej samej. Nie wiadomo, czy zajęło to tydzień, czy miesiąc, ale w którymś momencie głód zmusił ją do wykazania się najlepszymi cechami swej rasy i zmienił w łowczynię.

Problem w tym, że na Keswick pies nie ma zbyt wiele do upolowania.

Zapewne Sophie znajdowała ptasie jaja lub łapała kukale bażancie, nogale i kuliki – wszystkie te ptaki знаła z podwórka za domem. Siady jej łap w zatoce Arthur sugerują, że część dnia spędzała, przeszukując tereny wokół skałek na plażach, gdzie językiem łapała drobiazgi kroczyki kraby, a łapami chwytła umykające scynki, gdy usiłowały zniknąć między skałkami.

Być może udało jej się upolować pełzającego w słońcu warana – unieruchomić go, przygważdżając łapami za ogon lub szpon, zanim odgryzła mu łeb. W ten sposób zdobyłaby solidny posiłek, ale było to ryzykowne. Warany są szybkie, trudne do schwytania i potrafią być okrutne, jeśli poczują się zagrożone. Gdyby z rozmachem uderzył lub ugryzł Sophie, mógłby ją poważnie zranić.

Mogła również łowić ryby. Uwielbiała pływać i zapewne czuła się coraz pewniej w wodzie. Przypuszczalnie brała kąpiele ze względów higienicznych i dla odświeżenia. W wodach wokół Keswick żyją setki gatunków ryb, niektóre tak piękne, że przyjemnie na nie popatrzeć, ale wiele z nich jest zbyt małych, aby mogły stanowić solidny posiłek dla mięsożernego psa. Jednak podczas przyływu wokół wyspy krążą mięsiste ryby, takie jak letra niebieska, żywiące się ławicami mniejszych ryb. Sophie nigdy wcześniej nie łapała ryb, ale lekcje podkradania się do ptaków i chwytania ich w pazury, których udzieliła jej Jordy, mogły się okazać przydatne. Możliwe, że Sophie nauczyła się przygniatać łapami wolniejsze, większe ryby albo kąsać je pod powierzchnią wody. Jeśli miała szczęście, znalazła na plaży wyrzucone przez morze kawałki ryb.

Wiadomo jedynie, że Sophie nie wyglądała dobrze, gdy Brian zobaczył ją niecałe dwa miesiące po jej wypadnięciu z Honey May. Była tak chuda, że wystawały jej żebra, sierść jej

przyszarzała i zmizerniała na pysku. Nie zachowywała się agresywnie i nikomu w żaden sposób nie zagrażała. Była nerwowa, ale też zaciekawiona, podejrzliwa i nieśmiała. Nie wyglądała na okaz zdrowia, ale nie było z nią źle. Gdyby Brian miał okazję, poczęstowałby ją jedzeniem, ale najwyraźniej Sophie nie miała tego w planach.

Około 13 grudnia mógł obudzić Sophie zapach kojarzący się z mięsem. Ta woń, którą, jak przysięga Jero, czuje czasami, gdy przepływa w pobliżu St Bees, najprawdopodobniej pochodzi od kóz. Panuje przekonanie, że to marynarze w XIX wieku sprowadzili kozy na St Bees i inne wyspy wzdłuż wschodniego wybrzeża Australii. Miały one stanowić źródło pożywienia dla tych, którzy wpadli w kłopoty i musieli poczekać na jednej z wysp, aż nadejdzie pomoc. Kozy, jak to leży w ich naturze, mnożyły się niezwykle szybko. Toteż w 2007 roku w biurze QPWS⁶ w Mackay uznano, że stanowią zbyt duże zagrożenie dla rodzimej flory i fauny i najlepszym rozwiązaniem będzie stopniowe ich wytępienie.

– Za pierwszym razem do odstrzału poszło około sześciuset – mówi strażnik Ross Courtenay. W ciągu trzech lat strażnicy usunęli z St Bees ponad dwa i pół tysiąca kóz, głównie strzelając do nich z helikopterów, a częściowo także podczas akcji naziemnej. Przyjęty program eliminacji kóz był podobny do zastosowanego na wyspach Galapagos, gdzie w ciągu zaledwie pięćdziesięciu dwóch miesięcy pozbyto się osiemdziesięciu tysięcy kóz zagrażających środowisku miejscowych żółwi. W ostatnim etapie strażnicy zastosowali kozy „judasze” – schwytane zwierzęta, którym założono obroże z radionadajnikami, aby odnalazły swoich pobratymców i doprowadziły strażników do stada. Dla zwabienia ostrożniejszych samców z St Bees strażnicy ze służby parkowej podstawili wysterylizowane samice.

Obroncy zwierząt mogą się burzyć, ale służba parków i rezerwatów musiała wybierać między zdziczałymi kozami a rodzimą florą i fauną. Kozy niszczyły roślinność wyspy, co miało wiele efektów ubocznych, takich jak niewielkie osunięcia ziemi, które groziły obsunięciem się gleby do oceanu, a to miałoby wpływ na jakość wody na znacznym odcinku Wielkiej Rify Koralowej. Kozy, jako żarłoczni trawożercy, pożerały też prawie wszystkie kielki eukaliptusów, którymi żywią się koale z St Bees.

Jeśli Sophie nie poczuła kóz na Keswick, mogła wyczuć słodką wodę znajdującą się po drugiej stronie cieśniny. Na St Bees, w przeciwieństwie do suchej wyspy Keswick, bije kilka naturalnych źródeł. Miejscowi znają historię rodziny Bussuttinów, do której te dwie wyspy należały na początku XX wieku. Początkowo obie przeznaczyli pod uprawę. Na obu trzymali konie, owce i krowy, ale po zapadnięciu zmierzchu zwierzęta z Keswick często przepływały cieśniną Egremont, aby dostać się na St Bees, gdzie mieszkała rodzina. Dla Bussuttinów było jasne, że wyczuwały znajdującą się tam wodę.

Zatem Sophie, być może skuszona zapachem kóz albo wody, szykowała się do kolejnej przeprawy przez ocean. Instynktownie uświadamiała sobie, że czas ucieka i aby przetrwać musi dostać się tam, skąd rozchodził się zapach pożywienia. Musiała też wiedzieć, że jedyna droga prowadziła przez cieśninę Egremont, którą prawdopodobnie pokonała już co najmniej raz.

Cieśnina Egremont mierzy czterysta osiemdziesiąt metrów w najwęższym miejscu i nieco ponad kilometr – w najszerszym. Na szczęście Sophie nie wiedziała, że straciło w niej życie kilku dorosłych mężczyzn. W styczniu 2007 roku, czyli dwa lata wcześniej, ale o tej samej porze roku, w której suczka pokonała cieśninę, szukano sześćdziesięcioletniego kapitana Roya McKibbona, który zanurkował, aby poprawić linę kotwicy swojego czternastometrowego jachtu Finesse. Poszukiwania przeprowadzono w niecałą godzinę po tym, jak nie wypłynął na powierzchnię. Miejscowi spuścili na wodę pontony, aby przeszukać cieśninę, ale bez powodzenia. W końcu ratownicy z ochotniczej służby morskiej zażądali, aby

⁶ Queensland Parks and Wildlife Service (QPWS) – Służba Parków i Dzikiej Przyrody Stanu Queensland (przyp. tłum.).

wszyscy opuścili wodę z obawy przed kolejnymi utonięciami. Przez trzy dni ratownicy wraz ze statkiem australijskiej służby celnej pełnym policyjnych nurków zbadali obszar o powierzchni dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych. Prowadzono także poszukiwania z powietrza w promieniu pięćdziesięciu kilometrów. Fale osiągały trzy metry wysokości, a prąd morski – prędkość dziesięciu węzłów. McKibbona, który opłynął świat na Finesse, nigdy nie odnaleziono.

We wrześniu 2010 roku mieszkańców wyspy obudził hałas helikopterów i niedużych samolotów krążących nad ich głowami oraz motorówek płynących przez cieśninę. Dwudziestojednoletni irlandzki turysta zniknął poprzedniego wieczora z pokładu rybackiego trawlera Guiding Star, który wynajął cztery dni wcześniej. Mężczyzna wszedł nad górny pokład, aby zrobić zdjęcia, i nigdy już z niego nie zszedł. Załoga trawlera podniosła alarm. Helikoptery, łodzie policyjne, nieduże samoloty, pracownicy stanowej służby ratowniczej, ratownicy z ochotniczej straży morskiej z Mackay i z Airlie Beach przez tydzień prowadzili akcję ratowniczą. Od czwartego dnia szukali już ciała lub choćby szczątków chłopca, które jego rodzina mogłaby pochować. Daremnie. Ostatni raz widziano go o piątej po południu, z aparatem fotograficznym w ręku i błyskiem w oku, typowym dla turysty wierzącego, że znalazł się w raju.

Mieszkańcy Keswick nawet nie myślą o pływaniu w cieśninie Egremont, a tylko najlepsi odważyli się pokonać ją kajakiem dokładnie między przypływem a odpływem, kiedy woda jest zupełnie spokojna.

– Nie chciałbym jej przepłynąć – wyznaje Brian, który nurkuje z fajką w cieśninie na płycznach podczas przypływu. – Nagle zaczynam czuć prąd wody – opowiada o chwili, gdy pływ zaczyna przybierać i pora wracać na brzeg. – Niezbędne są płetwy, żeby wydostać się z takiego prądu. Gdy niesiona pływem woda zaczyna płynąć, robi się naprawdę ciężko.

Jero Andrews, który dla przyjemności jeździ blokartem (poruszonym siłą wiatru żaglowozem) w tę i z powrotem po plaży nad zatoką Basil i ściga się nim ze swoimi kumplami z Mackay (często, jak przyznaje, pokonując dystans jako ostatni), przecząco kręci głową, słysząc, że on sam czy Sophie mieliby przepłynąć cieśninę wplaw. Codziennie śledzi pływy w cieśninie i, tak jak Brian, zabiera swoją deskę kajakową na wodę tylko w pierwszej lub ostatniej godzinie pływu, gdy prąd zwalnia i w końcu woda nieruchomieje. – Zdarzały się takie dni, że bałem się, iż nie dam rady przepłynąć kajakiem trzystu metrów dzielących mnie od brzegu, tak silny był prąd – wspomina. Podczas przypływu prąd płynący przez cieśninę Egremont kieruje się na południe, w stronę Mackay, a podczas odpływu – na północ, na rozległe Morze Koralowe.

Pływy nie są jedynym problemem. Mieszkańcy Keswick widują w cieśninie rekiny młoty, żarłaczki miedziane i rekiny tygrysy, a niektóre z nich potrafią się tam zadomowić na kilka miesięcy i straszyć chronione i zagrożone żółwie zielone, które przez nie tracą kończyny lub życie.

Wszystkie te historie podsycaly przerażenie Griffithów, gdy dowiedzieli się, jak blisko i jak często Sophie ocierała się o niebezpieczeństwo po zniknięciu z Honey May. Suka nie bała się wody, choć tak zareagowałby każdy człowiek przy zdrowych zmysłach po przejściu tak ciężkiej próby na oceanie, jaką ona przeszła. Wciąż lubiła morze i w tym momencie była już bardzo doświadczoną pływaczką. Ze śladów, które wyspiarze zauważyli na plażach Keswick, należy wnosić, że pływała prawie codziennie. Griffithowie wyobrażają sobie, jak truchtem wchodziła do wody i pływała, zataczając kręgi, z wystawionym językiem i postawionymi na baczność uszami. Chłodny dotyk słonych fal splukujących jej sierść i skórę, zanim wyszła na brzeg i się otrząsnęła, mimo wszystko musiał działać na nią kojąco.

W ten grudniowy dzień, gdy Sophie przepłynęła z Keswick na St Bees, nie musiała zastanawiać się nad tym zbyt długo – nie rozważała, jak daleko jest z Keswick do zapachów na St Bees ani jak szybko płynie prąd w cieśninie Egremont. Gdyby była w stanie zrozumieć,

że w grudniu i styczniu pływy wokół Keswick są największe w całym roku, być może zabrakłoby jej odwagi. Gdyby zdawała sobie sprawę, że czekają walka z prądem o prędkości od pięciu do ośmiu, a może nawet dziesięciu węzłów (czyli od ośmiu do czternastu kilometrów na godzinę), czasami w cieśninie płynącym jeszcze szybciej, pewnie została by na Keswick. Ale była tylko psem i prowadził ją wąż.

Nigdy się nie dowiemy, czy obserwowano pływy, przygotowując się do przepłynięcia cieśniny, czy nie. Nie jest to wykluczone. Miejscowi strażnicy parków narodowych opowiadają historie o walabiach widzianych na popularnej wśród urlopowiczów wyspie Hamilton, sześćdziesiąt kilometrów na północny zachód od St Bees, które przez wiele dni przypatrywały się morzu, zanim wskoczyły do wody i popłynęły na oddaloną o kilometr wyspę Dent.

Pewne jest natomiast to, że dla Sophie niebezpieczna wyprawa przez cieśninę była kwestią życia lub śmierci z głodu. Jest wielce prawdopodobne, że suka po przepłynięciu być może nawet dziesięciu mil morskich w oceanie w silnym szoku po wypadnięciu za burtę i spędzeniu na łodzi ponad pięćdziesięciu dni, podczas których miała sporo czasu na obserwowanie przyływów i odpływów w cieśninie Egremont, zorientowała się, kiedy warunki w wodzie będą dla niej najlepsze. Mogła godzinami siedzieć na brzegu, obserwując podnoszenie się i opadanie poziomu morza. Czy zawdzięcza to szczęściu, czy planowaniu, musiała przepłynąć cieśninę podczas odpływu, o czym jest przekonany każdy, kto wie cokolwiek o jej wyczynie. Podczas przyływu prąd jest zbyt silny – o czym świadczą liczne ofiary śmiertelne – i albo zniósłby ją na otwarte morze, albo rozbił o koralowce w pobliżu wyspy.

– Musiała to zrobić, gdy pływy zamarły – twierdzi Warren Hill, marynarz i przyjaciel Griffithów. – Jest na tyle bystra, że nie robiłaby tego podczas przyływu.

– Fascynuje mnie fakt, że pies pokonał cieśninę – mówi weterynarz Sophie, doktor Rowan Pert, który przez dziesięciolecia, gdy mieszkał w Mackay, był też zapalonym nurkiem i dlatego doskonale zdaje sobie sprawę, jak niewyobrażalnie wysokie było prawdopodobieństwo, że jej się nie uda.

– To niesamowite, jeśli weźmie się pod uwagę tamtejsze prądy – dziwi się strażnik Ross Courtenay, który większość swojego czasu w pracy spędził na Keswick i St Bees. – Walka z prądem i posuwanie się przy tym do przodu byłoby nie lada wyczynem dla każdego. Szanse, by pies przepłynął kilometr lub dwa z jednej wyspy na drugą, są niewielkie.

Kolega Rossa, Steve Burke, całkowicie się z nim zgadza. – To był naprawdę wielki wysiłek – podkreśla. – Na szczęście psy tej rasy są dobrymi pływakami, co znacznie jej pomogło. Ale płynąć przez cieśninę Egremont... – Steve jest dla niej pełen podziwu. – Na pewno poczuła kozy. I musiała to dla niej być kwestia życia lub śmierci, inaczej by tego nie dokonała.

Sophie musiała płynąć co najmniej godzinę, energicznie przebierając łapami od chwili, gdy skoczyła z koralowców na Keswick. Wyciągała łeb ponad wodę i wykonywała mocne pociągnięcia swoimi krótkimi łapami, ciężko oddychając przez nos. Musiała zachować spokojny, miarowy oddech, a pysk trzymać zamknięty. Łatwo mogła wpaść w panikę, gdy prądy morskie usiłowały ją zepchnąć i wprawić w ruch wirowy. Co zaskakujące, po raz kolejny udało się jej uniknąć drapieżników i stawić czoła sile oceanu. Gdy wspinała się na brzeg, mogła podrapać się o skały pokryte muszlami ostrzyg i koralowcami, które tną ciało równie łatwo, jak nóż wchodzi w masło. Najwyraźniej jednak nie miała głębokich ani poważnych skaleczeń – niczego, co nie zagoiłoby się dzięki lizaniu i splukiwaniu.

Mniej więcej dwa miesiące po tym, jak morze wyrzuciło ją na Keswick, również wyczerpaną, co zdeteminowaną do walki o życie, Sophie znalazła się na plaży kolejnej

pięknej, tropikalnej wyspy – sama, lecz tym razem na nieco lepiej sobie znanym terytorium. Wcześniej była już w pobliżu tej wyspy na Honey May.

Po wydostaniu się na ląd zapewne nie traciła czasu i zaczęła szukać źródła zapachu, który ją tu zwabił. Na wyspie mogła wciąż znajdować się padlina kóz wyeliminowanych w ramach programu ochrony rodzimej przyrody, pozostawiona, aby się rozłożyła i użyźniła glebę. Zachęcano lokalnych hodowców kóz i fabryki przetwórstwa, aby bezpłatnie zabrali zwierzęta, jednak odmówili, gdyż było to dla nich nieopłacalne ze względu na koszty podróży. Zatem po każdym odstrzale zakrwawione ciała kóz leżały niedaleko linii brzegowej St Bees i w różnych miejscach w głębi wyspy aż po góry, gdzie kozy „judasze” doprowadziły uzbrojonych w strzelby strażników. Sophie nie była pierwsza, która je znalazła. Padlina przyciągała także bieliki i warany, stanowiąc dla nich obfite źródło łatwo dostępnego pożywienia.

Sophie nigdy wcześniej nie żywiła się padliną. Z wyjątkiem miesięcy spędzonych na Keswick, gdzie największymi stworzeniami, które mogła zabić były jaszczurki i bagiewniki oliwkowe, nigdy nie miała do czynienia z wnętrznościami, nie musiała rozdzielać świeżo upolowanej zwierzyny na dobre i złe kawałki ani tropić żywego stworzenia i pozbawiać go życia, aby sama mogła przeżyć. Jej brawurowe podkradanie się do ptaków czy jaszczurek w domu miało raczej znamiona sportu czy zabawy. Wówczas nie miała pustego brzucha. Nigdy nie przyniosła w zębach do domu pozbawionego głowy gekona ani oposa, choć bez wątpienia rozszarpała wiele niczego się niespodziewających gralin srokatych.

Griffithowie zastanawiali się, czy podchodziła do padliny z taką samą ostrożnością, z jaką zbliżała się do ryb wyciąganych przez nich na pokład Honey May. Mogła, czujnie węsząc, podkradać się do nieokazującej oznak życia kozy, potem odskakiwać, gdyby coś załopotalo, i rozglądać się za rodziną, jakby chciała im powiedzieć: „Widzieliście to?”. Griffithom trudno było wyobrazić sobie Sophie, jak zmieniała się z ciekawskiego, lecz powściągliwego stworzenia, pełnego łagodnego entuzjazmu dla świata dzikiej przyrody, co jest luksusem właściwym psom domowym, w bezwzględną łowczynię zasadzającą się na żyjące lub niedawno ubite zwierzę. Ich łagodna, domowa sunia, która niczego bardziej nie uwielbiała od leżenia godzinami z pyskiem na kolanach Bridget, miałyby rozpruwać krwawe szczątki kozłątka? Albo sama zwierzę przygniatać do ziemi i zabijać?

Zarówno Jan, jak i Bridget nie mogą się oswoić z tą myślą, zwłaszcza Bridget, która dotąd sądziła, że Sophie mogłaby zabić tylko w akcie desperacji. Jednakże fakt, że polowała, aby przeżyć, jest dla nich powodem do dumy i podziwu. W końcu psica ma w sobie również geny dingo po swoich pasterskich przodkach (co budzi silne wątpliwości), a, jak powszechnie wiadomo, zdarzało się, że zawodziły one na ogół zdyscyplinowane psy pasterskie, popychając je do atakowania i rozpruwania pilnowanych przez siebie zwierząt. Dingo są urodzonymi myśliwymi, a instynkt samozachowawczy wyzwala w nich niezwykle pokłady zmyślności i wytrwałości. To tylko niektóre z cech rasy Sophie wzmacnianych przez hodowców, aby te psy cechowała niezbędna agresja i determinacja. Niewątpliwie ta ostatnia cecha wielokrotnie ujawniała się u suczki w czasie jej pobytu w dziczy.

Do czasu, gdy dotarła na St Bees i zastrzelonych kóz, nie jadła solidnego, mięsnego posiłku przez blisko dwa miesiące. Czy samodzielnie upolowała kozę, czy po prostu pożywiła się padliną, ten pierwszy posiłek – mięso, wnętrzności i krew – musiał jej niebiańsko smakować. Po tym, jak była zmuszona polować na Keswick na stworzenia mające bardzo mało mięsa i zapewne obywać się przez wiele dni bez jakichkolwiek zdobyczy, wreszcie udało jej się zdobyć posiłek o dużej zawartości białka. Gdy płynęła na St Bees, musiało jej mocno burczeć w brzuchu, a jej żołądek był pełen kwasów, toteż dzikie kozy – czy kości rozkładających się zastrzelonych zwierząt, czy też żywe, niczego się niespodziewające kozłę – były jedyną szansą na przetrwanie tego mięsożernego psa, który nie chciał zbliżyć się do ludzi. To, a także słodka woda spływająca strumieniami z gór na wyspie.

Zaryzykowała życie, aby tego dokonać, ale była rozbitkiem i kierowała się węchem, który doprowadził ją do czerwonego mięsa i wody, którą mogła je popić.

Rozdział 10

Zjawia się Ruby

Minęły tygodnie, odkąd Sophie zniknęła z ich życia, potem miesiące, a Jan i Dave wciąż nie najlepiej dawali sobie radę w Mackay. Jan spędzała więcej czasu w biurze niż w czasach, gdy suczka czekała na nią w domu. Wynajdywała powody do pozostania dłużej w pracy, jak sprawdzenie kolejnej faktury czy pogawędka z Megan, ówczesną asystentką Dave'a. Zgasła w nich radość życia. Luke, który przynajmniej raz w tygodniu przychodził do rodziców na kolację, musiał patrzeć, jak się snują, udając, że wszystko jest w porządku. – Chodzili osowiali – wspomina Luke.

– Czułam się tak, jakbym nie miała już na co w życiu czekać – mówi Jan, która borykała się zarówno ze smutkiem, jak i z poczuciem winy z powodu, że czuje się tak źle. Na świecie dzieje się tyle gorszych rzeczy, z którymi trzeba sobie radzić. Miała przecież wspaniałą rodzinę i po tylu latach małżeństwa ona i Dave wciąż się kochali. Ale jej serce pękło. Gdy popołudniami była sama w domu, włączała telewizor, aby mieć namiastkę towarzystwa, gdy zajmowała się pracami domowymi lub siadała poczytać. Próbowwała chodzić sama na spacer – zakładała tenisówki i szła przed siebie drogą, ale było to wymuszone i tylko odbierało energię. Podczas przechadzki brakowało jej przechodniów uśmiechających się z czułością i uznaniem dla Sophie. To wszystko uzmysławiało jej, że powoduje ją jedynie przyzwyczajenie.

Dzieci Griffithów martwiły się i Luke wpadł na pomysł, jak rozweselić rodziców: sprezentować im kolejnego psa. To było proste.

Rodzice potrzebowali nowego psiaka do rozpieszczania, dzięki któremu otrząsnęliby się z przygnębienia. Potrzebowali nowego pupila do kochania, który odpłaciłby im takim samym uczuciem. Potrzebowali zwierzaka, do którego mogliby przemawiać, gdy drugiego z nich nie było w pobliżu, pełnego energii stworzenia, które domagałoby się biegania i rozśmieszało ich swoimi popisami. I to musiał być kolejny pies pasterski – Griffithowie nie zaakceptowaliby czworonoga innej rasy po tylu ukochanych australijskich psach pasterskich, jakie posiadali. Prawdopodobnie pies o błękitnym umaszczeniu to byłoby dla nich zbyt wiele – przypominałby im o bólu i stracie. Zatem powinien być rudy.

Nie wszyscy uznali, że nowy pies, niezależnie od koloru sierści, to dobry pomysł.

Zwłaszcza Bridget była temu przeciwna: – Po prostu wiedziałam, że dla nich będzie zbyt oczywiste, że w ten sposób próbujemy odwrócić ich uwagę, zwłaszcza jeśli podarujemy im rudego psa zamiast niebieskiego. – Bridget starała się ułożyć sobie życie w Brisbane. Jej kariera studencka nabrała tempa, a życie towarzyskie wreszcie kwitło tak jak w Mackay. W pewnym stopniu nigdy nie pogodziła się ze zniknięciem Sophie. Wciąż nie mogła pojąć, jak do tego doszło, i łatwo jej było sobie wyobrazić, że to jedynie zły sen. – Jakaś część mnie wiedziała, że wzięcie nowego psa będzie oznaczało przyznanie, że pora pogodzić się z odejściem Sophie.

Luke postanowił zdradzić swoje zamiary ojcu. Planował zrobić rodzicom niespodziankę w postaci nowego szczeniaka, ale reakcja Bridget kazała mu ponownie się nad tym zastanowić.

Dave zareagował podobnie jak Bridget. – Początkowo tata zdecydowanie się sprzeciwił temu pomysłowi – wspomina Luke. Szorstki, praktyczny Dave nie potrafił sobie wyobrazić, że mógłby pokochać innego psa. – Nie ma mowy! – odpowiedział synowi.

– Kilka dni później tata zadzwonił do mnie i zapytał: „Znalazłeś już jakiego?”.

Dave wygląda na nieco zażenowanego, gdy mu się o tym przypomni. – Żaden pies nie zastąpi nigdy Sophie, ale, cóż, bez psa nie ma zabawy – przyznaje.

Tak więc Luke, uspokojony i utwierdzony w tym, że nowy szczeniak będzie miłą niespodzianką dla matki, zajął się szukaniem nowego psa pasterskiego dla rodziców. W Mackay Pocket Trader widział ogłoszenie o miocie psów pasterskich i razem z Heather pojechali na farmę, by obejrzeć psiaki. Wśród niebieskich i rudych szceniąt była pełna tupetu i uroku ruda suczka. Heather stwierdziła, że będzie idealna dla Griffithów. Dzieci hodowców zdradziły Luke'owi, że była ich ulubienicą i nazwały ją Gwiazda ze względu na jej niepospolitą. – Proszę się nie obawiać – zapewnił je – wkrótce będzie się wylegiwać wśród luksusów w klimatyzowanym domu.

Luke i Heather kupili błyszczącą czerwoną obrozę, aby przygotowywać Ruby do zaprezentowania matce. Ale Jan domyśliła się, co się dzieje. – Było jasne, że na Boże Narodzenie mogę się spodziewać nowego psa – zdradza teraz. Jednak wówczas udawała, że nie ma o niczym pojęcia. – Nie miałam serca, aby im powiedzieć: „Nie jesteśmy na to gotowi” – mówi Jan.

Pewnego popołudnia tuż przed Gwiazdką Luke i Heather posadzili matkę przy stoliku nad basenem, zakryli jej głowę ręcznikiem i położyli jej na kolanach wierzącą się Ruby z zawiązaną wstążką na szyi. Jan zapiszczała. Ruby zębami ściągnęła jej ręcznik z głowy i polizała nową właścicielkę po twarzy. – O, mój Boże! O, mój Boże! – krzyknęła Jan, niezdolna powstrzymać się od instynktownego zachwyty tym czarującym, nowym szczeniakiem. Dave przewracał oczami i uśmiechał się, gdy Luke poklepywał go po plecach. Jego szeroki uśmiech mówił: A nie mówiłem!

Początkowa euforia, wywołana pojawieniem się Ruby, nie trwała jednak długo. Jan przez dłuższy czas nie przyznała się, że obecność nowego psiaka wyczerpuje ją i pogłębia jej smutek. – Sami nigdy byśmy się nie zdecydowali na Ruby, ponieważ nie przejawialiśmy nawet cienia ochoty na posiadania kolejnego psa – mówi Jan. – Dopiero doszliśmy do tego, że gdy widzieliśmy inne psy, zwłaszcza pasterskie, byliśmy w stanie powiedzieć ich właścicielom, jakie mają wspaniałe zwierzęta, czy wymienić między sobą uwagi, że poruszały się jak Sophie albo zrobiły coś, co w takiej sytuacji zrobiłaby Jordy. Byliśmy przekonani, że nic nie złagodzi bólu w naszych sercach.

Jan nie przestała ani na chwilę myśleć o Sophie. Tęskniła za suczką, była wobec niej lojalna i nie potrafiła zdobyć się na to, by przywiązać się do innego psa w podobny sposób jak do Sophie. Ponadto wiedziała, że zajęcie się nowym szczeniakiem wymaga siły – energii fizycznej, ale co ważniejsze emocjonalnej. Ze to oznacza zobowiązanie się do uwielbiana psa, cieszenia się ze wszystkich jego psot, a także lojalność wobec niego. Dla Jan Sophie wciąż była tą numer jeden. Było jeszcze za wcześnie, aby obdarzyła oddaniem innego psa.

Ruby, jakby dla potwierdzenia obaw Jan, była szczeniakiem typowym dla rasy psów pasterskich, w dodatku nie łagodnym stworzeniem jak Sophie, lecz merdającym ogonem cyklonem, któremu trzeba poświęcić wiele uwagi. W przeciwieństwie do poprzedniczki była pełna entuzjazmu i zdecydowanie domagała się, by okazywano jej zainteresowanie. – Ruby biegła w kółko bez opamiętania. Szalała, darła w strzępy, niszczyła, skakała, ciągała po ogrodzie i zjadała rośliny – wylicza Jan. – Zupełnie inaczej niż Sophie i, doprawdy, ciężko było to znieść.

W połowie grudnia 2008 roku, wkrótce po tym, jak Brian dostrzegł tajemniczego, niebieskiego psa niedaleko pasa lotniskowego, Jan i Dave zdali sobie sprawę, że odtąd ich codziennym zadaniem będzie przyzwyczajanie się do nowego członka rodziny. Po kilku dniach u Griffithów szczeniak był zawsze gotowy do zapasów, na głaskanie i na kotlet jagnięcy. – Nawet gdyby wyjąć jej baterie, dalej by biegła – mówi Dave. Podeksycytowane szczenię spędzało czas, szalejąc po podwórku, podgryzając krzewy w ogrodzie i polując na

ptaki i pałanki. I choć zapewniała rozrywkę, tak potrzebną pograżonej w smutku parze, wywoływała też chaos. Jan i Dave ciągle byli podrapani i pogryzieni ostrymi zębami Ruby. Jan miała pełno siniaków od uderzeń łap, ponieważ suczka skakała na nią, gdy prowadziła samochód, schodziła frontowymi schodami albo wieszkała pranie. – Niczego nie robiła delikatnie. Mogła kogoś zranić, nie mając takiego zamiaru, ponieważ rozpaczliwie pragnęła uwagi – mówi Jan. Griffithowie musieli nieustannie pilnować, czy Ruby czegoś nie niszczy. Przyłapali ją, jak wlokła po ogrodzie liść palmy wielkości blatu stołu.

Ruby spędzała wieczory, obserwując spoza siatkowych drzwi każdy ruch Jan i Dave. Ukochana Sophie zasłużyła na ich zaufanie i podziw, więc była wpuszczana do domu, na fotel i co rano do sypialni, lecz Ruby na razie nie miała najmniejszych szans na takie przywileje. Zbyt często skakała na przedmioty i ludzi bez żadnego ostrzeżenia, drapiąc ich ostrymi pazurami, albo psuła przyjemne chwile, liżąc ich i obdarzając swą bezgraniczną miłością i entuzjazmem.

– Zachowywała się jak po *Ecstasy* – mówi Bridget, której trudno było związać się z Ruby. – Ucieszyłam się, że w domu jest nowy szczeniak, ale gdy tam pojechałam, stwierdziłam: „Trochę przesadzasz”. Nie zrozumcie mnie źle, uważałam, że Ruby jest naprawdę wspaniała, taka słodka. Chciałam tylko, żeby przestała, żeby wreszcie się uspokoiła.

Trudno było wszystkim Griffithom, a zwłaszcza Bridget, nie porównywać hałaśliwej Ruby ze spokojną i łagodną Sophie. Pogodniejsza, bardziej uparta, ciepła i obdarzona intuicją Sophie była szczęśliwa, jeśli mogła położyć brodę na czyichś kolanach lub gdy w kółko, godzinami, rzucało się jej piłkę tenisową. Z kolei Ruby nie potrafiła usiedzieć na tyle długo, aby Bridget wzięła ją na ręce i wtuliła się w nią, tak jak robiła z Sophie. E była zdolna skupić uwagę nie dłużej niż złota rybka, więc zabawa w rzucanie patyka czy piłki tenisowej kończyła się po zaledwie dwóch rzutach. – Miałam ochotę powiedzieć: „Ten liść palmy, który wypatrzyłaś, nadal będzie tam leżał za dziesięć minut, możesz się więc uspokoić, abym mogła cię pogłaskać?” – mówi Bridget. Jednak po dwóch głośnięciach po łbie szczeniak zmykał, jakby chciał zapytać: „I co teraz?”

Pierwsze spotkanie Bridget z Ruby nastąpiło podczas ferii bożonarodzeniowych. Miała kilka dni na samodzielne wybadanie psiaka, zanim reszta rodziny zeszła z piętra. Podczas świąt Bożego Narodzenia u Griffithów wszyscy mieli okazję porównać Ruby do Sophie i choć myśleli o starszej suce, nikt o niej nie mówił. Dzieci miały nadzieję, że pewnego dnia będzie można wrócić do wspomnień i opowiadać stare historyjki, ale wiedziały, że ten czas jeszcze nie nadszedł. W domu nadal nie było żadnych zdjęć Sophie i dla wszystkich było jasne, że jej imienia nie należy wspominać.

Gwiazdka 2008 roku była początkiem nowego okresu w życiu Griffithów – ery niezmordowanego rudego szczeniaka, kręcącego się pod ich nogami, dopraszającego się kąsków i śliniacego, gdy jedli posiłek, oraz wskakującego na stół lub na któreś z nich, gdy tylko odwróciło się plecami. W święta, gdy zebrali się w domu cała rodzina, Ruby była w swoim żywiole. Przez trzy dni, kiedy wszyscy tradycyjnie świętowali: panie piły szampana, a panowie piwo i grali obok basenu, Ruby skakała, śliniła się i drapała, jeśli działo się cokolwiek, w czym mogłaby wziąć udział.

Jan zaserwowała dania świąteczne w stylu tropikalnym: sałatkę ze świeżych owoców morza z domowym sosem z mango, następnie pieczeń wieprzową, pieczonego indyka ze „specjalnym nadzieniem babci” oraz szynkę. Na jarzynkę podała pieczone ziemniaki, dynię, zielone warzywa gotowane na parze, a do ich przyprawiania sos żurawinowy, sos jabłkowy i zawieszisty sos pieczeniowy. Ruby miała swój udział w uczcie, a potem w dalszym świętowaniu. Zawsze była pod ręką, gdy rodzina odpoczywała przez kilka dni, zjadając pozostałości wigilijnego posiłku, drzemiąc i oglądając tradycyjny, świąteczny mecz krykieta.

Ruby była tam bez przerwy, cały czas gotowa do rzucania się, skakania, energicznie merdająca ogonem, niezniechęcona reprimendami i pełna nadziei na zabawę.

– Gdybym wówczas wiedziała, to, co wiem teraz, nazwałabym ją Ginger Rogers – powiedziała niedawno z uwielbieniem Jan. Zamiast tego szczenię dostało imię zaliczające się do takich, jak Fergie (od nazwiska Sarah Ferguson, księżnej Yorku), Red, Ruby Doobee, Rubes, Doobs i Ruby Doobee Doo.

– Początkowo mogłam mieć pewne obawy co do słuszności dawania im w prezencie nowego pieska – przyznaje Ellen. – W końcu jednak musiałam przyznać rację Luke’owi. Ze szczeniętami życie staje się lepsze.

Rozdział 11

Pies Robinson

Peter Berek (który niestety zmarł pod koniec 2010 roku) mieszkał samotnie na St Bees od trzydziestu lat i wiedział, że bezpańskie psy przychodzą i odchodzą, porzucane na wyspie przez żeglarzy, którzy musieli złapać przyływ, aby wrócić na ląd, ale przypływali uratować swoje zabłąkane zwierzaki, gdy było to bezpieczne. Sam też miał psy. Co prawda posiadanie zwierząt domowych na wyspie było zabronione, lecz psy Petera były niezwykle oddanymi mu sprzymierzeńcami, co usprawiedliwiało ich posiadanie. Zatem gdy 16 grudnia zadzwonił do niego Brian Kinderman, z informacją, że ma wypatrywać niebieskiego psa, który był na Keswick, a teraz przeniósł się na St Bees, był podekscytowany i zaintrygowany.

– Ten pies, o którym ci mówiłem, ten, za którym gonilem wtedy Kozią Drogą, jest teraz tam u ciebie – Brian poinformował Petera przez telefon.

Mężczyźni utrzymywali przyjacielskie stosunki i byli w stałym kontakcie, by wymieniać się plotkami z wysp i z Mackay. Na początku grudnia Brian miał nowiny: zaledwie parę dni wcześniej gonił za psem o niebieskim umaszczeniu od pasa lotniskowego do zatoki Basil i nie bardzo wiedział, co o tym sądzić.

– Nie mam pojęcia, skąd pochodzi, ale Mikę widział go kilka dni przede mną – powiedział Brian Peterowi. – Miałem lasso i zakreśliłem nim, ale nic z tego nie wyszło. Byłem za wolny. Żałosne, stary.

Peter zachichotał. – Z tych wózków elektrycznymi nie ma żadnego pożytku.

Dwa tygodnie później Brian znowu zadzwonił, aby przekazać Peterowi, że kilku turystów z pensjonatu donosi, iż widziało psa czającego się przy jednej z plaż na St Bees, po drugiej stronie kanału, gdy stali na piętrze, pijąc poranną kawę. Gości zastanowił widok samotnego czworonoga na tamtejszej bezludnej plaży. Do kogo należał? Wyglądał tak, jakby polował na kraby między skałkami.

Brian opowiedział gościom resztę historii o psie, o tym, jak mieszkańcy Keswick zauważyli go na wyspie i zastanawiali się, kto jest jego właścicielem. Nikt nie potrafił tego odgadnąć. Pies bez wątpienia był wytrzymały i unikał kontaktów, ale nie wydawał się niebezpieczny. Dla wszystkich było oczywiste, że to czyjś zwierzak domowy, najprawdopodobniej porzucony.

Brian był zaskoczony, słysząc od swych gości, że pies jest teraz na St Bees. Musiał z powrotem przepłynąć przez cieśninę. Wydawało się niewiarygodne, że poważył się na taki wyczyn – nikt nie był na tyle głupi, aby pokonywać wpływ cieśninę Egremont. To zwierzę zaczynało się jawić jako swego rodzaju super pies. Za każdym razem, gdy ktoś go spotykał, robił coś niesłychanego. Mieszkańcy Keswick jeszcze do niedawna sądzili, że tylko kwestią czasu jest, kiedy zobaczą go w pobliżu lub w środku któregoś z domów. A teraz był na St Bees? Wszystko to stało się tematem gorących dyskusji gości Briana i Lyn przy stole. Czy cieśnina nie jest niebezpieczna? Czy są tam rekiny? Jak psu udało się ją pokonać?

– Musi tu pachnieć jedzeniem – powiedział Peter Brianowi.

– I pamiętaj, że tu jest woda. Wy, tam u was, nic nie macie.

– To prawda – zgodził się Brian, śmiejąc się, bo wiedział, że Peter musiał trochę pożartować: Moja wyspa jest lepsza od twojej.

– Wyglądał na bardzo wychudzonego, to jednak twarda sztuka. Nie wiem, czym się żywi, ale nie widziałem, by chciał się zaprzyjaźnić z kimkolwiek z nas. Może wy będziecie mieć więcej szczęścia.

Nie było wątpliwości, że pies miał większe szanse przeżyć na St Bees niż na Keswick. Niewiarygodne było, że to zrozumiał i że coś z tym zrobił.

Z lotu ptaka wyspa St Bees wygląda jak żyzna, pierwotna okolica na wymarzone schronienie przed światem, w którym coś poszło źle. W większości to bezludna, tropikalna wyspa, porośnięta gdzieniegdzie namorzynami i palmami, z malowniczym wybrzeżem, z którego przybysze spoglądają na Keswick i ciągnące się za nią Morze Koralowe. Strome wzgórza przecinają pasy skał i roślinności. Da się je przemierzyć tylko w mocnych, obejmujących kostkę butach. Pora deszczowa w północnym Queenslandzie gwarantuje, że od stycznia do maja St Bees jest gęsto porośnięta drzewami eukaliptusowymi i lasami deszczowymi o bujnym listowiu, a przy gruncie rośnie kilka gatunków twarolistnej trawy, której długie liście kaleczą gołe nogi, nawet jeśli ktoś ma dość grubą skórę. Wokół całej wyspy rozrzucone są minizatoczki w kształcie paznokcia, otoczone piaskiem usianym skałkami i namorzynami. Woda jest tam tak ciepła i niebieska, jak w hotelowym basenie, ale w wielu miejscach występują prądy. Odpływ odsłania w zatoczkach szorstkie, muliste dno. Do głazów przy tych plażach przychepione są ostrygi, które można zjeść, jeśli ktoś ma odpowiednie narzędzia oraz czas, aby brodzić w wodzie i je zbierać. Trzeba to jednak robić podczas odpływu, gdyż inaczej zbieracze ryzykują, że fale ich poturbują i rzucają na koralowe obrzeże wyspy.

Jedynym zagospodarowanym miejscem na wyspie, jeśli w ogóle można tak powiedzieć, jest zatoka Homestead. Przy mierzącym mniej więcej kilometr pasie plaży wznoszą się trzy otynkowane, podniszczone domy, zbudowane dość chaotycznie z cegły, blachy i belek. Dwa mają chwiejne werandy, z których można podziwiać zachody słońca nad Keswick i Morzem Koralowym. Z pokładu przypływającej motorówki lub przelatującego samolotu zatoka Homestead wygląda jak raj, jak opuszczona tropikalna wyspa, na której nastoletnia Brooke Shields wylądowała ze swoim atrakcyjnym kuzynem w filmie z lat osiemdziesiątych *Błękitna laguna*. Zatokę otaczają smukłe, potargane palmy, przy czym kilka z nich rośnie tam co najmniej od sześćdziesięciu lat. Stare generatory, lekkie samochody typu buggy i czasami zagubione plastikowe zabawki są jedynymi dowodami bytności rodziny Bercków.

Berckowie to jedni z nielicznych dzierżawców w zatoce Homestead od ponad wieku. Peter Berek, najstarszy z pięciorga rodzeństwa, był szczupłym mężczyzną po pięćdziesiątce o jasnej karnacji, który stracił nogi jako nastolatek na skutek porażenia prądem. Wraz z dwoma kolegami niósł aluminiowy maszt przez pole golfowe w Ann Arbor, w stanie Michigan, gdzie dorastał. Wypadek zdarzył się tuż przed przeprowadzką rodziny do ojczyznej Australii, gdzie ojciec Petera, Lionel, kupił wyspę St Bees w tropikalnym Queenslandzie.

Lionela Bercka zafascynowała historia tej wyspy (później napisał o tym książkę). Od 1907 roku należała ona do licznej, postępowej rodziny Bussuttinów, która hodowała tam bydło i owce, wzniosła piękne domy w stylu kolonialnym i sprowadziła koale z Proserpine, na południe od Mackay – być może w charakterze maskotek, a być może, aby je ocalić, gdyż w tamtych czasach popularnym sportem stało się polowanie na te zwierzęta. Lionel Berek wziął w dzierżawę teren nad zatoką Homestead w 1968 roku i rodzina miała tam swój drugi dom. W 1979 roku Peter postanowił, że ze względu na swoje potrzeby i zgodnie ze swoim temperamentem bardziej nadaje się do życia na odległej St Bees, toteż przeniósł się tam na stałe. W 2006 roku młodszy brat Petera, David, i jego żona Carolyn wraz z grupą przyjaciół przejęli dzierżawę Lionela.

Peter był psiarzem w każdym calu, dlatego gdy 16 grudnia odebrał telefon od Briana z Keswick, niecierpliwie wyglądał spotkania ze swoim nowym sąsiadem. Wiele lat przed

przenosinami na wyspę, w dzieciństwie i okresie nastoletnim on i czwórka jego rodzeństwa spędzali weekendy i wakacje na St Bees wraz ze swoją suką Whiskey, niebieskim psem pasterskim podobnym do Sophie. Whiskey często próbowała przepływać niebezpieczną cieśninę Egremont, gdy chłopcy Bercków udawali się motorówką na Keswick, aby skosić tamtejszy pas lotniskowy o długości czterystu osiemdziesięciu metrów i w ten sposób trochę zarobić. Musieli zatrzymać motorówkę, wyławiać Whiskey i zawracać, aby zabrać ją z powrotem do zatoki Homestead i zamknąć w domu, aby nie podążyła za nimi, ryzykując poważne obrażenia w cieśninie.

Oprócz tego, że Whiskey kilkakrotnie została zdyscyplinowana i odstawiona do domu, wiodła szczęśliwe życie. Gdy Berckowie nie kosili pasa lotniskowego na Keswick, spędzali czas na St Bees, grając w plażowego krykieta, ucząc się łowić żarłaczę tygrysie oraz ignorując chmary komarów, gdy zasnęli pod palmami ocieniającymi zatokę Homestead. Whiskey towarzyszyła im przez cały czas, czekała na bieliki biało brzuche, dręczyła tysiące lśniących, brązowych gekonów, biegających na krótkich łapkach i wygrzewających się w słońcu na skałkach, zjadała komary i goniła fale, gdy nadchodził przypływ.

Peter miał też inne psy w czasach, gdy mieszkał na wyspie – psy, które wszędzie za nim chodziły. Po Whiskey była Knickers, czarna suka będąca krzyżówką psa pasterskiego. W latach osiemdziesiątych wydała na świat miot na St Bees. David Berek musiał przylecieć i zabrać szczenięta do Mackay, gdy Knickers wyniosła je wszystkie w góry, zapewne dla bezpieczeństwa. Następną była jeszcze jedna suka rasy niebieskich psów pasterskich, która nosiła imię Zeuch, ale z jakichś powodów Peter i jego goście nazywali ją George. Zarówno Knickers, jak i George były mniej zainteresowane polowaniem na koale i walabie niż przebywaniem u boku ukochanego właściciela. Gdy korzystały z życia na wyspie, to, podobnie jak Sophie, nie znosiły się oddalać od Petera.

Od tamtego okresu, gdy Peter miał psy, minęło sporo czasu. Teraz większość dni na wyspie spędzał samotnie. Przez znaczną część dnia przebywał w pobliżu warsztatu, gdzie wynajdywał sobie różne zajęcia: naprawiał przedmioty, rozmawiał przez telefon, czasem wypijał piwo lub szklaneczkę porto i bardzo często szukał muzyki w internecie. Cokolwiek robił, z ogromnych głośników musiała dudnić muzyka. Ochotnicy, którzy przyjeżdżali rachować koale na wyspie, zawsze wiedzieli, że Peter był w nastroju do imprezowania, jeśli około czwartej po południu w odległości setek metrów od wzgórz St Bees słyszeli nagrania *Creedence Clearwater Revival* czy *Bloodhound Gang* dochodzące z jego warsztatu. Peter poświęcał znaczną część swojego czasu wolnego na wygrzebywanie zapomnianych hitów i zespołów, które odeszły w cień. Był dumny z tego, że zna każdy utwór, który kiedykolwiek trafił na listę czterdziestu największych przebojów. Zgromadził ponad dwa tysiące ułożonych alfabetycznie płyt CD, a każda z nich miała oryginalną okładkę.

Peter Berek pierwszy raz dostrzegł Sophie 18 stycznia. Stała na zalewowej równinie zatoki Homestead podczas odpływu, niecałe sto metrów od drzwi jego domu. Wiedział, że jego obowiązkiem jest bezzwłoczne powiadomienie strażników parkowych, gdy tylko zauważy tajemniczego psa o niebieskim umaszczeniu, jednak nieco się z tym ociągał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli pies zdziczał i nie da się go złapać, zostanie zastrzelony. W ten styczniowy dzień, kiedy Peter Berek zobaczył go po raz pierwszy, miał przeczucie. Nawet nazwał zwierzę psem Robinsonem, było bowiem wytrzymałe i, jak wszystko wskazywało, dość długo już samodzielnie przetrwało.

Był prawie pewien, że czworonóg należał do rasy niebieskich australijskich psów pasterskich, tej samej co Whiskey i George, choć miał bardziej włochatą sierść i był znacznie mniej ufny. Stał tyłem do oceanu, wpatrując się poprzez palmy w Petera, wychodzącego z dużego, otwartego hangaru.

Brian powiedział mu, gdy rozmawiali kilka tygodni wcześniej, że pies prezentował się coraz gorzej za każdym razem, gdy widziano go na Keswick. Peter przekonał się, że nadal

jest chudy, pod skórą rysowały się zebra, zmizerniał na brodzie i wokół oczu, ale nie wyglądał na chorego. Sierść miał gęstą, o intensywnej barwie. Peter odetchnął z ulgą, gdyż ten stan rzeczy świadczył, że na St Bees w końcu znalazł coś do jedzenia.

Peter zagwizdał, ale pies nie podbiegł w podskokach z wywieszonym językiem, merdając ogonem i strzygąc uszami, jak to czworonogi mają w zwyczaju, a okazywany przez nie entuzjazm czasami zmusza ludzi do cofnięcia się o parę kroków. Pies Robinson popatrzył na Petera, spojrział w bok, potem znów na Petera, po czym puścił się biegiem. Przeszedł w galop – jego tylne łapy dotykały w biegu przednich. Kierował się na północ wyspy, w stronę Shark Point i wzgórz.

Sophie zjawiała się na wyspie w porze, gdy jest tam zatrzęsienie eleganckich motyli o dużych skrzydłach z błękitnymi plamami na czarnym, połyskliwym tle. Te motyle fruwały nad wyspą przez prawie cały rok, ale w styczniu wydają się mnożyć i zlatują nad zatokę Homestead, gdzie unoszą się na tle dziennego nieba niczym konfetti, zbierają się na palmach i drzewach papierowych. Kierują się tam, gdzie znajdują cokolwiek wilgotnego, aby na tym usiąść, jak na przykład na wypranych ubraniach Petera wiszących na sznurze do bielizny, a być może na sierści Sophie po pływaniu. Czyje zauważyła? Piękno motyli mogą podziwiać też psy – znane są historie o psach pasterskich, które odwracały wzrok skupiony na czterystukilowej krowie za przelatującym motylem czy ważką. Być może, gdy Sophie wychodziła rano na plażę lub kryła się pod drzewami, bo popołudniowe słońce zaczynało za mocno prażyć, zatrzymywała się albo budziła ze snu, gdy wylądował na niej motyl. Tego rodzaju obrazy lubią przywoływać Griffithowie, aby zapanować nad myślami o strachu i stresie, jakie musiała przeżywać. Zdarzało się, że sama Jan z zachwytem obserwowała te motyle podczas rodzinnych wypraw na Keswick i St Bees, podziwiając jak mienia się w słońcu i siadają na liściach albo jedne na drugich, a ich eleganckie sylwetki odcinają się na tle purpurowego, chmurzącego się nieba, gdy zbliżała się pora deszczowa.

Oprócz kóz, motyli, jaszczurek i walabi, które Sophie na pewno widziała podczas wycieczek na wzgórze, musiała też wiedzieć, że na wyspie są ludzie. Nawet zanim zmierzyła się wzrokiem z Peterem w tamten styczniowy poranek, musiała poczuć ich zapach i usłyszeć ich.

W ciągu dnia, gdy Sophie włóczyła się po wyspie, słyszała z dala nagrania, które puszczał Peter, i być może jego obecność działała na nią uspokajająco. Jeśli nie było krążących w powietrzu awionetek ani jeżdżących chopperów (lokalna nowinka służąca zapewne przyjezdnym, wpadającym na weekend na Keswick, do poszukiwania malowniczych plenerów), do suki dochodziły dźwięki rozbrzmiewającej w tropiku muzyki Petera, prawdopodobnie dzięki temu mogła uniknąć wkroczenia na jego teren, gdy tam przebywał. Mogła także słyszeć odgłosy czterokołowego Argo – poobijanego niebieskiego pojazdu typu buggy, który ryczy jak Harley Davidson. Peter jeździł nim po wyspie od paru dekad, gdy chciał się wyprawić poza główne obozowisko czy przemierzyć wzgórze lub piaski.

Wreszcie 18 stycznia Sophie pokazała się osobie, którą z pewnością wcześniej słyszała i wyczuła węchem. Choć Peter ani przez chwilę nie odniósł wrażenia, że suka chce się z nim zaprzyjaźnić albo szuka u niego pomocy, był przekonany, że celowo stanęła na jego drodze. Nie oczekiwała, że będzie do niej zagadywał lub ją ratował, ale potrzebowała jakiejś formy kontaktu. Chciała być blisko ludzi, zachowując przy tym bezpieczną odległość. Peter zachowywał się przyjaźnie, ale nie przejmował się zbyt obecnością suki, co jej odpowiadało, bo pozwalało trzymać się z daleka, a jednocześnie dodawało otuchy.

Sophie i Peter mieli pewien rys wspólny – oboje chcieli, aby zostawić ich w spokoju pod warunkiem, że w pobliżu był człowiek, z którym, gdyby zechcieli, mogli nawiązać bliższy kontakt.

W ciągu następnych kilku tygodni Peter widywał psa rozbitka o różnych porach dnia i nocy. Nie wyglądał na zainteresowanego trzema walącymi się domami nad zatoką Homestead, które mogłyby zapewnić mu schronienie. Zauważył, że pies był coraz chudszy i choć robił co mógł, aby go zwabić, wystawiając miski z psią karmą, nie pojawił się u niego w poszukiwaniu posiłku.

W trakcie codziennych rozmów Peter mówił swojemu bratu Davidowi o zwierzęciu za każdym razem, gdy je zobaczył, a brat zastanawiał się, czym pies się żywi. Na wyspie wciąż było sporo kóz. A co z walabiami? Raczej się do nich nie dobrał, inaczej nabrałby okrągłych kształtów. A to oznaczało, że pies musiał być czymś zwierzęciem domowym, porzuconym lub zagubionym, inaczej bardziej by zdziczał.

Mimo niechlujnego wyglądu psa Peter zauważył, że porusza się płynnie i szybko oraz że podczas odpływu przechodzi przez namorzyny rozsiane po wybrzeżu zatoki Homestead. Zawsze wyglądał na czujnego i mającego wyznaczony cel. Uszy miał postawione, ale lewe nieco mu opadało. Poruszał się zwinnie. Czasami wieczorem Peter widział, jak nadchodzi od strony ciemnych skał w północnej części wyspy, w miejscu, gdzie Shark Point znika z pola widzenia, dokładnie naprzeciw Keswick, i gdzie St Bees przechodzi w szereg zatoczek i głazów. Kilka razy, zwykle rano, widział psa idącego w przeciwnym kierunku – z zatoki Honeymoon lub Stockyard na południu na Shark Point, a potem znikającego w okolicy linii brzegowej lub wyżej, na krawędzi lasu. Pies przemieszczał się z miejsca na miejsce, ale Peter doszedł do wniosku, że musi nocować gdzieś nad zatoką Honeymoon lub w okolicach wraku statku w zatoce Stockyard.

Peter znajdował ślady łap, a często także widział zad psa umykającego, gdy tylko go usłyszał. Na tej podstawie stwierdził, że zwierzę podchodzi coraz bliżej jego domu. Powiedział o tym Davidowi, który doskonale wiedział, jakie zagrożenie dla delikatnego ekosystemu wyspy stanowi pies, i dlatego postanowił powiadomić strażników parku morskiego o obecności czworonoga.

Odkąd strażnicy usłyszeli o tajemniczym zwierzęciu, niedługo po jego pierwszym spotkaniu z Peterem, chcieli złapać go żywego. Do tego potrzebowali pomocy Pete'a, musiał przygotować im grunt do działania. – Powiedzieliśmy: „Pete możesz spróbować się z nim zaprzyjaźnić?” – wyjaśnia strażnik Steve Fisher.

Strażnicy wiedzieli, że wybiorą się na St Bees pod koniec marca i na miejscu spróbują się zorientować, jak w humanitarny sposób rozwiązać problem psa. Gdyby do tego czasu Peterowi udało się go oswoić, mogliby bez większego problemu i wysiłku zabrać go z wyspy.

Jednak starania Petera zakończyły się niepowodzeniem. Miski psiej karmy, które stawiał na ścieżce między plażą a swoim warsztatem, pozostały nietknięte.

– Wydaje mi się, że kręci się wokół zatoki Honeymoon – powiedział Peter Steve'owi Fisherowi. – Ale nie mogę go tu zwabić. – Peter widywał Sophie tarzającą się po plaży, miała przynajmniej nieco zabawy, i węszącą pod kazuarydami i palmami, a potem węszącą między skałkami, prawdopodobnie w poszukiwaniu jedzenia. Jednak odrzucała wszelkie jego zaproszenia do podejścia bliżej. Kilka razy Peter zagwizdał na nią, gdy zobaczył ją biegnącą przez przybrzeżne, błotne równiny po wschodzie słońca. Rzucała się wówczas do ucieczki albo jawnie go ignorowała.

Zawsze, gdy przyjaciele Petera odwiedzali go na wyspie, również gwizdali na psa i wołali: „Hej, piesku!”, jeśli dostrzegli go w pewnej odległości. Zwykle natychmiast uciekał. Pod koniec lutego Peter zauważył, że zwierzę znacznie przybrał na wadze. Być może znalazł coś dobrego dojedzenia, na przykład jedną czy dwie kozy.

Peter i pies, któremu nadał imię po znanym z literatury rozbitku, utrzymywali ten stan rzeczy do końca lutego. Peter nie narzucał się. Darzył szacunkiem to samotne stworzenie i choć nie udało im się nawiązać znajomości, każde z nich miało świadomość obecności tego

drugiego. Wyczuwał też pewne podobieństwo w psie, który wolał zdziczeć, niż się zaprzyjaźnić. Byli dwoma samotnikami na jednej wyspie.

Na początku marca tropikalny cyklon Hamish zagroził Mackay, pobliskim wyspom i wybrzeżu. Ostatecznie nie dotarł tak blisko Mackay, jak przewidywały media. Początkowo zmierzał ku wybrzeżu, ale skręcił na południe i skierował się w stronę Nowej Zelandii zamiast środkowego Queenslandu. Mimo wszystko osiągnął piąty, najwyższy stopień w skali siły cyklonów i uderzył w wybrzeże silnymi opadami deszczu i podmuchami wiatru, które łamały gałęzie, strącały orzechy kokosowe, wznosiły tumany piasku oraz naniosły sterty śmieci na plaże.

W Mackay Jan i Dave pozamykali wszystkie okna, pochowali meble ogrodowe i schowali się w pokoju pod domem. Siedzieli w środku i obserwowali strumienie deszczu zacinające prawie poziomo nad gruntem, słuchając przy tym trzasku i grzmotów piorunów uderzających niedaleko domu. Ruby była tam z nimi, skomląc i denerwując się pokazem siły rozszalałego żywiołu i wszystkimi głośnymi łomotami. Jan głąskała ją i zapewniała: – Wszystko będzie dobrze, Ruby Doobee.

Na Keswick Brian i Lyn Kindermanowie uprzątnęli taras i podparli drzwi deskami. Brian dodatkowo okręcił drutem materiały budowlane na placu budowy. Czuli się stosunkowo bezpiecznie, siedząc w środku z butelką dobrego rumu Bundaberg. Pensjonat i inne domy na Keswick zbudowano tak, aby wytrzymały cyklony o sile nieprzekraczającej czwartego stopnia. Mimo wszystko Brian i Lyn stracili rynny i ponieśli kilka mniejszych szkód po przejściu wiatrów osiągających prędkość prawie stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, czyli prawie trzy razy mocniejszych od tych, przy których samoloty nie mogą lądować na pasie lotniskowym.

Na St Bees Peter postąpił tak jak zwykle – poszedł do łóżka i słuchał muzyki. Nigdy nie czuł potrzeby, aby przenieść się do wzniesionego na wypadek cyklonu, betonowego bunkra za południowym budynkiem ani żeby podejmować wysiłki i przywiązać krzesła oraz zabezpieczać pojazdy typu buggie. Przez tropikalny Queensland przechodzi średnio od czterech do pięciu cyklonów rocznie, a największym zagrożeniem na wyspach są gałęzie latające w powietrzu jak pociski i dachy zerwane z domów.

Przypuszczalnie Sophie również miała plan schronienia się. W którymś momencie musiała się zorientować, że wzmagający się wiatr wygina palmy niebezpiecznie, pod coraz większym kątem i że deszcz przesłania zwykle kryształowy widok na Keswick. Zrozumiała, że burza za bardzo się rozszalała, by mogła przebywać na zewnątrz i znalazła sobie schronienie gdzieś na wyspie, prawdopodobnie w pobliżu któregoś domu. Mogła powęszyć wokół południowych lub północnych domów, aby upewnić się, że są niezamieszkałe, a potem skulić się w kącie pod tarasem, by schronić się przed deszczem i porywami wiatru. Mogła też wykopać sobie głęboki dół gdzieś pod drzewem i zwinąć się na czas sztormu pod liśćmi i gałęziami.

Na ogół Sophie nie bała się burzy. Co prawda nie lubiła piorunów, ale też nie denerwowała się i nie drżała jak niektóre psy. Mimo to podczas brzydkiej pogody Jan i Dave zawsze brali ją do siebie. Leżała obok nich, rozglądając się dookoła, jakby wiedziała, co się dzieje. Jediną oznaką niepokoju, jaką u niej zaobserwowali, było poszczekiwanie od czasu do czasu, gdy usłyszała w oddali huk lub trzask. Nie było to odpowiednie przygotowanie do znalezienia się na zewnątrz podczas burzy.

Kilka dni po najsilniejszym uderzeniu cyklonu Hamish w St Bees David Berek i jeden ze współwłaścicieli gospodarstwa rolnego, Frank Debrincat, usuwali orzechy i liście palm kokosowych rozrzucone wokół zatoki i sprawdzali, czy drzwi i dachy domów wciąż są na swoich miejscach i mocno się trzymają. David przyleciał z Mackay, aby spotkać się z Frankiem. Peter wyszedł z cyklonu Hamish bez szkód, ale cierpiał na raka krtani i bardzo niechętnie opuszczał wyspę, aby leczyć się w Brisbane.

Frank skierował się do południowego domu, aby sprawdzić stan drzwi siatkowych i dużego starego stołu. Stół był dobrze zabezpieczony pod dachem tarasu i tak ciężki, że mógł go unieść tylko najsilniejszy sztorm, mimo to Frank chciał się osobiście upewnić, że wszystko jest w porządku. Szedł piaszczysto-skalistą ścieżką wijącą się między domami i pod zwieszającymi się drzewami. Gdy zbliżył się do szopy ze starym generatorem, był zatopiony we własnych myślach o pogodzie i pięknie wyspy.

Szopa, z pomalowaną na zielono drewnianą licówką oraz powyrywaniem oknami i drzwiami, stoi około dwustu metrów od domu Petera, przy ścieżce do południowego domu. Znajduje się w niej stary dieslowski generator, którego Berckowie używali w latach pięćdziesiątych do czasu zainstalowania nowszego i większego w pobliżu północnego domu. Szopa, rzadko używana, jest ciepła i ciemna, pełna pajaków i innych przyprawiających o gęsią skórę stworzeń, zapewne także rajem dla węży, lecz żaden z nich nie jest niebezpieczny. Większość tych gadów żyjących na St Bees to niejadowite węże drzewne, zielona odmiana, która spędza dni na pełzaniu z jednej gałęzi na drugą i na śnie.

Gdy Frank wszedł przez otwór drzwiowy, obleciał go strach. Usłyszał warczenie. Przełknął ślinę. W jednym z ciemnych kątów szopy zobaczył wyszczerzone białe kły, a potem oczy i sierść. Sierść była gęsta, ciemnoniebieska, zjeżona wokół szyi warczącego na niego stworzenia. W jego oczach płonął ogień i choć wciąż leżało na podłodze, uniosło łeb z pozycji, w której spało, gotowe zerwać się i skoczyć.

„Cholera, wilk” – pomyślał Frank, wpadając w panikę.

Frank słyszał o tym, że na wyspie jest pies, ale wówczas o nim nie pamiętał, a ta bestia wyglądała znacznie groźniej niż zwierzę opisywane przez Petera. Frank nie zamierzał okazywać większego strachu ani rzucać mu wyzwania. Miał na sobie tylko zwykłe szorty, a gołe nogi były łatwym celem dla zębów wściekłego, wystraszonego ogara.

Zwierzę nadal warczało, gdy Frank cofał się, nie odrywając wzroku od oczu zwierzęcia, jarzących się w rogu szopy. „Musi tam sypiać”, pomyślał Frank. „Co to było?” Było niebieskie, futrzaste i wściekłe. Wyglądało jak wilk. „Ale w Australii nie ma żadnych wilków, a nawet gdyby były, jak ten dostałby się na St Bees?”

Gdy się wycofał, zwierzę wyskoczyło przez drzwi szopy i rzuciło się do ucieczki. „To pies”, zdał sobie sprawę Frank, gdy spojrzał na jego niebieską sierść w świetle dziennym i zobaczył, że zwierzę boi się bardziej niż on. Frank mszył za nim w pogoń. Gwizdał i wołał, ale pies pobiegł gdzieś w stronę Shark Point.

Frank wrócił do głównego domu, aby uspokoić się przy filiżance herbaty i powiedzieć Davidowi Berckowi: – Widziałem psa. Przestraszył mnie. Myślałem, że to wilk.

– W tym kraju nie ma wilków – zauważył David.

– Miał futro i wyglądał na rozłoszczonego. Był w szopie z generatorem. Warczał na mnie – powiedział Frank.

Gdy David zadzwonił do Petera, który był w szpitalu, i opowiedział mu o przerażeniu Franka, kwestia rozwiązania problemu psa stała się palącą. Bracia nieco się podśmiewali z Franka: – Co sobie pomyślał? Wilk? – Jednak doszli do wniosku, że dłużej tak nie może być.

– Najpierw pomyśleliśmy, że to porzucony pies. Niektórzy żeglarze przyplływają i obozują na wyspie, nie mogą znaleźć psa, który gdzieś im odbiegł, i zostawiają go – wyjaśnia Carolyn, żona Davida. Ale tym razem było inaczej. Ten niebieski pies pasterki był tam już bardzo długo. W dodatku przeraził Franka, warcząc na niego i prychając.

Carolyn już wcześniej bała się o bezpieczeństwo swoich dzieci, które swobodnie i boso biegały po St Bees, grały w krykieta na plaży albo zbaczały ze ścieżek, aby napić się wody ze źródła. Jej obawy wzrosły po tym, co spotkało Franka.

David przeszukał okolice zatoki Homestead i trafił na zwłoki kilku kozłat w krzakach za południowym domem. Padlina leżała trochę za blisko głównego domu, aby mógł się z tym dobrze czuć. Mogła pochodzić z wcześniejszego odstrzału, ale mogła też być dziełem bardzo

głodnego, dziczającego psa. – Jeśli zabijał kozy, to robił się okrutny i niebezpieczny. Zasmakował w krwi – wyjaśnia David. Berckowie uznali, że muszą szybko działać, aby pozbyć się psa z wyspy. – Nie wiedzieliśmy, czy pies stanowił poważne zagrożenie, czy nie, ale w obu przypadkach jego obecność na wyspie była niezgodna z przepisami i nie mogliśmy ryzykować.

Niezależnie od tego, jak to się miało skończyć dla Sophie, jej dni jako rozbitka były już policzone.

Rozdział 12

Tak blisko i wciąż tak daleko

W sylwestra 2008 roku, ponad dwa miesiące po wypadnięciu Sophie za burzę, Jan, Dave, Bridget i Sammy, współlokatorka Bridget z Brisbane, wsiedli na Honey May, aby spędzić dzień na wodzie. Kierowali się na wyspę St Bees, a dokładniej na jedną z tamtejszych plaż sąsiadujących z zatoką Homestead.

Jan i Bridget zaproponowały wycieczkę, gdy usłyszały prognozę pogody zapowiadającą wspaniałe warunki, nawet jak na queenslandzkie standardy. Boże Narodzenie minęło, a tego roku pozostałe dzieci Griffithów nie zostały w domu na resztę ferii świątecznych. Zazwyczaj chodzili do pubu Eimeo na rybę z frytkami i piwo, co stało się sylwestrową tradycją, odkąd Ellen i Matthew opuścili dom. Lecz tego roku pozostałe dzieci wybrały się na kemping z przyjaciółmi, więc wyprawa łodzią zapowiadała się jako idealny sposób na spokojne spędzenie Nowego Roku.

Dzień przed rejssem Dave naciągnął sobie jakieś ścięgno stopy. – Zachowywał się zupełnie jak nie on – mówi Bridget, która, wracając teraz wspomnieniami do tamtego dnia, uświadamia sobie, że tata myślał o Sophie. Dave narzekał, że woli planować takie wycieczki z większym wyprzedzeniem. Mamrotał, że przygotowanie łodzi i posprzątanie jej po rejsie wymaga dużo pracy. Przypomniawszy Jan, że z Honey May był problem, unosił się z niej czarny dym. Nie było to jednak nic poważnego i zwykle Dave bardzo entuzjastycznie podchodził do uprawianego na emeryturze hobby. Na ogół to Jan przewracała oczami i narzekała, ile pracy i pieniędzy wkładają w Honey May. – Dlaczego to cholerstwo nie może po prostu działać – mówiła czasami. – Nadszedł jednak sylwester, a mieli za sobą kilka ciężkich miesięcy, więc Jan pomyślała, że dobrze im zrobi wyjście z domu. Miała nadzieję, że wypłynięcie na wodę rozweseli Dave'a. Próbowwała, po wszystkich odbytych z mężem rozmowach na temat jej braku entuzjazmu po zniknięciu suczki, odzyskać radość z pływania łodzią.

Poszli na kompromis – zamiast płynąć aż na swoją ulubioną wyspę, wybiorą się na St Bees, położoną o pół godziny drogi bliżej. Bridget nie przepadała za tym miejscem. Plaże były tam bardziej skaliste niż na Scawfell i nigdy nie lubiła pływać przez cieśninę Egremont. – Woda po prostu tamtędy pędzi – wyjaśnia Bridget, która podczas jednego z rodzinnych rejsów myślała, że spróbuje przepłynąć w poprzek kanału na Keswick, tak dla przyjemności. – Sądziłam, że dam radę, ale skończyło się tym, że kręciłam się w kółko. Gdy pływy przemieszczają masy wody, trzeba płynąć pod kątem do kierunku ich ruchu, aby efektywnie kierować się na wprost. Nie było to ani trochę przyjemne.

Jan dodała jej otuchy i przypomniała, że tamtejsze plaże są równie piękne jak na Scawfell. Podczas przyływu doskonale pływało się w zatoce przylegającej do cieśniny. Szybko wzrastała głębokość wody i można było unosić się na wodzie, przyglądać skalistym klifom, a czasami i wodospadom, jeśli padał deszcz.

Poza tym wszyscy bardzo się starali, aby wzbudzić zapał Dave'a, toteż póki szykował się do wypłynięcia gdziekolwiek, Bridget była za tym. Nie zamierzała się sprzeciwić.

Mimo wszystko Dave wciąż nie był przekonany do tego pomysłu.

– Nie chciał nawet zabrać pontonu, co oznaczało, że nie będziemy mogli dopłynąć do plaży – mówi Bridget. Powiedziałam: – Nie, wszyscy chcemy iść na plażę. Zrobimy kanapki,

zgódź się. – Zarażał innych brakiem entuzjazmu do wyprawy, co było zupełnie do niego niepodobne, ponieważ zawsze był taki dumny, gdy gdzieś nas zabierał.

W końcu Bridget i Jan przekonały Dave'a po części tym, że były przygotowane do drogi.

Jan, jak zwykle, zapakowała nadmiar przekąsek i napojów, kurczaka i pyszne pieczone desery, na których przygotowanie poświęciła całe popołudnie. A słynie z ciasta czekoladowego, karmelowych cukierków, ciastek maślanych z odrobiną ciągnącego się karmelu w środku. Wzięła białe wino i piwo oraz mnóstwo dietetycznej coli dla siebie, aby mogła ją sączyć, gdy będzie cierpieć na chorobę morską.

Zabranie Ruby na pokład w ogóle nie wchodziło w rachubę. W przeciwieństwie do Sophie była nadmiernie ruchliwa, przez co nie nadawała się do zabrania na łódź. Nie dość, że doprowadziłaby wszystkich do szału, ganiając i drepzcząc wszędzie, to jeszcze cały czas baliby się, że wyskoczy za burtę. A teraz doskonale wiedzieli, jak szybko może dojść do nieszczęścia i nie zamierzali ponownie ryzykować. Gdy wyruszyli, zostawiając bardzo nadąsaną Ruby, nie mogli uniknąć myślenia o Sophie, która tak uwielbiała być z nimi i przepadała za oceanem.

Nieba nie mąciła najmniejsza chmurka, a ocean był zupełnie spokojny. – Było po prostu pięknie – wspomina Bridget. Był to kolejny z tych precudnych dni w północnym Queenslandzie, a do tego gorący, idealny by pływać łodzią i być ochlapywanym morską wodą rozpryskiwaną przez Honey May.

Popłynęli na St Bees, co zajęło im godzinę. Bridget i Sammy robiły sobie nawzajem zdjęcia, strojąc głupie miny na pokładzie dziobowym. Dave zachowywał spokój, sterując łodzią z mostka, na którym siedziała też Jan i robiła, co mogła, aby opanować mdłości – żuła suszone morele i wpatrywała się w horyzont. Nie potrafiła powstrzymać powracających przebłysków wspomnień z tamtego fatalnego rejsu. Płynęli prawie tą samą trasą. W dodatku było słonecznie i spokojnie, a wtedy dzień zaczął się tak samo.

Jan wspominała, minuta po minucie. Walczyła jednak ze sobą, aby wciąż bolesne wspomnienia nie zepsuły jej radości, jaką mogła dać im ta wyprawa.

Zarzucili kotwicę u wylotu cieśniny Egremont i popłynęli pontonem motorowym do zatoki Vincent, leżącej naprzeciw wyspy Keswick, zabierając ze sobą wszystko, co potrzeba na piknik. Każdy, kto usiadłby na piętze u Briana i Lyn, zobaczyłby turystów piknikujących na plaży po drugiej stronie kanału. Dokładnie tak samo spojrzeli kilka tygodni wcześniej i zobaczyli psa węszącego na brzegu. Plaża, jak przy większości niewielkich zatoczek wokół St Bees, była bardziej skalista niż piaszczysta. Tworzył ją wąski, zakrzywiony pas piasku usiany głazami pokrytymi muszlami ostryg, którego krańce wyznaczały skaliste cyple. Podczas odpływu w zatoce odsłaniało się błotniste i niejednorodne dno poznaczone koralowcami i ostrygami, natomiast, gdy nadchodził przypływ, na który trafili tego dnia, woda była wspaniała.

Bridget, by nie porównywać tego miejsca z piaszczystym rajem na Scawfell, zabrała ze sobą kamerę wideo. W Brisbane chodziła na zajęcia teatralne i dobrze się zapowiadała jako aktorka, więc zainspirowana przez Davida Attenborougha, klasyka filmów przyrodniczych, kręciła parodię filmu dokumentalnego z Sammy w roli głównej.

Po południu, gdy zjedli lunch, a Bridget i Sammy filmowały się nawzajem w pełnej wody zatoczce oddzielonej piaszczystą wydumą od głównej części plaży, usłyszały wołanie Jan. Wybrała się na poszukiwanie muszli w okolicach plaży. – Chodźcie tu, chodźcie tu! – krzyczała. Była na przeciwnym końcu plaży niż dziewczęta. Początkowo rodzina ją zignorowała, sądząc, że przeżyła chwilową ekscytację podczas poszukiwań. – Pomyślałyśmy, że nieco dramatyzuje i zawołała z powodu, który wcale nie był wart uwagi – wyznaje Bridget.

Jan szperała na krawędzi lasu, który wyrasta za linią piasku na tyłach małej plaży. Zbierała muszelmaki, przetrząsając krzewy i każde zagłębienie między skałami. Trzymała się z dala od

słońca – rozrośnięte paprocie i smagane wiatrem drzewa zapewniały jej cień w ten bardzo gorący dzień.

– Hej, wszyscy! przerwijcie to, co robicie, i chodźcie tu szybko – Bridget przypomina sobie, jak matka nalegała. – Pomyśleliśmy, że znalazła węża, kozę albo coś równie wspaniałego.

Podbiegli. Bridget zawołała ojca, który znajdował się niżej, na linii brzegowej, gdzie sprawdzał ponton, który wyciągnął na plażę. On także porzucił swoje zajęcie i pobiegł. Jan stała pośród kępy drzew, w jednym ze swoich ogromnych kapeluszy i w dużych okularach przeciwsłonecznych. Jej mina mówiła: „Chyba znalazłam legowisko kóz, czyż to nie jest niesamowite?”. Bridget było nieco zażenowana, ale i nieco urzeczona, że jej mama zachowuje się tak melodramatycznie. – Moje uczucia w tamtej chwili można opisać pytaniem: „Jesteś jeszcze moją mamą?”. Zachowywała się po hippisowsku i dziwnie. Nic tam nie było, tylko patyki i kości.

Jan wiedziała, że Bridget się z niej naśmiewa, ale naciskała: – Chodźcie tu i spójrzcie na to.

Bridget zerknęła na Sammy, która wrzuciła ramiona i zbliżyła się z kamerą do legowiska. Leżał tam cały szkielet zwierzęcia, z łbem i wszystkimi kośćmi.

– Mam takie dziwne wrażenie – powiedziała Jan do córki. Trzymała dłoń na sercu i zbladła na twarzy.

Bridget popatrzyła na matkę i zaczęła się zastanawiać, co się dzieje. Zmieszana nastolatka nie mogła się zorientować, co chodzi matce po głowie. Kości, legowisko, schronienie, Sophie – pojawiły się skojarzenia w myślach Jan. Leżały tam szczątki kozy i jeśli zrobił to pies, czy nie mogła być nim Sophie?

Jan ośladnęły emocje, których nie potrafiła wyjaśnić. Bezwiednie zbliżyła się do skraju legowiska i zatrzymała się w pół kroku. Wśród szczątków leżała czaszka wielkości psiego łba.

– Zobaczyłam zarys głowy i stanęłam – wyjaśnia teraz Jan. „O, Boże, to pies!”, przez sekundę myślała, zanim wyraźnie dostrzegła, że to z pewnością koza. Zaczęło ją boleć serce. Chwyciła się za nie. Czuła się tak, jakby tu, na plaży na wyspie St Bees, zmierzyła się z całym bólem ostatnich kilku miesięcy.

– Rozejrzałam się dookoła i popatrzyłam w górę na skaliste żleby, którymi podczas deszczu spływają wodospady. Leżała tam martwa koza i pomyślałam, że jeśli Sophie tu dotarła, mogła zrobić sobie miejsce do odpoczynku, legowisko.

Jan nagle poczuła pogodny spokój. Gdyby udało jej się tu dopłynąć, byłaby bezpieczna – pomyślała.

W tamtym okresie Bridget nie myślała już o Sophie za każdym razem, gdy wypływała na morze. Wynikało to po części z tego, że wciąż bolesne było dla niej myślenie o ukochanym piesku, bezradnym w wodzie, wpadającym w kilwatter Honey May, cierpiącym. Przyczynił się do tego również fakt, że nigdy się nie dowiedzieli, co się tak naprawdę stało, i nie mogli się z nią pożegnać, przez co Bridget nie zmierzyła się jeszcze ze stratą suczki. Nie miała konkretnego wspomnienia o jej śmierci, które w pewien sposób zamykałoby ten rozdział. Życie Bridget w Brisbane kwitło i gdy kilkakrotnie przyjeżdżała do Mackay i nie zastawała Sophie w domu, odrobina fantazji pomagała jej uporać się z cierpieniem.

– Tata wciąż trzymał jej miski na wodę i resztę jej rzeczy, więc było tak, sama nie wiem, jakby jej po prostu tam nie było – stara się wyjaśnić Bridget. – Jakby pojechała gdzieś na długie wakacje. Nie mogłam w to uwierzyć. Nie wyglądało to tak, jakby naprawdę odeszła.

Z kolei Jan codziennie odczuwała dotkliwy brak Sophie w domu. Ruby, wymagająca ciągłej uwagi i dostarczająca tyle urozmaicenia, z pewnością przynosiła Jan ulgę w samotności spowodowanej brakiem Sophie. Wnosiła w codzienność Jan i Dave’a tak bardzo im potrzebną wesołość. Ale nie była Sophie.

Gdy zmienił się kierunek pływów tak, że mogły ich zabrać z powrotem do Mackay, Griffithowie spakowali sprzęt piknikowy i koce do pontonu. Jan wciąż myślała o Sophie. – To było zadziwiające uczucie. Nie było straszne, ale mocno mną wstrząsnęło – mówi. – Nie powiedziałam nikomu, co naprawdę sobie pomyślałam, bo wiedziałam, że to by tylko niepotrzebnie poruszyło Dave’a, a Bridget była w swoim własnym świecie.

Jan stała na brzegu i patrzyła na Keswick. Woda wciąż migotała w popołudniowym upale, a jej poziom był wysoki. – Nie mogłam przestać myśleć, że jeśli tu dotarła, mogła przeżyć.

Na pokładzie Honey May, gdy wypłynęli z cieśniny Egremont, Jan odwróciła się, by spojrzeć na Aspatrię, oddaloną o milę morską, ale doskonale widoczną z St Bees. Nie dostrzegła Heskett Rock, ale już samo przypomnienie sobie, że się tam znajduje, wywołało chwilowy niepokój. Nie dała się pochłonąć wszystkim myślom, które krążyły w jej umyśle, ale jedna powracała: „Czy Sophie tu dotarła?”. Była dobrą pływaczką i na tyle wytrwała, by spróbować tego dokonać, o ile przeżyła upadek z motorówki.

Jan nie podzieliła się z nikim swoimi uczuciami. Dave i Jan wciąż prawie nie wspominali imienia suczki w rozmowach między sobą. Było o tyle lepiej, że potrafili wymienić się ciepłymi spojrzeniami, gdy zobaczyli innego niebieskiego psa pasterskiego, który przypominał im Sophie. Psy tej rasy spotykali wszędzie – na pakach przejeżdżających ciężarówek, gdy rano wyglądali przez okna kawiarni Oscar’s, albo prowadzone na smyczy i sapiące, gdy Dave zabierał Ruby na spacer. Jednak zniknięcie Sophie było zbyt drażliwym tematem, by ot tak sobie do niego powracać. Jan wiedziała, że podzielenie się z Davem myślą o tym, że Sophie mogła dotrzeć na St Bees, sprawi mu ból, zamiast obudzić w nim nadzieję. Przypuszczenie, że Sophie przeżyła upadek do oceanu tak daleko od lądu, było osobliwe. Minęły już ponad dwa miesiące, odkąd wypadła za burtę. Jakim cudem mogłaby przeżyć tyle czasu?

Mimo to Jan odpływała z St Bees z dziwnym przeczuciem, które nigdy jej nie opuściło. Teraz, gdy śniła o Sophie, widziała ją na plaży wbiegającą do oceanu.

Jan i pozostali nie wiedzieli (a Jan być może przeczuwała), że tego dnia Sophie była na wyspie St Bees. Dwa tygodnie przed sylwestrem goście Briana Kindermana spojrzeli na drugą stronę cieśniny i zobaczyli psa tarzającego się na tej samej plaży, na której piknikowali Griffithowie. Sophie mogła być na dwustumetrowym pagórku nad tą plażą albo łapać ryby ze skałek w jednej z pozostałych zatoczek St Bees. Z pewnością jednak tam była i gdyby spojrzała w odpowiednią stronę i zobaczyła Honey May albo poczuła ich zapach, mogła wybiec w podskokach z krzaków lub zza skał, gdy pływ się wycofał, merdając ogonem, sapiąc i charcząc, z językiem wywieszonym z czystej radości. – Wyobrażam sobie, że mogła podbiec do nas, kręcąc biodrami i myśląc sobie: „Tu jesteście! Czekałam na was!” – fantazjuje Jan.

Jednak najprawdopodobniej Sophie była o kilka plaż dalej, gdzieś po przeciwnej stronie zatoki Homestead niż Griffithowie, i odpoczywała pod drzewami lub leżała w wodzie. Dzień był naprawdę skwarny, skóra Bridget się zaróżowiła i poczerwieniała, gdy snuła się w bikini, a Sophie, która ostatnio dokonała wyczerpującego wyczynu pływackiego, aby dostać się na St Bees, musiała być zmęczona i upał musiał jej dokuczać. Zapewne odpoczywała gdzieś w ocienionym miejscu. Trudno sobie wyobrazić, jeśli znajdowała się gdziekolwiek bliżej, by nie poczuła zapachu ukochanej rodziny. Możliwość spotkania się tego dnia była dużo większa, niż którekolwiek z nich mogło sobie wyobrazić.

Rozdział 13

Koale z St Bees i bardzo głodny pies

Sophie nie mogła wiedzieć, jak mało brakowało do uratowania jej przez właśnie tych ludzi, na których czekała od tylu tygodni. Gdy Griffithowie płynęli pontonem motorowym na brzeg zatoki Vincent, żyła samotnie od ponad dwóch miesięcy i wciąż nie podjęła żadnych starań, aby znaleźć sobie nowych właścicieli. Wydaje się, że Sophie, tak oddana rodzinie Griffithów, nadal żywiła nadzieję, iż Jan i Dave przybędą, aby ją zabrać. Jak więc mogła się z nimi rozminąć tamtego dnia? Co prawda St Bees nie jest niewielką skałą, lecz przecież suczka była na tej samej plaży dwa tygodnie wcześniej, a jak daleko mogła odejść w jej przypuszczalnie pogarszającym się stanie?

Czy ponownie zawędrowała do zatoki Vincent po odpłynięciu Griffithów i poczuła ich zapach? Czy węszyła po całej plaży i wyczuła zapach kremu przeciwsłonecznego Jan, szamponu Bridget albo którykolwiek znany jej zapach członków rodziny i podekscytowana zaczęła ich szukać? Czy ich zapach i świadomość, że gdzieś tam są, dodały jej otuchy, zmotywowały do wytrwania i przeżycia?

W dniu, w którym Jan znalazła szkielet kozy i miała przeczucie, suczka była na wyspie dopiero od dwóch tygodni i na pewno jeszcze próbowała przystosować się do kolejnego, nowego dla niej środowiska. Być może ani razu nie wróciła do zatoki Vincent albo pojawiła się tam wiele tygodni po odpłynięciu Griffithów, a wówczas ich trop już zaniknął.

Przez blisko dwa miesiące próbowała przeżyć na Keswick i dzień po dniu jedynie traciła na wadze, nie znajdując dość pożywienia ani wody do picia. Teraz te poszukiwania były jej priorytetowym zadaniem. Najwyraźniej jej postępowanie nie było całkiem impulsywne. Wydaje się raczej, że Sophie działała w sposób przemyślany i roztropny. Zapewne jakiś czas przygotowywała się do przepłynięcia na St Bees, a gdy tam dotarła, najpierw odpoczywała, a dopiero potem ruszyła na badanie wyspy i poszukiwanie swych szans na przeżycie.

Czekało ją mnóstwo nowych doświadczeń zarówno na Keswick, jak i na St Bees – przede wszystkim stała samotność i polowanie na coś do zjedzenia. Do zbadania było wiele zapachów, na przykład drzew herbacianych i drzew z rodzaju *Macaranga*, pszczoł na Keswick i kóz na St Bees, a także ich leżącego w słońcu mięsa. Po St Bees niosły się też zupełnie jej nieznanne dźwięki. Kilka godzin po zapadnięciu zmroku budziły ją nowe odgłosy. Jeszcze w Mackay poznała zawodzące, płaczące jęki kulików rozchodzące się po całej wyspie. Ich krzyki były zagłuszane przez zwierzęce ryki przypominające głosy dzików. Zaczynały się po północy i trwały wiele godzin, przechodząc z gardłowego porykiwania w głośne, agresywne chrząknięcia. Słysząc też było ciężki oddech i brak tchu, gdy odgłosy osiągały crescendo.

Czy Sophie ruszała na leśne ścieżki w poszukiwaniu źródła tych nowych, tajemniczych hałasów, potencjalnie stanowiącego dla niej zagrożenie? A może kuliła się w swoim legowisku, w szopie generatora bądź na stercie liści eukaliptusów w jakimś ustronnym miejscu? Nie mogła tego wiedzieć, ale liście eukaliptusów stanowiły podstawę pożywienia zwierząt wydających te donośne ryki. Nie wiedziała także, przynajmniej na początku, że sama stanowiła znacznie większe zagrożenie dla tych stworzeń niż one dla niej. Stworzenia te to koale. I były ich setki. Tymi, które hałasowały, chrząkając i porykując, i zapewne wyrwały ją ze snu, były samce.

Co roku koale z St Bees przyciągają na wyspę naukowców i ochotników, którzy chcą je badać. Jednym ze stałych gości na wyspie jest zoolog doktor Bill Ellis, który spędził znaczną część ostatnich dwudziestu lat swojego życia na wspinaniu się na eukaliptusy w całej Australii, pobieraniu wymazów z uszu i języków koali oraz zbieraniu ich odchodów w celu analizowania ich po powrocie do Brisbane.

Bill (niektórym znany jako „Bill człowiek od koali”) jest wysokim, lakonicznie się wysławiającym mężczyzną po czterdziestce. Jego zaniedbane, szpakowate włosy są nieco podobne w kolorze do sierści koali, a jego oczy mają głęboki niebieski odcień, także zbliżony do barwy oczu koali. Wraz ze swoimi kolegami, zoologiem Seanem Fitzgibbonem i ekologiem Alistairem Melzerem, łapią i badają koale z St Bees (zwane także misiami, misiaczkami i puchatymi szarymi próżniakami) od 1998 roku, gdy Mary McCabe, ich znajoma, uwielbiana koale i często uczestnicząca w badaniach jako ochotniczka, wybrała się na kemping na St Bees i dostrzegła jedno z tych zwierząt na drzewie.

– Wcześniej nie wiedzieliśmy, że są tam koale – mówi Bill. Nikomu nie przyszło do głowy szukać ich na St Bees, przede wszystkim dlatego że wyspa jest tak daleko poza zasięgiem radaru. Po tym, jak Mary McCabe dopłynęła kajakiem morskim do zatoki Homestead i powiadomiła znajomego, Alistaira Melzera, że podczas popołudniowej wędrówki widziała koalę wspinającą się po drzewie, naukowcy odkryli, że populacja koali z St Bees żyje w niespotykanej harmonii, nie bojąc się zagrożeń ani ze strony ludzi, ani zwierząt.

Kilka razy do roku badacze ruszają z wybrzeża Mackay na wyspy Stradbroke, Rabbit, Newry i popularną wśród urlopowiczów Brampton, a potem na St Bees. Pakują metalowe tyczki, słóiczki na materiały do badań, sprzęt do wspinaczki i kapelusze z szerokim rondem. Rozmawiają z każdym mieszkańcem tamtych okolic, który może im wskazać obszar zamieszkiwany przez koale lub zabrać ich swoją łodzią bądź samolotem. Na St Bees naukowcy oraz otaczająca ich armia ochotników pochodzących z całej Australii i z różnych części świata śpi na łózkach piętrowych w salach południowego domu niczym na szkolnej kolonii. (Jeśli Sean i Bill są sami, układają się do snu w śpiworach pod gwiazdami). Każdy codziennie zapisuje zgromadzone dane w laptopie, odkłada wabiące koale tyczki i zdejmuje buty marszowe, aby wieczorem zrelaksować się przy steku, kilku piwach i nigdy niekończącej się grze w kości przy wtórze krzyków kulików, ryków koali i szumu fal.

Australijskie koale przez dziesięciolecia zagrożone były wyginięciem, przede wszystkim z powodu zagospodarowywania ziem. Australian Koala Foundation⁷ szacuje, że w dziczy przetrwało nie więcej niż 80 000 koali, a możliwe, że zaledwie 43 000. Fundacja prowadzi badania na całym kontynencie z nadzieją, że znajdzie się rozwiązanie, które pozwoli ocalić ten gatunek.

– Zbliżamy się do punktu, który praktycznie będzie oznaczał, że wyginęły. Do punktu, gdy te stworzenia nie będą w żaden sposób zdolne do dalszego życia – mówi Bill, który postrzega możliwość ocalenia tych kochanych na całym świecie zwierząt jako cel sam w sobie, a także jako symboliczny krok w kierunku ratowania planety. Jego optymizm gwałtownie maleje z każdym rokiem, gdy widzi, jak plany rządowe są wdrażane, a potem zarzucane, a fundusze na badania nad koalami przydzielane, a potem zmniejszane. – Wystarczy wybrać jeden element ekosystemu, który rzeczywiście chcielibyśmy ocalić – ludzie chcą ratować drzewa, ale to nie jest powszechne. Natomiast w przypadku koali, nawet jeśli nic o nich nie wiedzą, mówią: „Och, są takie słodkie. Musimy je ocalić”. Ten gatunek żyje dość blisko nas i jest dość odporny. Potrafimy go uratować? Wygląda na to, że nie.

Bill stara się nie poddawać przygnębieniu i zachować optymizm. Właśnie dlatego koale z St Bees są tak ważne dla jego badań. Koale z archipelagów Cumberland i Whitsunday cieszą

⁷ Australian Koala Foundation (AKF) to założona w 1986 r. pozarządowa, niedochodowa organizacja z siedzibą w Brisbane, działająca na rzecz ochrony dzikich koali i ich środowiska; www.savethekoala.com (przyp. tłum.).

się wyjątkowo dobrym zdrowiem, a odkrycie ich populacji na St Bees doprowadziło do znacznego poszerzenia stanu wiedzy o tych zwierzętach. Według szacunkowych danych na St Bees żyje 300 koali i w ciągu kilku ostatnich lat Bill i jego koledzy założyli identyfikatory niemal wszystkim. Koale z populacji na St Bees przychodzą na świat i odchodzą z niego, żując liście eukaliptusów, śpiąc za dnia i hałasując nocą. Należą do jednych z najzdrowszych okazów w malejącej populacji australijskich koali, ponieważ żyją z dala od cywilizacji – poza zasięgiem smogu wytwarzanego przez pojazdy i bez zagrożenia ze strony włóczących się zwierząt domowych, na terenach chronionych przed wycinką drzew pod budowę domów i przed przedzieleniem ich ulubionych ścieżek ogrodzeniami. Koale z wyspy są zakażone chlamydiami, które, po zmniejszającej się liczbie i powierzchni siedlisk, stanowią największe zagrożenie dla ich istnienia. Jednak wiele z tamtejszych osobników nie ma symptomów zakażenia, a u tych zainfekowanych przebieg choroby nie jest tak ciężki jak u ich krewniaków na stałym lądzie. – Te bakterie najprawdopodobniej nie wpływają na populację z wyspy w taki sam sposób jak na grupy na kontynencie – mówi Bill.

Alistair, Sean i Bill monitorują kilka czynników: skutki choroby, która przeniosła się z jednego drzewa na drugie lub z jednej części wyspy do drugiej, nowo narodzone koale i ich matki (samice koali zaczynają rodzić w wieku dwóch lat i później co roku wydają na świat jedno młode) oraz to, które osobniki łączą się w pary, aby wydać potomstwo. W ciągu dekady, w której Bill i Sean obserwowali populację z St Bees, dwie samice urodziły po co najmniej dziewięć młodych i naukowcy są niemal pewni, że każde z nich miało innego ojca. – To dość ciekawa informacja – mówi Bill. Nikt nie przypuszczał, że może tak się dzieć do czasu, aż Mary McCabe natknęła się na koale z St Bees.

Czasami naukowcy spędzają dni na wspinaniu się na drzewa i szeleszczeniu nad koalami plastikowymi torebkami. Skłania to zwierzęta do zejścia na ziemię, gdzie można je złapać, wyczyścić im uszy, założyć identyfikatory⁸ lub przeprowadzić inne badania. Od czasu do czasu zdarza się, że atakują taką torebkę. Ochotnicy pracujący z Billem w ostatnich latach stracili kawałki palców, a niekiedy nawet całe palce. Bill też został ugryziony, ale na szczęście siekacze koali zagłębiły się tylko w miękką część jego palca wskazującego. Gdyby to były tylne zęby, dzisiaj Bill miałby jeden palec krótszy. Mimo to on i Sean upierają się, że koale wpadają w złość tylko wtedy, gdy łapiący je ludzie nie obchodzą się z nimi dość ostrożnie.

Pierwsza osoba, która złapie danego osobnika, uzyskuje prawo do nadania mu imienia, a jedynym warunkiem jest to, że imię musi być na literę alfabetu następną po tej, od której zaczyna się imię ostatniego zwierzęcia zapisanego w rejestrze Billa. Gdy koale mają już założone identyfikatory, naukowcy mogą śledzić je przez lata. W efekcie Bill i inni badacze często przywiązują się do niektórych osobników.

Za każdym razem, gdy Bill i Sean wracają na St Bees, próbują się przygotować na ewentualność, że niektóre z ich ulubionych koali zmarły. Znalezienie martwej koali to ryzyko zawodowe. – To strasznie przykre, gdy trafisz na jedną ze znanych sobie koali, jedną z tych, do których się przywiązałeś – wyznaje Bill, który, gdy przyjeżdża ostatnio na wyspę, liczy się z tym, że nie będzie już Elizabeth, jedenasto- lub dwunastoletniej samicy. – Ale wciąż się trzyma – mówi rozpromieniony. Kilka lat temu Bill i Sean opłakiwali samicę nazwaną Yellow, która przeszła kilkaset metrów, co nie często się zdarza, od drzewa, na którym zwykle siedziała, do miejsca, gdzie zmarła. Obecnie Bill śledzi ruchy i nasłuchuje ryków jednego z jej synów, dorosłego samca imieniem Stewy. To między innymi jego odgłosy prawdopodobnie docierały nocą do Sophie.

Czasami naukowcy przez cały dzień wylegają się na tarasie lub odwiedzają Briana i znajomych na Keswick, opowiadają dowcipy. Ale później, nocą, kierują się na wzgórze,

⁸ Identyfikatory mogą mieć postać klipsa na ucho lub obroży na szyję (przyp. tłum.).

maszerując powoli przez leśne ścieżki, aby nie robiąc hałasu, dotrzeć do miejsc, gdzie, jak wiedzą, przebywają koale. Mogą godzinami siedzieć pod drzewami, próbując uniknąć trafienia przez załatwiające się koale (Bill mawia, że jeśli ma na ciebie narobić zwierzę, lepiej niech to będzie koala jadająca liście eukaliptusów). Ich nocna praca polega na próbie zrozumienia, czemu właściwie mają służyć mruczenie, westchnienia i ryki samców w ciemności.

– Staramy się ustalić, kto do kogo mówi – wyjaśnia Bill. Czy to samce zaznaczają swoje terytorium i im głębszy ryk, tym bardziej krzepki samiec? Koale chętnie się rozmnażają, ale są też samotnikami i musi tak zostać, inaczej będą się mocno nawzajem drapać i gryźć. Bill, Sean i ich kolega Jason Wimmer nagrywali odgłosy koali w ciągu roku na wzgórzach i pagórkach St Bees, co z pewnością nie udałoby się im w rejonach zurbanizowanych, gdzie hałas na drogach i w domach zakłócałby nagrania, a także onieśmielał koale.

Na początku 2009 roku – ponad dwa miesiące po zniknięciu Sophie z Honey May, w ciągu których Brian Kinderman i Peter Berek dostrzegli ją na Keswick, a później na St Bees – Alistair Meltzer dwukrotnie wybrał się na St Bees, aby przeprowadzić badania. Z różnych źródeł, od Briana, Petera i Billa, usłyszał, że na wyspie przebywa pies i że ich zdaniem jest to pies pasterski. Ta informacja zaalarmowała naukowca.

– Miałem psa pasterskiego tej samej rasy, więc wiem, że potrafią być skutecznymi myśliwymi, gdy raz zasmakują we krwi – twierdzi Alistair, który z rozmów z Berckami dowiedział się, że pies prawdopodobnie morduje kozy. – Nie zmartwiłem się za bardzo, ale mnie to zaciekało. Pies na tej wyspie może stanowić zagrożenie dla naszych badań nad populacją koali – tłumaczy. On również, podobnie jak Bill, ma jasnoniebieskie oczy i szpakowate, gęste włosy przypominające sierść koali.

Alistair przypomina sobie, że gdy był na St Bees w tym samym czasie co Sophie, dostrzegł zmianę w zachowaniu tamtejszej populacji zwykle spokojnych walabii bagiennych. – Przez minione dziesięć lat walabie na ogół były bardzo opanowane i do dorosłego zwierzęcia, ale nie młodego, dało się podejść na odległość kilku metrów – relacjonuje. – Natomiast podczas moich pobytów na początku 2009 roku wszystkie natychmiast uciekały na nasz widok lub odgłos. – W poprzednich latach Alistair i Bill widywali je kręcące się w pobliżu południowego domu, gdy przebywał w nim zespół badający koale. Te przyjacielskie, spokojne zwierzęta zbliżały się podskokami do kuchennych siatkowych drzwi, a nawet wskakiwały po trzech drewnianych schodkach na taras, ani trochę nie bojąc się ludzi. Alistair zauważył, że w okresie, gdy Sophie przebywała na wyspie, walabie były znacznie bardziej płochliwe i uciekały przed nim, gdy wędrował z aparatem fotograficznym po wzgórzach i zatokach.

Jeśli tak się zachowywały walabie, to co z koalami?

Problem w tym, że głodna suka mogłaby zapolować na koale, gdy jej instynkt zabijania na dobre się rozwinie. Polowała na kozy i je zabijała, a niewiele różniło koale od kóz poza aromatycznie pachnącą sierścią, przesiąkniętą zapachem eukaliptusów. Polowanie na torbacze wymagałoby z pewnością więcej sprytu i szczęścia. Koale spędzają większość czasu na drzewach, a psy nie potrafią się na nie wspinać. Aby dorwać jedną z nich, Sophie musiałaby po pierwsze, spotkać ją na ziemi, a po drugie, być akurat dostatecznie głodna i agresywna, aby zapolować.

Nerwowe koale zwykle przemieszczają się z drzewa na drzewo, przechodząc ostrożnie z jednej gałęzi na drugą. Natomiast koale z St Bees, wolne od zagrożeń, znacznie chętniej schodzą na ziemię, spacerują sobie, a potem wspinają się na następne drzewo. Za pomocą obroży z nadajnikami GPS Bill i Sean śledzili ruchy koali po całej wyspie, nie tylko z jednego eukaliptusa na drugi, ale też wśród wzgórz, ponieważ często zostawiały swoich rodziców, aby żyć niezależnie. Prawdopodobnie wędrowały także w poszukiwaniu liści różnych

eukaliptusów dla urozmaicenia diety, choć jak do niedawna uważano żywiły się liśćmi tylko jednego gatunku tych drzew.

– Martwiłem się – mówi Bill o obecności Sophie. – Tamtejsze koale nie wyglądają na zanadto zależnione, gdy zejda na grunt. Nie przywykły do żadnych naziemnych drapieżników, w przeciwieństwie do koali żyjących na lądzie, które czmychają na drzewo, gdy tylko kogoś zobaczą.

Alistair miał oko na psa i wypatrył go kilka razy biegnącego przez równiny zalewowe zatoki Homestead. Wydawał się mu zapuszczony, nieuchwytny i bardzo samodzielny, lecz z pewnością niegroźny. Dopiero w ostatnim tygodniu marca, wraz z Billem i strażnikami parkowymi, którzy niedawno przypłynęli na wyspę, Alistair dobrze się przyjrzał psu, gdy ten wybiegł z krzaków na Shark Point i pognał przez zatokę Homestead. Wydawał się być w dobrej formie, nie tak chudy, jak go zapamiętał z krótkich, poprzednich spotkań. Miał bardzo gęstą niebieską sierść i prezentował się dość okazale.

Bill zjawił się na St Bees, aby w ciągu czterech dni zebrać próbki od jak największej liczby koali. Wiedząc o obecności psa, zamierzał sprawdzić, czy dostrzeże u nich oznaki stresu. Zdawał sobie też sprawę, że musi być przygotowany na możliwość zranień koali lub ich śmierci.

Mimo że Bill i Alistair dostrzegli zmiany w zachowaniu walabi, nie było żadnych oznak stresu u koali. Przynajmniej na razie. Nie brakowało też żadnej ze znanych mu koali, nie znalazł żadnej z nich martwej na wzgórzach i nie było żadnych śladów naruszenia padliny innych zwierząt.

Jednakże psa widziano na obu wyspach. Był tak wytrzymały, że przetrwał bez towarzystwa i pomocy ludzi przez ponad trzy miesiące, a być może dłużej. Okazał się na tyle przebiegły, że przeżył drogę wpław przez kanał i przede wszystkim wszelkie inne przygody, które doprowadziły go na St Bees i Keswick. I choć do tej pory nie zabijał koali, wraz z upływem czasu mógł zakłócić ich spokój, gdyby zaczęły się obawiać naziemnego drapieżnika. Nie było innego wyjścia – trzeba było usunąć psa z wyspy.

Rozdział 14

Strażnicy zastawiają pułapkę

Po mniej więcej miesiącu od czasu, gdy strażnicy parkowi dowiedzieli się z telefonu od Davida Bercka o obecności psa na wyspie, Ross Courtenay, Steve Fisher i Steve Burke spotkali się w biurze straży w Mackay i dyskutowali, jak postąpić z czworonogiem, którego zobaczył najpierw Brian na Keswick, a później Peter na St Bees. – Zastanawialiśmy się, co mamy zrobić z tym psem? – wspomina Steve Fisher.

W swojej pracy mieli do czynienia z chorymi lub dzikimi zwierzętami i od wielu lat prowadzili odstrzał kóz. Byli profesjonalistami i wiedzieli, że usunięcie przedstawicieli nierodzimych gatunków dla ocalenia naturalnej flory i fauny wysp było ich obowiązkiem. Jednak ten przypadek był inny. Nie chodziło o dziką kozę, tylko o psa, a żadnemu z nich nie podobał się pomysł zabicia go. Problem polegał na tym, że nikt nie widział, od jak dawna pies przebywał na wyspach i jak bardzo zdziczał. Gdyby okazał się dziki i niebezpieczny, uśmiercenie go mogło być jedynym możliwym rozwiązaniem.

– Dużo rozmawialiśmy o tym, co począć w tej sytuacji, co będzie najlepsze. Zastanawialiśmy się, czy nie pozwolić psu umrzeć z głodu? Ale nie, nie mogliśmy tego zrobić. To byłoby nieludzkie, nie mogliśmy go głodzić. Mielibyśmy go zastrzelić? Jeśli to był dziki pies, dopuszczaliśmy taką możliwość. Zdecydowanie jednak odstrzał był ostatecznością – relacjonuje Fisher.

– Byłem za tym, aby spróbować złapać psa. Logicznym wyjaśnieniem wydawało się, że to czyjeś zwierzę domowe – mówi Burke. – Tylko tak dało się wyjaśnić, skąd się tam wzięło. A to oznaczało, że mogło jeszcze całkiem nie zdziczeć i powinniśmy spróbować sprowadzić je do Mackay.

– Ani razu nie wpadliśmy na to, że mógł wpaść za burtę łodzi i dopłynąć do wyspy, ani że ktoś może go jeszcze szukać – mówi Fisher. – Coś takiego po prostu nigdy nie przyszło nam do głowy jako możliwe wyjaśnienie. Myśleliśmy, że ktoś postąpił bardzo okrutnie i porzucił psa. – Strażnicy skonsultowali się z przedstawicielami wydziału rady miejskiej Mackay, którzy nieustannie mają do czynienia z zagubionymi lub porzuconymi zwierzętami domowymi. Rozmawiali o możliwości schwytania psa, gdyż mieli nadzieję, że będzie zachowywał się w miarę przyjaźnie i uda się go przetransportować na ląd. Było to jednak mało prawdopodobne, gdyż jak dotąd pies nie dał się zwabić Peterowi Berckowi. Mimo to zastawienie pułapki dawało mu największe szanse na przeżycie.

Rada miejska Mackay zgodziła się wypożyczyć strażnikom z parku morskiego dużą, metalową pułapkę, którą Burke miał zabrać przy okazji następnej wyprawy na St Bees. On i jego koledzy mieli zająć się lantaną i opuncją, chwastami, które rozprzestrzeniały się na wyspie. Przed pojawieniem się psa rośliny te i kozy były tam największymi szkodnikami. Strażnicy mieli zostać na wyspie tylko cztery dni, a Burke zdawał sobie sprawę, że złapanie psiska może być trudne w tak krótkim czasie.

Strażnicy rozmawiali między sobą o tym, co zrobią, jeśli uda im się schwytać czworonoga, a on okaże się w jakimś stopniu udomowiony lub oswojony.

– Prawdę mówiąc, uznaliśmy to za mało prawdopodobne, że pies, zwłaszcza przebywający przez jakiś czas na wolności, wejdzie do pułapki – przyznaje Ross Courtenay. – Ale musieliśmy spróbować. A gdyby okazało się, że nie był wściekły, planowaliśmy zabrać go do

Mackay. Zapewne zamieścilibyśmy ogłoszenie w gazecie. Cały czas byliśmy przekonani, że to musi być czyjś zwierzak domowy.





Gdyby nikt się nie zgłosił, oddaliby go do schroniska w celu zbadania i, miejmy nadzieję, do adopcji. – Znaleźlibyśmy mu dom – mówi Ross. – W ostateczności jeden z nas by go zatrzymał!

Rankiem w piątek 27 marca Steve Burke, Ludi Daucik i kilku strażników dopłynęli wraz z Billem Ellisem do południowego końca cieśniny Egremont i zakotwiczyli łódź, Tomoyę, na skraju zatoki Homestead. Sophie była wtedy w zatoce Honeymoon. Już od trzech miesięcy przebywała na St Bees, a od pięciu żyła na wyspach.

Steve Burke zobaczył ją po raz pierwszy przez lornetkę. Stał na dziobie Tomoyi, lustrując wyspę: wypatrywał kóz, interesującej aktywności dzikich zwierząt lub oznak rozwoju flory. Obejrzał północną część aż do Shark Point, zarośla i skały sięgające wzgórz, robił zbliżenia na linię drzew, namierzając tam kuliki i ogon warana kolorowego. Gdy przenosił wzrok na wschód – na zatokę Homestead, a później na południe wyspy, błysnęło mu coś białego między drzewami, dokładnie na linii plaży zatoki Honeymoon. Zrobił zbliżenie, ale wciąż nie miał pewności. Wyglądało to na szkielet, ale było bulwiaste. Przypominało skorupę żółwia, co jest rzadkim widokiem na St Bees, ponieważ zwierzęta te trudno wytropić. Burke przesunął lornetkę i popatrzył na plażę, gdzie zauważył ruch szaroniebieskiej masy. To była Sophie tarzająca się po plaży z rozłożonymi łapami. Przewracała się, szorowała grzbietem i brzuchem po piasku.

– Był to czas jej odpoczynku – wspomina Burke. Wyglądała tak, jakby przed chwilą pływała. Każdy obserwator mógł dojść do wniosku, że chciała tam być. Burke był podekscytowany tym, że zobaczył wreszcie to nieuchwytnie stworzenie.

Wczesnym przedpołudniem strażnicy podpłynęli pontonem motorowym do brzegu, aby wysadzić Billa, który mieszkał w południowym domu i miał spotkanie z ochotnikami, ale miał też wstąpić do domu Petera i przywitać się z nim. Peter niedawno wrócił z leczenia w Brisbane. Strażnicy zadzwonili wcześniej, aby go uprzedzić, że w ten weekend zamierzają zastawić pułapkę na psa. Peter nie wyjawiał im tego, ale niepokoił się o zwierzaka. Gdy strażnicy powiedzieli mu, że mają nadzieję, iż da się go uratować, Peter zrozumiał, że jakkolwiek przejaw wrogości ze strony psa będzie oznaczał dla niego śmierć. A ponieważ jemu nie udało się go zwabić, był nastawiony sceptycznie. Nie zamierzał jednak wchodzić w drogę strażnikom i utrudniać im wykonania zadania.

Steve Burke powiedział Peterowi, że wypatrył już psisko przez lornetkę, gdy tarzало się na plaży w zatoce Honeymoon. – To ma sens – przyznał Peter, który domyślał się, że pies sypiał właśnie tam albo przy którejś plaży nad zatoką Stockyard. – Teraz podchodzi już bliżej domu – powiedział Steve’owi. – Mógł poczuć zapach psiej karmy, którą wystawiam. Nadal jednak nie chce podejść zbyt blisko. Po prostu nie chce się pokazać.

Omawiali, gdzie zastawić pułapkę. Rozważali zatokę Honeymoon, ale postanowili zaczekać z tym i sprawdzić, czy pies nie pokaże się gdzieś jeszcze.

Pojawił się dwie noce później. Biegł truchtem przez równinę zalewową zatoki Homestead. Słońce właśnie zaczęło zachodzić, a Bill wraz z Alistairem, Stevern i Ludim patrzyli na morze. Był niedzielny wieczór.

– Tam jest – powiedział Burke do Billa.

– Samotny pies w dziczy – odpowiedział Bill.

Nadeszła pora, by zastawić pułapkę.

Gdy Bill i Alistair podziwiali zachód słońca, a Steve i Ludi zastawiali pułapkę na psa, na przedmieściu Mackay, w Eimeo, David Berek i jego żona, Carolyn, zaczęli myśleć o kolacji. David otworzył lodówkę i stwierdził, że mają dużo jedzenia na grilla. – Dlaczegożby nie zaprosić Jodi i Raya na kolację? – powiedział do żony. Zrobił to pod wpływem chwili, ale właśnie w ten sposób toczyły się sprawy w Eimeo.

Jodi Manning i Ray Cook od lat byli ich sąsiadami. Spędzili razem wiele weekendów na St Bees i wiele niedzielnych wieczorów na podwórku Bercków w Eimeo, zjadając steki z ziemniakami i sałatką. Jodi i Ray przyszli natychmiast. Carolyn otworzyła butelkę sauvignon blanc, a David, jowialny, przysadzisty facet uwielbiający przyjmować gości, zajął się grillowaniem. Rozmawiali o tym, jak im minął tydzień, a dzieci Bercków, Hayley i Tyler, bawiły się z dwoma psami Jodi, Rani i Jack.

David miał historyjkę do opowiedzenia. – Na wyspie jest dziki pies – zaczął, odwracając w tym czasie stek.

Rozmowa ucichła.

– Co masz na myśli? – zapytała Jodi.

– Bezpański pies, który chyba zabija kozy. Jest tam od miesiąca, musieliśmy powiadomić władze.

– Jakiej rasy? Skąd pochodzi? – pytała Jodi, miłośniczka psów. Przez całe życie przygarniała psy, w tym Rani, stworzenie o dziwacznym wyglądzie i nie dla bojaźliwych osób: niezwykle krótkowłosą, gładką mieszańkę sharpeia i pitbulla.

Carolyn i David wyjaśnili, że przez kilka miesięcy Peter widywał niebieskiego psa pasterskiego. Wspólnie doszli do wniosku, że musieli go zostawić jacyś żeglarze, którzy przyплыли na piknik lub kemping. I ten pies pasterski o niebieskim umaszczeniu wystraszył ich przyjaciela Franka, warcząc i prychając na niego w szopie na generator. Teraz martwili się, że zdziczał i stał się niebezpieczny. W ten weekend strażnicy z parku morskiego zawieźli tam pułapkę i mają nadzieję złapać go i zrobić z nim porządek.

Informacja o czworonogu porzuconym na wyspie zbulwersowała Jodi. – Jak ktoś mógł zostawić swojego psa? – oburzyła się.

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Jodi nie skojarzyła tego, co usłyszała z historią Sophie, gdyż suka nie została porzucona i jej państwo wciąż bardzo za nią tęsknili. Nie powstało też w jej głowie przypuszczenie, że mogła przeżyć mimo tylu przeciwności losu, bo wydawało się to nieprawdopodobne. Jednak szczęśliwym trafem małomówny partner Jodi, Ray, coś sobie przypomniał.

– Czy przyjaciółka twojej matki nie straciła psa kilka miesięcy temu? – zapytał Ray.

Wszyscy odwrócili się do niego: Co?

Jodi zastanowiła się nad tym. – Tak, ale to było całe wieki temu.

Ray wzruszył ramionami. – Tak tylko sobie pomyślałem. Jakiej rasy był ten pies?

Jodi nie wiedziała. Ona i Ray poznali tę historię kilka tygodni wcześniej, gdy odwiedzili matkę Jodi, Heather. Heather była starą przyjaciółką Jan i uczestniczką damskich obiadów, tą, do której Jan zadzwoniła zaraz po zniknięciu suczki, aby jej wszystko opowiedzieć. Jodi wysnuła przypuszczenie, że zaginiony pies był pudlem lub podobnej rasy – małym, potulnym

pieskiem w sam raz na rejsy, takim jak należąca do Heather Carly. Na pewno nie psem pasterskim.

– Wiem tylko, że są starszym małżeństwem i że zwykle zabierali psa ze sobą na łódź – powiedziała. – Byli zrozpaczeni, gdy go stracili.

Ray zasiał ziarno i w miarę jak niedzielny wieczór się rozwijał, a kieliszki napełniały, coraz bardziej intrygował ich tajemniczy pies, który przeżył gdzieś tam na St Bees. Nagle wydało im się możliwe, że mógłby należeć do bliższego czy dalszego przyjaciela rodziny. Zaczęli wymyślać szczegóły historii, śmiejąc się i wnosząc okrzyki, wyobrażali sobie jak dawno zaginiony zwierzak zostaje uratowany i wraca do rodziny. Fantazjowali, jaki pies mógłby go zagrać w filmie oraz kto zagrałby Davida i Franka, który wziął psa za wilka. Z tego powodu Ray miał przebłysk intuicji.

– Nie wiedziałam nawet, jakiej rasy psa straciła Jan, ale Ray powiedział: „Dajmy mu szansę. Nigdy nie wiadomo” – wspomina Jodi. – Chyba wszyscy byliśmy tym podekscytowani.

Gdy Jodi i Ray wrócili do domu około dziewiątej wieczorem, Ray wciąż myślał o możliwości bajkowego zakończenia tej historii.

– Dlaczego po prostu nie zadzwonisz do matki, żeby się dowiedzieć?

– zasugerował.

Jodi, wciąż jeszcze pod wpływem atmosfery wieczoru, pomyślała: „Dlaczego nie?”

Półtorej godziny później zadzwonił telefon u Griffithów i przestraszył Dave’a, który oglądał telewizję. Jan położyła się już spać, zmęczona po aktywnym weekendzie. Para spokojnie spędziła wieczór i Dave miał właśnie dołączyć do żony, gdy odezwał się telefon. Zamruczał sam do siebie: – Która to godzina? – ale przypuszczał, że to dzwoni jedno z dzieci. Był w nastroju, aby trochę z nimi pogawędzić. Okazało się, że to Heather, przyjaciółka Jan.

– Witaj, Heather – powiedział zdumiony Dave. Pomyślał, że jak na Heather to dziwna pora na telefon. – Jan już położyła się spać.

– Wiem, że już późno – odpowiedziała Heather – ale musiałam do was zadzwonić. Posłuchaj, zajmę ci tylko chwilę, Dave. Chcę cię o coś zapytać. Sophie była psem pasterskim, prawda?

Pytanie zaszokowało Dave’a. Był niedzielny wieczór, szykował się do spania, a tu stara przyjaciółka Jan dzwoni i pyta go o Sophie. Ostatnio Dave nie słyszał zbyt często, by ktoś wypowiadał głośno jej imię.

– Tak, była psem pasterskim – odpowiedział. – Niebieskim, miała niebieską sierść. O co chodzi?

– Wiedziałam! – ucieszyła się Heather. – Posłuchaj, pewnie zabrzmiało to nieprawdopodobnie, ale chyba mam nowinę.

Gdy Heather mówiła, serce Dave’a zaczęło bić szybciej. Było to nieco naciągane, ale kto wie?

Heather powtórzyła, że jeśli są jakiegokolwiek szanse, że to Sophie, powinni wykonać kilka telefonów z samego rana. Lada dzień pies miał zostać schwytany w pułapkę – wszystko zostało już przygotowane.

Dave miał przecucie. Pozytywne przecucie przemieszane ze strachem. Podziękował Heather nieco oszołomiony, rozłączył się, usiadł i zaczął się zastanawiać: „Co mam dalej robić?” Rwał się, by obudzić Jan, ale jaskrawy kontrast między potencjalnym cudem a dalszym cierpieniem sprawił, że jemu kręciło się w głowie, więc Jan nie zmrużyłaby oka, gdyby ją teraz obudził.

Dom nagle stał się denerwująco cichy. „To cholernie mało prawdopodobne”, pomyślał. „Jakie są szanse?” Lecz pozytywne przecucie było tak silne, że musiał komuś o tym powiedzieć. Zadzwonił więc do Bridget.

– Na St Bees jest pies – zakomunikował jej Dave, gdy tylko odebrała.

– O czym mówisz? – zapytała Bridget. Siedziała w swoim mieszkaniu w Brisbane i gawędziła ze współlokatorką, Sammy. Słyszała pełne nadziei podekscytowanie w zwykłe stoicko spokojnym głosie taty. – Przed chwilą dzwoniła przyjaciółka mamy, Heather. Jej córka Jodi zna właściciela wyspy, na której jest dziki pies. Myślimy, że to może być Sophie.

Bridget aż wstała. – Tato, nie mówisz chyba poważnie?

Ojciec i córka czuli się nieco oszołomieni: „Po tylu miesiącach taka nowina?”.

– Posłuchaj, nie porzucaj nadziei – przestrzegł ją Dave. – Jutro zadzwonimy do strażników z parku morskiego. Na razie nie mów nikomu z rodzeństwa. Po prostu poczekajmy i zobaczymy.

Dave rozłączył się, zostawiając Bridget oniemiałą z wrażenia i roztrzęsioną. Jak miałyby teraz iść spać, nie zadzwoniwszy wcześniej do kogoś z rodzeństwa? Ellen, która mieszkała zaledwie kilka przecznic dalej, była w ciąży, zmęczona i zapracowana. Nie należało jej niepokoić.

Ale Bridget nie mogła wytrzymać. Wybrała numer siostry. – Na St Bees jest pies i to może być Sophie!

Ellen zdrzemnęła się przed telewizorem u boku Bena. Gdy zobaczyła, że dzwoni Bridget, zastanowiło ją, czego jej młodsza siostra może chcieć w późny niedzielny wieczór. To była ostatnia rzecz, jakiej się spodziewała. Nie rozmawiały o Sophie od miesiący.

– Co? Czy to w ogóle możliwe? – powiedziała do Bridget.

Obie siostry były podekscytowane i przejęte grozą: „A co, jeśli to nie ona? A jeżeli to ona? Czy rzeczywiście mogła tam dopłynąć? A jeśli to jednak była ona, ale zdziczała i trzeba będzie ją uśpić? Jak znieśliby to rodzice? Jak poradzi sobie z tym Bridget?”.

Ellen i Bridget uzgodniły, że będą dzwonić do siebie natychmiast, gdy tylko dowiedzą się czegoś więcej.

Rozdział 15

To może być wasz pies

Następnego ranka, w poniedziałek 30 marca, Jan obudziła się o wpół do siódmej i na kuchennym stole znalazła kartkę od Dave'a:

„Zadzwoń do Heather. Chodzi o Sophie”.

Jej pierwszą myślą było: „O, mój Boże! Co znowu?”. Potem poczuła okropny ból i położyła rękę na sercu, tak jak na plaży na St Bees parę miesięcy temu. Widok napisanego na kartce imienia suczki wstrząsnął nią. Zmarszczyła brwi. Jej dzień nabrał surrealistycznego odcienia.

Wyjrzała na dwór. Była tam Ruby, wściekle merdająca ogonem przy siatkowych drzwiach w nadziei, że wreszcie nadszedł ten ranek, w który Jan zaprosi ją do środka.

Jan natychmiast zatelefonowała do Heather. Nie owijała w bawełnę. – Co się dzieje? – zapytała przyjaciółkę. Jedną dłoń przyłożyła do czoła – zaczynała się nieco pocić. Co tu się dzieje?

Heather opowiedziała jej, że poprzedniego wieczora Jodi była u sąsiadów i po powrocie od nich zadzwoniła pełna wątpliwości. Sąsiad Jodi, David Berek, powiedział jej, że na St Bees jest pies pasterski. Wszystko to wyglądało na dość dziwny zbieg okoliczności, ale Ray, a wiadomo, jaki on jest spokojny, miał przecucie. A teraz ma je także Heather. Gdy Jodi powiedziała, że pies został omyłkowo wzięty za wilka, Heather uświadomiła sobie, że to może być Sophie.

Jan nie mogła uwierzyć w ani jedno słowo, które usłyszała: „Jak to możliwe? Czy ona śniła? Sophie? Wciąż żyje?”.

Gdy Heather poinformowała ją, że obecnie na wyspie są strażnicy i będą próbowali schwytać psa, Jan wkroczyła do akcji. Kobiety rozłączyły się i Jan natychmiast wybrała numer Davida Bercka, który podyktowała jej przyjaciółka. Lekko drżała jej przy tym ręka. Liczyła dzwonki, modląc się w duchu, by ktoś odebrał telefon. Było ich kilka, potem usłyszała kliknięcie. Wzięła oddech, aby przygotować się do mówienia, ale włączyła się tylko automatyczna sekretarka. – Halo? Tu Jan Griffith – powiedziała. – Sądzymy, że pies na St Bees może być nasz. – Nie bawiła się w uprzejmości. Była w szoku.

Jan odłożyła słuchawkę i błędnym wzrokiem omiotła salon. Popatrzyła na Ruby, wciąż czekającą, aż ktoś poświęci jej trochę uwagi, oparła ręce na biodrach i myślała: „Co powinnam teraz zrobić?”. Jeśli, tak jak powiedziała Heather, pies zostanie złapany i okaże się, że to Sophie, to będą musieli tam pojechać. „Ale gdzie? Do kogo powinni zadzwonić? I... co? Sophie? Na St Bees?”

Jan nie dowierzała, ale potem wróciła myślami do tamtego dnia na plaży. Do sylwestra. Do legowiska ze szkieletem, które znalazła. Do przecucia, które wtedy miała: „Czy Sophie naprawdę mogła tam być? Jaka to odległość od miejsca, gdzie wypadła za burtę? Na pewno nie”.

Zadzwoniła na komórkę Dave'a.

– Czy ktoś nas nabiera, Jan? – zapytał Dave, wcale nie żartując.

– Było już późno, kiedy Heather zadzwoniła wczoraj wieczorem. Pomyślałem, że oszalała.

- Nie mogłam uwierzyć w to, co dziś rano napisałeś mi na kartce – przyznała Jan.
- Zobaczymy, co powie David Berek, hmm?

Dave nie potrafił od razu uwierzyć w możliwość, że tym psem jest Sophie, skoro nie mieli zbyt wielu informacji, na których mogliby się oprzeć. Z pewnością działo się coś surrealistycznego. – Co prawda, była dobrą pływaczką, ale... – zamilkł.

Uzgodnili plan działania. Dave miał jeszcze raz zadzwonić do Davida Bercka, a gdyby nie udało się z nim skontaktować, mieli zatelefonować do strażników parkowych. Był jeszcze wczesny ranek, ale jeśli w opowieści Heather i Jodi było jakieś ziarno prawdy, musieli zrobić wszystko, co tylko mogli.

Gdy przy kuchennym stole Jan sączyła tak bardzo jej teraz potrzebny kubek herbaty i przeszukiwała książkę telefoniczną, aby znaleźć numer biura QPWS w Mackay, Dave usiłował się dodzwonić do Bercków. Próbował kilka razy. Berckowie, ogarnięci gorączką porannego; chaosu, nie spodziewali się żadnego telefonu.

W końcu David Berek odebrał telefon i powiedział Dave'owi, że powinien się skontaktować z Rossem Courtenayem. Uprzedził także Dave'a, by nie spodziewał się cudów. – Nie macie zbyt wielu szans. O ile mi wiadomo, zabijała kozy i zasmakowała we krwi. Decyzja w tej sprawie będzie należeć do władz.

Dave zrozumiał – decyzja, czy trzeba psa zabić, czy nie.

Rozłączył się i zadzwonił do żony. Podał jej numer Rossa Courtenaya. Powtórzył jej też słowa Davida Bercka. – Kto wie, kochanie. To może być ona. Ciężko w to uwierzyć, ale to możliwe. Problem w tym, że mogła zdziczeć. Pies na wyspie zabijał kozy.

Po drugiej stronie linii telefonicznej Jan kiwała głową. – Nie wiem, czy dam radę to znieść – powiedziała wprost.

Dave nic nie odpowiedział.

Oboje zastanawiali się, czy dadzą radę przez to przejść. Dopiero niedawno ułożyli sobie stosunki z Ruby, która w ostatnich tygodniach odrobinę złagodniała. Uzgodnili, że razem będą ją zabierać na lekcje tresury młodych psów i teraz, po trzeciej lekcji, było widać, że choć wciąż jest małą dzikuską, to szybko się uczy. Poczuli, że znowu mogliby być dumnymi właścicielami psa pasterskiego. Teraz rosły ich nadzieje, że mimo udręk, które przeżyli przez ostatnich pięć miesięcy, ta historia mogła się szczęśliwie zakończyć.

Griffithowie wzięli się do działania. Rozmowa o negatywnych aspektach obecnej sytuacji nie miała sensu. Ani o pozytywnych. Oboje tak to czuli. Mieli nadzieję. To naprawdę mogła być ona. Wszystko wydawało się pasować. A czas płynął i szkoda było tracić go na rozważania. Według Davida Bercka strażnicy mieli nadzieję schwytać psa dzisiejszego ranka.

– Zadzwoń do tego Rossa Courtenaya – poprosił Dave. – Oddzwoń później do mnie i daj mi znać, co powiedział.

Ross Courtenay odebrał telefon w biurze QPWS w Mackay. Kobieta po drugiej stronie powiedziała mu, że dowiedziała się o tym, iż ktoś zawiadomił o psie przebywającym na St Bees. Sądziła, że to mógłby być jej pies.

W pierwszej chwili Ross odniósł się do tego sceptycznie – ten pies był na wyspach od kilku miesięcy i akurat dzisiaj, w dniu, w którym strażnicy mieli zastawić na nie pułapkę, ta kobieta, Jan Griffith z Mackay, dzwoni i zastanawia się, czy to przypadkiem nie jest jej pies.

W poniedziałki rano o tej porze zwykle nawet nie siedział w biurze. – Jan miała szczęście, że mnie zastała – stwierdza Ross. – To zupełny przypadek, że tamtego ranka byłem w biurze. A gdyby mnie tam nie było, nikt inny w biurze nie wiedział niczego o tajemniczym psie.

Ross, który sam miał w domu uratowanego kundla, słyszał desperację w głosie Jan.

– Wiem, że to brzmi śmiesznie – powiedziała, a jej słowa padały pośpiesznie – ale suczka, którą tak głupio straciliśmy, to nasze ukochane zwierzę. Rozpaczyliśmy po niej i czuliśmy się potwornie winni. Dla niej musimy wykorzystać wszelkie szanse.

Gdy Jan powiedziała Rossowi, że psica miała na imię Sophie – Sophie Tucker – i była psem pasterskim, obudził się w nim taki sam optymizm, jak u Davida poprzedniej nocy: to była Sophie. Czuł to.

– Zabrzmi to nieco dziwnie, ale, cóż, wydaje się, że to może być wasz pies – powiedział Ross.

Na Tomoyi, na której nocowali strażnicy, Steve Burke pił poranną kawę, gdy zadzwonił telefon.

– Ross powiedział mi, że ktoś stracił sukę w pobliżu Heskett Rock jeszcze w październiku i że ma na imię Sophie albo Sophie Tucker – wspomina Steve. – To było nieco surrealistyczne, taki telefon akurat dzisiaj, po tych wszystkich miesiącach, podczas których nadstawialiśmy ucha na wieści o psie i zastanawialiśmy się, dlaczego nikt nie zgłosił jego zaginięcia.

– To nieprawdopodobne, wiem – powiedział Ross do Steve’a.

– A jednak to chyba jej pies. Dobrze pływał. – Ten zbieg okoliczności był niewiarygodny, ale i tak dał Steve’owi nadzieję, że w końcu może uda im się schwytać tego psa. Konsternację strażników nadal budził fakt, dlaczego, jeśli ktoś zgubił psa na wyspie, nie skontaktował się z nimi?

– Najpierw pomyślałem, że to dość dziwne. Gdyby mój pies wypadł za burzę, pierwsze, co bym zrobił, to skontaktował się ze strażnikami parkowymi na wypadek, gdyby go zobaczyli – przyznaje Steve. – Ale gdy poznaliśmy wszystkie okoliczności, że stracili psa pięć mil morskich od brzegu, zrozumieliśmy, dlaczego nas nie zawiadomili.

Steve wszedł do pontonu i pomknął nim do zatoki Stockyard. Wsiadł na brzeg i poszedł w zarośla, a jego buty chrzęściły na kawałkach gałązek i muszli. Za plecami miał odpływ. Nie pracował, więc mógłby popływać. Czysta woda wyglądała zachęcająco, mimo że pogoda była daleka od idealnej.

Strażnik kucnął. Rozłożyste, zielone liście drzew w zaroślach przy plaży otarły się o jego czoło, gdy zaglądał do pułapki. Pies był tu wcześniej, dookoła dostrzegł ślady łap. Ale nigdzie nie było go widać. Steve popatrzył na brzeg, aż na wrak w zatoce Stockyard, aby sprawdzić, czy zwierzę nie odeszło przed chwilą. Miał nadzieję, że wypatrzy ogon lub tylne łapy znikające za skałkami w zaroślach. Niczego nie dostrzegł.

Pocieszył go jednak fakt, że czworonóg zainteresował się pułapką. Podeszedł na tyle blisko, że mógł dotknąć pułapki nosem. Zajrzał głębiej między pręty klatki. Nie ruszył natomiast jutowego worka, który teraz był całkowicie przesiąknięty sosem, przez co przyciągał mrówki i muchy. Zdziwiła go ostrożność psa, przecież musiał być głodny. Z pewnością na St Bees było jedzenie i picie, ale od trzech miesięcy nie trafili na ślady rzezi kóz, której sprawcą mógł być pies. Nie było też dowodów, by upolował jakąkolwiek walabię lub koalę. „Nie był głodny? Czyżby tak zdziczał, że już nie chciał karmy ze sklepu? A może był na tyle sprytny, że wiedział, iż pułapka oznacza niebezpieczeństwo?”

Steve upewnił się, że ilość wołowiny w pułapce nadal jest w stanie zwabić psa. Wołowina nie zepsuła się, ale gdy sos wyciekał, jej zapach stawał się coraz ostrzejszy. Jeśli pies już był nią tak zainteresowany, że węszył wokół pułapki, ile jeszcze wytrzyma, zanim się skusi i uszczknie kawałek?

Strażnik przeszedł się plażą wzdłuż zatoki Honeymoon, ponieważ przypomniał sobie, że widział pancierz białego żółwia zaklinowany między pniami kazuarzyn, gdy kilka dni wcześniej o poranku przeczesywał wzrokiem ten obszar z pokładu Tomoyi. Zaciekawilo go to. Żółwie przyplływają na St Bees, aby składać jaja wiosną i latem, czyli w okresie, kiedy przebywała tam Sophie. Ten był wielki, musiał ważyć ze sto kilogramów, ale pozostał z niego tylko pancierz, prawie nieuszkodzony, jeśli nie liczyć kilku wyszczerbień wokół krawędzi, wygryzionych zębami. Steve przykucnął, aby lepiej się przyjrzeć. Skorupa się przecież nie poruszy. Wzdrygnął się. Widok był smutny. Żółw musiał tu utknąć w drodze powrotnej do morza. Zastanawiał się, czy pies to odkrył – solidnie by się najadł. Nie dostrzegł śladów łap w

poblizu, ale było widać, że jakieś zwierzę usiłowało się dostać do tego zółwia. Obejrzał uważnie plażę – utworzone przez wiatr zmarszczki na piasku, resztki skorup krabów i plażowe zarośla.

Wciąż nie było żadnych śladów psa.

Tego dnia Steve Burke, Ludi i Bill wędrowali po wzgórzach St Bees. Kilku strażników opryskiwało lantany i opuncje nad zatoką Turtle, po wschodniej stronie wyspy wychodzącej na Aspatrię. Inni pomagali Billowi i jego ochotnikom w wypełnieniu zadania, które polegało na złapaniu piętnastu koali w cztery dni i pobraniu od nich próbek. Przez cały czas mężczyźni zachowywali czujność i rozglądali się za psem.

We wtorek rano, 31 marca, Steve obudził się tuż po wschodzie słońca, przygotował sobie kubek kawy i kręcił się po pokładzie Tomoyi, spoglądając przez lornetkę i podziwiając krajobraz. Popatrzył w kierunku wyspy, ale nie mógł stąd zobaczyć pułapki. Dzień wcześniej, wkrótce po tym, jak sprawdził pułapkę i znalazł wokół niej ślady łap, zerwał się porywisty wiatr, a woda w zatoce Homestead wzburzyła się. Strażnicy postanowili odpłynąć Tomoyą nieco dalej, bliżej Keswick, aby nie narażać się na ryzyko uderzenia dnem łodzi o podłoże w zatoce Homestead.

Poprzedniego dnia nie widzieli psa i Peter, który obiecał obserwować pułapkę ze swojego domu, nie zadzwonił z żadnymi informacjami. Steve zastanawiał się, czy misja skończy się niepowodzeniem – tego dnia strażnicy mieli już wracać do Mackay. Gdyby nie schwytali psa tym razem, musieliby rozważyć podjęcie innych środków. Nikt tego nie chciał.

Okolo siódmej rano Steve odebrał telefon. Na jego komórkę zadzwonił Peter. – Macie go – powiedział. – Widzę psa. Kręci się, chyba niezbyt zadowolony, ale macie go. Musi być wygłodzony.

– Jesteś pewien? – zapytał Steve. Czuł podniecenie, ale był realistą.

– Wciąż byłem sceptyczny. Czy to mogło być aż tak proste? – wyznaje teraz Steve. – Może Peter zobaczył tylko cień?

Steve i Ludi wsiedli w ponton motorowy i ruszyli do zatoki Stockyard. Im bliżej podpływali, tym bardziej nabierali pewności, że metalowa klatka nie jest już pusta. Gdy dotarli blisko, usłyszeli szczekanie psa i widzieli, jak chodzi po klatce, wystawia nos przez pręty i próbuje się przez nie przecisnąć.

Ponton wylądował na brzegu i wyskoczyli z niego, a Steve zaczął się szykować do zmagania z psem. Pamiętał jednak, że zwierzak miał być łagodniejszy, niż wcześniej przypuszczał.

Sophie skomlała i wciskała nos między pręty klatki. Niespokojnie węszyła, oddychała głośno i szybko oraz patrzyła prosto na strażników, którzy się do niej zbliżali. Sierść na grzbiecie miała zjeżoną, ale wyraz oczu przyjazny.

Steve założył, że jest to Sophie Tucker, że to w jej sprawie dzwoniła kobieta z Mackay do Rossa dzień wcześniej. Toteż on i Ludi podchodząc, zaczęli wołać ją po imieniu. – Mówiłem: Jak się masz, Sophie?”

Sophie zaszczekała. Była czujna i w pogotowiu, ale w tonie jej głosu nie było słychać wściekłości. A gdy usłyszała swoje imię, przekrzywiła łeb.

– Chyba spodziewałem się prychającego na mnie dzikiego psa, ponieważ była tam sama od trzech miesięcy – mówi Steve. – Ale wcale tak się nie zachowywała.

Sophie szczekała i kręciła się po klatce, próbując wystawić łapy poza nią. Skłaniała łeb i za każdym razem, gdy się zatrzymywała, patrzyła Steve’owi prosto w oczy. Potem znów zaszczekała, jakby chciała powiedzieć: „Jestem psem i jestem groźniejsza, niż wyglądam”.

Steve tego nie kupił. – To było całkiem fajne – mówi. – Poszczekiwała, ale nie była agresywna. To było raczej coś w rodzaju: „Kim jesteś i czego chcesz?”.

Patrzyła na niego, jakby chciała powiedzieć: „Skąd znasz moje imię?”

– W zasadzie już wiedziałem, że to ona, że to była ich suka.

Burke i Ludi popatrzyli na siebie z niedowierzaniem – wiedzieli, że muszą się pospieszyć. Zrzucili ręcznik na klatkę i przenieśli ją do pontonu. Gdy ponton pruł wodę, Sophie robiła się coraz bardziej niespokojna. Szczekała i kręciła się od jednego końca klatki do drugiego. Po takim czasie spędzonym w samotności i stawieniu czoła żywiołom, tłukła się po klatce i nie mogła zobaczyć, dokąd ją zabierają. Strażnicy transportowali ją na Tomoyę zakotwiczoną kilkaset metrów od pasa lotniskowego, gdzie najprawdopodobniej trzy miesiące wcześniej Sophie weszła na szlak pachnący ocaleniem.

Po dotarciu na łódź Steve zadzwonił do Rossa, który mógł w tle usłyszeć szczekanie psa. – Złapaliśmy go! Wracamy teraz do Mackay.

– Żartujecie! – powiedział Ross. Nie minęła jeszcze nawet dziewiąta rano, a oni już schwytali tajemniczego psa i znaleźli jego właścicieli. On i jego koledzy jakimś cudem zaplątali się w historię rodem z Hollywood.

– Była w środku dziś rano. Pete zadzwonił, żeby mnie zawiadomić. Sam nie mogłem w to uwierzyć, ale ją mamy i wydaje się, że wszystko z nią w porządku. Jest trochę wychudzona, ale nie groziła mi – zrelacjonował Steve.

Sophie rzucała się w klatkę, chcąc się z niej wydostać, ale gdy strażnicy wnieśli ją na pokład Tomoyi i przemawiali do niej: – Dobra Sophie – zaczęła się uspokajać. Nawet usiadła, choć uszy miała wciąż postawione, a sierść zjeżoną. Nie merdała ogonem.

Tymczasem Bill Ellis, który czekał na Tomoyi na powrót do Mackay, nie podzielał aż takiego optymizmu. Jego wspomnienia na temat przejawów temperamentu Sophie w drodze powrotnej do Mackay są odmienne. Denerwował się, płynąc łodzią z tym dzikim zwierzęciem, które zaledwie kilka dni wcześniej wyglądało na tak niezależne, gdy biegło wzdłuż wybrzeża o zachodzie słońca.

– Suka była dość zdenerwowana całą akcją – wspomina Bill. – Warczała. – Bill sądził, że dobrze byłoby spróbować ją uspokoić na tyle, na ile się da. Przekreślił butelkę wody do góry dnem, aby woda kapiała jej prosto do pyska. Oblizwała się kilka razy, ale nie zajęła się piciem. Albo nie była spragniona, albo zbyt podejrzliwa (albo rozłoszczona).

– Uspokoiła się, gdy zbliżyliśmy się do przystani – opowiada Bill. – Myślę, że wiedziała, gdzie jest. Mimo to powtarzałem sobie w myślach: „Uważaj, gdzie pchasz palce albo stracisz któryś”.

Bill zszedł z łodzi i stanął na pomoście przystani, skąd mógł obserwować całą akcję, a w razie potrzeby z łatwością uskoczyć. Steve i Ludi ustawili się obok klatki. Steve wziął swoją kamerę. Zapewne do tej pory Ross już wezwał przypuszczalnych właścicieli. Powinni wkrótce się tu zjawić, a on chciał uchwycić ten moment. W tym czasie wszyscy czuli już to samo – chcieli być świadkami cudownego spotkania. Zwierzę nie było agresywne wobec ludzi. Ale nie zamierzali go głaskać, bo będąc wystraszone, mogło zachowywać się nieracjonalnie. Ten pies był czymś zwierzęciem domowym i znali jego imię – Sophie.

Rozdział 16

Tuck, gdzie się podziewałaś?

Był wtorkowy ranek 31 marca. Poniedziałek minął w lekkim oszołomieniu. Po porannych telefonach Jan i Dave zajęli się swoimi codziennymi sprawami, ale nie mogli się skoncentrować. Poszli do kawiarni Oscar's, a potem do biura. Jan, po drodze do domu, wstąpiła do rzeźnika i zabrała Ruby na spacer. Wieczorem gawędzili przy kolacji, ale ich uwagę rozpraszała Ruby, która pochrząkiwała i przyglądała im się przez siatkowe drzwi, merdając ogonem przy każdym gościu mogącym oznaczać, że rzuca jej jakieś resztki ze stołu. Żadne z nich nie chciało mówić o Sophie. Czuli, że ponownie przeżywaliby wszystkie poprzednie miesiące od chwili, gdy wjechali przez bramę bez suczki na tylnym siedzeniu, niezdolni do wymówienia jej imienia. Jednak tym razem w powietrzu czuło się nadzieję. I pozytywną energię. Jan czuła je niemal namacalnie.

We wtorek rano Jan, która spała zadziwiająco dobrze, wstała i ubrała się. Działała automatycznie. Wiedziała, że jeśli Ross nie zadzwoni dzisiaj, to nie zadzwoni już wcale. To był ostatni dzień pobytu strażników na wyspie.

Spryskiwała się perfumami, gdy odezwał się telefon. Dzwonił Ross Courtenay.

– Dzień dobry! – przywitała się Jan.

– Schwytali psa – oznajmił Ross. – Są w drodze powrotnej do portu. Możecie przyjechać i spotkać się z nimi. Suka jest dość spięta, ale mamy ją.

– Dobrze – odpowiedziała Jan. Chciała zapytać: „Czy to ona?”

– A potem, gdyby odpowiedział: „Tak sądzę” – dodałaby: „Jest pan pewien, że ona? Na pewno?” – Ale miała zbyt ściśnięte gardło.

Zdobyła się jedynie na: „O, mój Boże!”. Miała ochotę się rozplakać. Dopiero teraz do niej dotarło, że istnieje realna możliwość, że to Sophie. Albo że to nie ona, że to może być piękny niebieski pies pasterski należący do kogoś innego. „Gdyby to była ona, przez co musiała przejść? Czy będzie jeszcze ich pamiętać? Jeżeli zdziczała, czy wobec nich też będzie się zachowywać agresywnie? Czy zniosą taki widok? Czy zniosą to, że zdziczała i będzie trzeba ją uspić?” Nagle Jan poczuła, że to wszystko jest ponad jej siły.

– Proszę posłuchać! Jeśli to ona, to wygląda wyjątkowo zdrowo – powiedział Ross, jakby usłyszał gorączkowe myśli Jan. – Strażnicy powiedzieli mi, że się o nią nie martwią. Wpadła w pułapkę dziś rano i niedługo potem ją zabrali. Jest nieco zdenerwowana, ale w dobrym stanie.

Jan odłożyła słuchawkę, przeczesła grzywkę palcami i od razu zadzwoniła do Dave'a do pracy. Nie chciała tracić ani sekundy.

– Gotowy? – zapytała. Jan próbowała wziąć się w garść. Raz za razem w jej umyśle przewijało się: „Noga za nogą”.

Dave dojechał do domu w rekordowym tempie. Gdy wjeżdżał przez bramę, ścisnął kurczowo kierownicę, a serce biło mu jak oszalałe.

Jan wyszła do niego. Prezentowała się tak, jak powinna wyglądać żeglarka ruszająca na wyprawę: założyła bluzkę w paski, w rękę trzymała kapelusz przeciwsłoneczny.

Dave miał zmarszczone czoło, gdy wysiadł z samochodu, aby ją uściskać. Podeszedł do niej, nadstawiła policzek do pocałunku, a on pogłaskał ją po plecach. Podniosła wzrok na męża i spojrzeli sobie w oczy.

- Zamierzamy zrobić, co w naszej mocy, żeby być w porządku – powiedziała Jan.
- Tak, tak – odpowiedział Dave. – Oczywiście, że tak. Po prostu musimy dać jej szansę.
- Mam dobre przeczucia. Wiem, że nie powinnam tego mówić, ale tak czuję.

Ruby była na dworze razem z nimi. Jej psi wąż podpowiadał jej, że coś się dzieje. Skakała na nich, gdy szli do samochodu, a Dave nawet na nią nie nakrzyczał. Powiedział tylko: – Zostań tu, Ruby. Być może jedziemy po twoją siostrę.

Wychodząc spod wiaty, wziął smycz Sophie i spojrzał ukradkiem na żonę. Tak na wszelki wypadek. Z trudnością przychodziło im uwierzenie w najlepszy możliwy splot okoliczności, ale przepełniał ich optymizm. Dave włożył smycz do kieszeni.

To, co ich czekało, było przytłaczające i nie mieli czasu, aby się na to przygotować. „Czy naprawdę jechali ją odebrać?” Griffithowie zdawali sobie sprawę, że może ich spotkać ogromne rozczarowanie. Wiedzieli, że żywili nieuzasadnione nadzieje. „Czy kiedykolwiek miało miejsce coś podobnego? Była suką. Przepadła na pięć miesięcy. Tamtego strasznego dnia krążyli godzinami, by ją znaleźć. Jak to możliwe, że znalazła się tutaj po takim czasie?”

W drodze do przystani siedzieli obok siebie bez słowa. Jan kurczowo trzymała lewą ręką klamkę drzwi po stronie pasażera. Wydawało się, że Dave zatrzymuje się przy każdym znaku stopu, a każde rondo objeżdża w zwolnionym tempie. Radio było nastawione na lokalną radiostację informacyjną ABC, ale żadne z nich go nie słuchało. Dave zatrzymał się na portowym parkingu, a drzwi po stronie Jan otworzyły się, zanim zgasił silnik. Spojrzeli nawzajem na siebie z niedowierzaniem. Jan uniosła brwi, gdy Dave przeciągał kartę wejściową, i natychmiast po usłyszeniu odblokowującego wejście bipnięcia ruszyła pomostem. Widzieli z daleka Tomoyę i kręcących się przy niej strażników w koszulach w kolorze khaki.

Klatka nie była widoczna do czasu, aż podeszli nieco bliżej łodzi, a wtedy dostrzegli zwierzę o gęstej, niebieskiej sierści krążące po dużej klatce.

- O, Boże, Dave! – krzyknęła Jan, chwytając Dave’a za ramię. – To ona!
- Sophie! – zawołała Jan. Już wiedziała.
- Tuck! Hej, Tuck! – krzyknął Dave.

Futrzak przestał się tłuc po klatce i zaczął podrygiwać, skomleć i rzucać się na pręty klatki.

Dave i Jan mszyli przed siebie. Strażnicy obserwowali całą scenę ze zdumieniem. Dostrzegli zmianę w zachowaniu psa – przejście od obronnego powariowania do okazywania radości. Sophie napierała na drzwi, przez co klatka z hukiem uderzała o podłogę łodzi.

Jan płakała. Gdy Dave długimi krokami zmierzał w stronę klatki, zawołał: – Hej, Tuck! Hej, mała, gdzieżeś była? Gdzie byłaś?

Nikt nie miał wątpliwości – to był pies Griffithów.

– O, mój Boże – powtarzała Jan, z dłońmi przy ustach, tak jak wiele lat temu, gdy Sophie była słodkim szczeniakiem w sklepie zoologicznym. Jan i Dave rozpoznali ją tak błyskawicznie, jak ona ich. To kręcenie całym zadem, jak u dziecka, które właśnie odkryło radość z chodzenia: to była ich sunia.

Dave popatrzył na żonę, a ona odwzajemniła spojrzenie. Oboje dopiero teraz ośmielili się uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. – To ona, prawda? – powiedział Dave. Jego oczy błyszczały. Jan mogła jedynie skinąć głową i uśmiechnąć się, ocierając łzy z oczu. Sophie żył a i poznała ich. Nie utonęła i nie zapomniała ich.

Obawy Billa, że ktoś może stracić kawałek kończyny, rozwiały się. Ten samotny pies przypominał teraz bardziej nowego szczeniaka. Nie zamierzał nikogo ugryźć. Jan zwróciła się do strażników, aby potwierdzić, że to ona. Ich Sophie.

– Zdaje się, że znaleźliśmy właścicieli – stwierdził Steve, patrząc na Jan, która była w takim szoku, że potrafiła jedynie powiedzieć:

- Sophie Tucker! Kochanie! Co ci się przydarzyło?

Wtedy Steve otworzył klatkę i Sophie wyskoczyła na zewnątrz. W podskokach podbiegła do swoich państwa i skoczyła prosto w otwarte ramiona Dave'a. Dave zatoczył się krok do tyłu. Jan szlochała. Gdyby była to scena z hollywoodzkiego filmu, teraz wzruszająco zagrałaby orkiestra, a widzowie sięgaliby po chusteczki. Burke i Ludi, krzepcy, szorstcy strażnicy, z trudem powstrzymywali się od płaczu. – Nie powiedziałbym, że to były łyzy, ale oczy zdecydowanie mieliśmy wilgotne – przyznaje Steve. – To było wspaniałe. Naprawdę, cudowne uczucie.

– To nasza suczka – powiedział Dave. Marszczył brwi, uśmiechał się i patrzył na Jan i strażników, a jednocześnie drapał Sophie po piersi i policzkach. Chwycił przednie łapy suki, przybliżył jej pysk do swojej twarzy i zapytał: – Tuck, co u licha?

Jan spojrzała na Steve'a. – Nie uwierzy pan, jak bardzo tęskniliśmy za tą suczką – powiedziała.

– Owszem. Naprawdę wierzę – odpowiedział Steve. – Niewiarygodne, że tak dawno ją straciliście!

Jan przycisnęła chusteczkę do ust i do kącików oczu. Zwracając się do strażników, powiedziała: – Nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie potrafię. Co zrobiliście? Jak ją schwytaliście?

Steve najpierw wyjął swój aparat fotograficzny, a potem kamerę, ponieważ postanowił utrwalić ten niesamowity moment. Spojrzał na Jan, uśmiechnął się szeroko i powiedział: – Na karmę z puszki! Musiała być głodna, co?

Zajął się dalej filmowaniem, ale Sophie nie miała ochoty przeciągać sprawozdań.

– Nie pogłaskałem jej tego dnia – wyjaśnia Steve. – Chciała stamtąd wyjść, co jest zrozumiałe. Ja na jej miejscu też chciałbym jak najszybciej stamtąd odejść.

Sophie kręciła się, rzucała i szczekała, a gdy zeszła z łodzi, po tym jak Dave'owi udało się założyć jej smycz – co było nie lada wyczynem, gdyż ta do niedawna żyjąca na swobodzie suczka nigdy nie lubiła nosić smyczy, nawet w czasach, gdy była domową pupilką – ruszyła po pomoście, ciągnąc Dave'a za sobą. Biegła w kierunku, gdzie, jak wiedziała, był dom i Dave nie mógł jej utrzymać. Przez minutę bał się, że mu się wyrwie i ucieknie, tak bardzo chciała wracać do domu.

– No, msz się. Chodźmy stąd – zdawała się mówić.

– Nie zdążyłem nawet podziękować strażnikom – opowiada Dave.

Gdy Sophie ciągnęła Dave'a po pomoście, Jan nie wiedziała, czy ma biec za nimi, czy gorąco dziękować strażnikom. Przede wszystkim nie mogła wydusić z siebie słowa. W głowie kręciło się jej od tempa, w jakim to wszystko się działo. Ogarnęło ją niedowierzanie, a jednocześnie miała dziwne uczucie, że nie minęła ani chwila od tego pięknego dnia pięć miesięcy temu, który skończył się tak okropnie. Znowu byli w porcie, którego unikała od miesięcy, a jej Sophie wróciła, tak pogodna jak zawsze. Popatrzyła na męża i suczkę, potem do tyłu na strażników, pomachała im ręką i zawołała: – Dziękujemy!

– Trzymajcie się! – odpowiedział jej Steve, nadal z kamerą w ręku i naładowany adrenaliną, gdy patrzył, jak ten niesamowity pies ciągnie swojego właściciela po pomoście.

Jan widziała, że Dave z trudem utrzymuje smycz w ręku.

– Pomyślałem, że ostatnie, czego nam teraz trzeba, to, żeby pobiegła bez nas – śmieje się Dave.

Nawet w tym pośpiechu Sophie oglądała się za siebie, aby się upewnić, że Jan też za nimi podąża. Potem, węsząc, odnalazła drogę do samochodu, którym nie jechała od pięciu miesięcy. Gdy Jan doszła do auta, mąż siedział już na fotelu kierowcy, a suczka stała na tylnym siedzeniu z łbem wciśniętym między przednimi fotelami i spoglądała na nią, jakby chciała powiedzieć: „Jedziemy do domu?”. Merdała ogonem z wywieszonym językiem i rozglądała się dookoła, jak zwykle nonszalancko. Gdy wyjechali z portu i zatrzymali się na pierwszych światłach, Sophie wysunęła pysk na przednie siedzenie i polizała Jan po policzku.

Bridget prawie nie spała przez ostatnie dwie noce, odkąd tata zadzwonił, aby podzielić się wiadomościami przekazanymi mu telefonicznie przez Heather. Ona i Ellen czekały na wieści, siedząc jak na szpilkach. Wkrótce Jan zadzwoni do jednej z nich. Nie miały co do tego wątpliwości.

Bridget była w domu i czekała na telefon.

Ellen poszła do pracy, ale kręciła się w kółko na swoim fotelu, nie mogąc się skupić. Opowiedziała którejś ze swoich koleżanek, co się dzieje, i co pięć minut ktoś do niej dzwonił z pytaniem: – Masz już jakieś wieści?

Ellen wiedziała, że w każdej chwili może nadejść wspaniała lub straszna nowina.

Jan zaczęła dzwonić, zanim jeszcze wyjechali z przystani. Wiedziała, że Bridget najbardziej niecierpliwie czeka na informacje, a Jan chciała jak najszybciej podzielić się nowiną ze wszystkimi. – To ona, to ona, to ona – tylko tyle Bridget zapamiętała z tego, co wśród szlochów mówiła matka. Bridget też zaczęła szlochać jak dziecko, prychając, smarcząc i tak dalej. Jan relacjonowała w błyskawicznym tempie, jak zadzwoniła do Heather, a potem do Dave'a Bercka, jak Ross Courtenay powiedział: „To wasza suka. Mówię pani, to ona”, że sierść Sophie była gęsta i puszysta jak u wilka, jak „ciągnęła twojego ojca przed chwilą po pomoście” i że o ile się nie mylą, nie zdziaczała, tylko jest sobą, dawną, wspaniałą Sophie.

– Zadzwonił, gdy tylko wydarzy się coś jeszcze – wtrąciła Bridget w przerwie na oddech. Potem rozpętało się telefoniczne szaleństwo. Bridget podniosła słuchawkę, aby połączyć się z Ellen, ale jej telefon był zajęty. Zadzwoniła więc do Matthew, który był w pracy i nie mógł dać temu wiary. Następnie Matthew usłyszał to od Jan. Potem najstarszy syn Griffithów zadzwonił do Luke'a, doskonale wiedząc, że najprawdopodobniej jest poza zasięgiem sieci. Luke był w Indonezji – surfował w Lombok, w ogóle nie zdając sobie sprawy z cudu dziejącego się w domu. Bridget wciąż próbowała dodzwonić się do Ellen, która, o czym Bridget nie wiedziała, też usiłowała połączyć się z siostrą. Jednocześnie próbowała skontaktować się z Ellen matka, a jako że telefon był zajęty, więc zatelefonowała do Luke'a w Indonezji i zostawiła niezliczoną ilość wiadomości z prośbą o telefon do domu: – Mamy nowinę! – Później zadzwoniła do swojej przyjaciółki Heather, a ta się rozplakała, po czym wykręciła numer Jodi, która była w pracy i również zaczęła płakać. A gdy Jodi powiedziała wszystkim swoim kolegom i koleżankom z pracy, że pies, o którym mówiła im poprzedniego dnia rano, ten z wyspy, na którego zastawili pułapkę strażnicy, rzeczywiście okazał się zaginioną kilka miesięcy temu pupilką przyjaciółki jej matki, wszyscy byli wzruszeni.

Kiedy Jan połączyła się z Ellen, myślała, że córka zupełnie nic nie wie o sprawie – choć przecież Bridget poinformowała o tym Ellen w niedzielę wieczorem.

– Wreszcie zadzwonił telefon. To była mama, która powiedziała coś takiego: „Mamy pewną nowinę” – wspomina Ellen. Jan zaczęła opowiadać całą historię od początku, zgodnie ze swym zwyczajem wchodząc w detale. – Zagłębiła się w rozwlekłą wersję historii dla „Janny”, gdyż sądziła, że słyszę ją po raz pierwszy. – A Ellen chciała tylko się dowiedzieć, czy to była Sophie i czy wszystko z nią w porządku. – To było dla mnie wykańczające. Nie potrafiłam udawać, że nic nie wiem. Szybko jej przerwałam i zapytałam wprost: „To ona?”.

– Mama odpowiedziała: „Tak! To ona! Jest teraz z nami w samochodzie. Jedziemy właśnie do weterynarza”.

Ellen odłożyła słuchawkę, wstała z fotela i powiedziała: – To ona! – Wszyscy koledzy i koleżanki w pobliżu zaczęli się cieszyć, a Ellen znowu się rozplakała.

Dopiero wtedy Bridget dodzwoniła się do Ellen i siostry razem płakały w słuchawki. Tymczasem odezwała się komórka Ellen. Był to badacz koali Bill Ellis. Gdy w porcie schodził z pokładu Tomoyi, przekonany, że sprawy potoczą się źle dla tego psa, zaskoczyło go, że kobietą, która zgłosiła się jako jego właścicielka, jest Jan Griffith – matka Ellen, jego dawnej koleżanki z koszykówki. Od dziesięciu lat nie widział Jan i Dave'a, ale gdy tylko zdał sobie sprawę, że to oni, jego obawy, że cała rzecz źle się skończy, natychmiast się rozwiały.

Zadzwoił więc do Ellen, aby opowiedzieć jej, że był świadkiem uratowania jej psa, Sophie, z St Bees. Roześmiali się. To był zbieg okoliczności, jaki może zdarzyć się jedynie w małych miasteczkach.

Gdy Sophie weszła do gabinetu weterynarza, niecałą godzinę po wskoczeniu w ramiona Jan i przeciągnięciu Dave'a przez pomost aż do samochodu, doktor Katie Nash powiedziała: – Sophie nie była rozbitkiem. Spędziła wakacje na wyspie.

Dziewczyny w rejestracji głaskały ją i wznosiły nad nią okrzyki, a ona lizała każdego i merdała ogonem, ciesząc się z tego, że jest w centrum zainteresowania. Pozwalała się badać, wszędzie sobie zaglądać i świecić latarką. Przepęlna radością kręciła się i dyszała, gdy Jan i Dave poklepywali ją i wpatrywali się w nią. Doktor Nash przeczesła rękami jej gęste futro i zanurzyła palce w sierści na karku, sprawdzając gruczoły między tylnymi łapami. Jan i Dave byli nieco oszołomieni i tylko modlili się, żeby okazało się prawdą, że naprawdę odzyskali tego szczęśliwego psa, którego mieli przed oczami, i żeby doktor Nash nie odwróciła się, aby przekazać im złe wiadomości. Sophie była porośnięta wspaniałym futrem dzikiego zwierzęcia żyjącego na łonie przyrody. Dziwne było tylko to, że jej sierść nie śmierdziała – gdzie odór po tych wszystkich nocach spędzonych na dworze wśród martwych szczątków roślinnych i zwierzęcych, na których zapewne leżała i w których się tarzała? Weterynarz i Griffithowie domyślili się, że musiała pływać – jej sierść błyszcząca. Suczka pozwoliła doktor Nash zajrzeć sobie do uszu i zmierzyć temperaturę. Patrzyła na wszystkich z otwartym pyskiem i z wywieszonym językiem, a oni dziwili się, ile to czasu upłynęło od tego koszmarnego dnia, w którym Jan i Dave myśleli, że stracili ją na zawsze.

Notatki z tej wizyty 31 marca 2009 roku świadczą o tym, że Sophie była w doskonałym stanie. „Bystra, czujna, żywo reagująca” – zapisała doktor Nash. „W dobrym stanie fizycznym, przyjacielska i podekscytowana”. Wszystkie wyniki badań suczki były w granicach normy i po przeprowadzeniu kompletu badań Sophie dostała świadectwo zdrowia. Obecny jej weterynarz, doktor Rowan Pert, przyszedł zobaczyć psa, który, jak właśnie usłyszał, przeżył samotnie pięć miesięcy na wyspie St Bees. – Pamiętam, że zobaczyłem całkiem normalnego, szczęśliwego psa i byłem po prostu zdumiony – wspomina. – To było fascynujące. Jakby zupełnie nic się jej nie przydarzyło.

Jednak istniała jeszcze możliwość, że choć na razie Sophie wydawała się radosna, jej głęboko ukryte problemy fizyczne i emocjonalne dopiero się ujawnią. Dave'owi Griffithowi brzmiały w głowie słowa Davida Bercka: – Nie ma wielkich szans. Jeśli zasmakowała we krwi, zresocjalizowanie jej może się okazać niemożliwe.

Doktor Nash napisała plan dla Jan i Dave'a, według którego mieli postępować, gdyby pojawiły się poważne problemy. Sophie mogła przeżywać strach przed ponownym rozdzielaniem (zupełnie jak dziecko zabrane od matki), co przejawiałoby się prawdopodobnie tym, że byłaby bardziej przylepna niż zwykle. Powinna być karmiona osobno, nie z innym psem. Należy ją nagradzać za spokojne zachowanie. Powinno się często obdarzać ją uwagą i wynajdywać jej dużo zajęć. Nie powinna zostawać sama.

Jak się później okazało, wszelkie obawy o stan psychiki Sophie, jej zdolność powrotu do udomowionego trybu życia i odrzucenia wszelkich dzikich, bezlitosnych nawyków, których mogła nabrać na wyspie, były bezpodstawne.

Od weterynarza Jan i Dave zawieźli ją prosto do domu. Po drodze Jan wykonywała i odbierała telefony, ciesząc się, że słyszy stąpanie suczki na tylnym siedzeniu. Odwracała się, aby ją pogłaskać i czuła oszołomienie, nie mogąc uwierzyć w to, co się dzieje.

Gdy Dave wjechał nissanem przez bramę, Sophie ogarnęła radość. Otworzyli drzwi samochodu, a suczka pognęła schodami na górę. Nie zapomniała domu ani klimatyzacji. Zawzięcie węszyła, z entuzjazmem kręciła zadem, szukając starego, piszczącego kotleta z gumy. A gdzie się podziały piłki tenisowe? Wreszcie dywanik, klimatyzacja i piłki tenisowe!

Jakby mało przeżyła ciężkich doświadczeń, czekał ją jeszcze jeden szok. Nowy domownik: Ruby Red.

– Weszła do domu i musiała pomyśleć: „Po tym wszystkim, co przeszłam, mam być miła dla tego czegoś rudego?” – śmieje się Dave, którego kompletnie rozbroiło podejście Sophie do Ruby.

Gdy Dave wjeżdżał na posesję, Jan wysiadła i wprowadziła Ruby za bramkę oddzielającą basen od wiaty samochodowej, aby Sophie zajęła odpowiednią pozycję, zanim suki zostaną sobie przedstawione. Ruby, oczywiście, była wulkanem energii i mszyła w kierunku Sophie, praktycznie wpadając w poślizg, gotowa do zabawy od chwili, gdy ujrzała nową, starszą siostrę. Dave otworzył bramkę, Ruby wyskoczyła przez nią, a Sophie zamarła. Nie zamachała ogonem. Stała pod wiatą na lekko rozstawionych łapach i ze zjeżoną sierścią. Była w pogotowiu, gdy Ruby ją obwąchiwała, energicznie merdając ogonem i wyczekując na zrobienie koziółka. Sophie zawarczała. Ruby wąchała dalej. Sophie nie groziła jej pogryzieniem. Informowała tylko Ruby, że powinna znać swoje miejsce. Gdy Ruby obwąchała ją całą, dominująca suka odwróciła się, aby popatrzeć Ruby prosto w oczy. Ruby nie zdawała sobie sprawy, że Sophie może nie cieszyć się ze spotkania tak jak ona. Sophie popatrzyła na Jan i Dave’a tymi dużymi, akceptującymi oczami i wiedzieli, co chce im przekazać: „Co to ma być? I jak długo to tu zostanie?”.

Jan i Dave oprowadzili Sophie po ogrodzie i wyciągnęli jej czerwoną miskę na wodę z komórki, gdzie przeleżała ostatnie miesiące. Często się zatrzymywali i patrzyli na swoją pupilkę z szacunkiem.

– Jak tam, kochanie? – powiedział Dave, patrząc na Sophie i zwracając się do żony. – Jest bohaterką?

– Wiem, że to zabrzmiało niedorzecznie, ale... wiedziałam, po prostu wiedziałam – powiedziała Jan. Nadal myślała o tamtym dniu na St Bees. Ale albo nie potrafiła do tego wrócić, albo naprawdę zaczęła myśleć: „Może mogliśmy uratować ją wcześniej?”. Ale Sophie była już w domu, cudowna i kochana i wyglądała na niesamowicie szczęśliwą.

Sophie obwąchiwała i badała wszystko, tarzała się po trawie i trącała piłkę tenisową, bo chciała, aby jej ją rzucić. Na razie nie zdradzała żadnych niepokojących objawów. Gdy Jan weszła do kuchni, aby zrobić kanapki z tuńczykiem na lunch, przed wyspą kuchenną zastała siedzącą Sophie, czekającą na jakieś skrawki jedzenia, które oczywiście dostała, ponieważ Jan i Dave byli gotowi dać jej wszystko, czego by tylko zapragnęła. Ruby została na zewnątrz i niecierpliwie czekała, niemal wychodząc z siebie. Sophie w zasadzie ją ignorowała, siedziała z Jan, przewracała się po tureckim dywanie, gdy Dave i Jan usiedli przy stole i przyglądali się jej. Następnie zajęła swoje miejsce przed stołem i spuściła łapy, jakby lądując na poduszce po prawej stronie w strumieniu powietrza z klimatyzacji. Jan wybuchnęła śmiechem.

– Jak długo na to czekałaś, Sophie Tucker? – zapytała, a oczy Dave’a nieco zwilgotniały.

Tego dnia po południu wypadały cotygodniowe zajęcia z kursu tresury szczeniaków, na które chodzili z Ruby. Dave i Jan zapakowali i Sophie, i Ruby do samochodu. Normalnie zostawiliby starszą suczkę w domu, ale nie chcieli już nigdy zostawić jej samej. Postąpili też zgodnie z zaleceniem weterynarza, który radził, aby przez jakiś czas włączać ją we wszystkie zajęcia rodziny. Na kursie zawsze były harce. Jan uwielbiała obserwować dynamiczną zabawę szczeniaków, z których część była. ułożona i posłuszna, ale większość, w tym Ruby, ganiała w amoku, każde w swoim kierunku.

Psy dostawały coś dobrego do jedzenia za każdym razem, gdy wykonały jakieś polecenie, jak chodzenie w kółko czy siadanie. Sophie nie uczestniczyła w zajęciach, siedziała z boku. Kilka razy zaskomlała i szczeknęła. – Nie potrafiłam stwierdzić, czy chciała się przyłączyć czy też dostać łakocie – mówi Jan.

W końcu musieli ją stamtąd zabrać, gdyż zakłócała trening. Dave usiadł z nią nieopodal samochodu, przemawiał do niej i bacznie jej się przyglądał. „Czyżby to były początki kłopotów?” Próbował odgadnąć, przez co przeszła jego ulubienica. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak dużą odległość przepłynęła i co robiła przez te wszystkie samotne noce na wyspach. – Gdzie się podziewałaś, Tuck? – raz za razem powtarzał to pytanie, gdy wpatrywała się w niego i kołysała zadem. Było to nieco przerażające. „Jak sobie z nią poradzą, jeśli stała się kłębkim nerwów? Wydawała się całkiem normalna, ale czy to możliwe?” Wszystko to jednak było dla niego drugorzędne w porównaniu z radością z powrotu Sophie. Nic nie mogło go zniechęcić.

Około siódmej wieczorem w końcu wrócili do domu we czwórkę. Jan i Dave sądzili, że psy będą zmęczone po tylu przeżyciach i wysiłkach, a Sophie zacznie się szykować do pierwszej po powrocie nocy na swoim fotelu.

Jan wyciągnęła się na leżaku przy basenie, a Dave wyjął z lodówki na dole piwo Corona i wszedł po schodach na górę. Sophie poszła za nim, niesamowicie podekscytowana. W kuchni obserwowała, jak podszedł do miski owoców stojącej na mikrofalówce, pokroił cytrynę na plasterki, a potem zszedł na dół, aby zrelaksować się w ten przyjemny wieczór. Sophie dreptała za nim. – Chodź, Tuck – powiedział. Przsunął sobie jeden z leżaków, ale szybko zauważył, że suczka nie dołączyła do niego i nie ma jej nad basenem.

– Sophie! – krzyknął.

Jan pochyliła się do przodu i rozejrzała wokół siebie.

– Sophie Tucker! – zawołała.

Nie reagowała na ich przywołania, więc Jan poszła jej szukać. Znalazła ją siedzącą obok smyczy, która wisiała na swoim zwykłym miejscu w wiacie. Dave odwiesił ją tam, gdy przyjechali rano z portu. Teraz ich cudem ocalony pies czekał przy bramie, gotowy do wyjścia na spacer, tak jak codziennie, zanim zaginał.

– To było niesamowite – wspomina Jan. – Dokładnie wiedziała, gdzie jest smycz i czego chce.

– Chcesz pójść pobiegać, kochanie? O to ci chodzi? – przemówiła do niej łagodnie Jan.

– Pamiętasz to? – zapytał Dave, trzymając smycz przed jej nosem. Sophie zaczęła zawzięcie merdać ogonem, spoglądając to na Dave’a, to na bramę. Wróciła to swoich dawnych zwyczajów, jakby wcale nie minęło tyle czasu. Gdy tylko wyszli z podjazdu, rzuciła się pędem, skakała i węszyła na pobliskim skwerku, odwracając się co jakiś czas, aby się upewnić, że Dave jest obok i patrzy na nią. Co chwilę przynosiła mu patyk albo podchodziła i siadała obok niego, aby złapać oddech.

Ruby podążyła za Sophie. Zataczała wokół niej kręgi, jakby chciała powiedzieć: „Tu jestem, tu jestem! Co chcesz teraz robić?”, podczas gdy Sophie kontynuowała badania kawałka ziemi, który tak dobrze знаła i tak bardzo lubiła, tym bardziej że od czasu jej ostatniej wizyty tutaj, pięć miesięcy temu, pojawił się tam nowy zestaw zapachów.

Tego samego wieczora w Brisbane Bridget poszła do Ellen i Bena z butelką czerwonego wina. Siostra, będąca w zaawansowanej ciąży, sączyła tylko wodę mineralną, ale Bridget i Ben wypili po kieliszku, po czym we trójkę nawiązali wideopojęcie z Mackay. Dave właśnie wrócił z suczkami, a Jan dała każdej z nich po trzy psie przysmaki Schmackos – zwyczaj ten przywrócono na cześć Sophie.

Gdy obie córki Griffithów pojawiły się na ekranie komputerowego monitora, Sophie popatrzyła na nie i zamerdała ogonem, oczywiście nie mając pojęcia, skąd pochodzą te wszystkie znajome glosy. Bridget, zbliżywszy twarz do kamery, zawołała do Sophie:

– Cześć, maleńka! Cześć, maleńka! Wróciłaś! – Sophie spojrzała na Jan i na monitor, zamerdała ogonem i popatrzyła na swój fotel, jakby rozważała, które rozwiązanie będzie

najlepsze. Następnie wykonała kilka kroków od kuchennego stołu do tureckiego dywanu i położyła się.

Ellen zapytała matkę, jak minął pierwszy dzień Sophie w domu, i Jan radośnie przyznała, że było tak, jak gdyby suczka nigdy nie zaginęła.

– To po prostu niewiarygodne, Nell – powiedziała Jan. – Natychmiast zaczęła się zachowywać po staremu. Niezależnie od tego, co tam robiła, niczego nie zapomniała. Gdy przywieźliśmy ją do domu, wbiegła po schodach i obwąchała kuchnię, merdając ogonem. Chodziła za nami krok w krok od chwili, gdy wróciliśmy do domu. Po południu zmęczeni usiedliśmy sobie z tatą na kanapie, a Sophie natychmiast klapnęła przed klimatyzatorem.

Ellen i Bridget wymieniły spojrzenia i Bridget powiedziała:

– Gwiazda z niej.

– Dość niezwykle – stwierdziła Ellen. – Po takim czasie...

– A gdy wieczorem wróciliśmy z tresury szczeniaków – to jest dopiero niesamowite – tata zaczął kroić cytrynę do piwa. Wiecie, jaki jest. Wołaliśmy ją i wołaliśmy, a ona nie przychodziła. Pobiegła prosto do swojej smyczy. Dokładnie wiedziała, gdzie wisi. Chciała pobiegać na skwerku obok.

Wszyscy Griffithowie byli w szoku, ale łatwość, z jaką Sophie zaadaptowała się już pierwszego dnia, sprawiła, że wszystko zdawało się tak zachwycająco normalne. Całe poczucie winy, wszystkie obawy, cały smutek i poruszenie jakoś zniknęły, przynajmniej na razie, dzięki obecności Sophie i dzięki temu, że wyraźnie było widać, że chce tu być, dzięki jej miłości do Jan i Dave'a oraz miłości, którą otrzymywała w zamian.

Bridget i Jan popijały czerwone wino, każda w swoim pokoju, a Sophie, szczęśliwa, ale i zdezorientowana, od czasu do czasu podnosiła na nie wzrok ze swojego miejsca do drzemania. Wstawała, podchodziła i siadała u stóp Jan lub Dave'a, potem zataczała rundkę, aby obwąchać kuchenne linoleum, i kładła się pod kanapą, a później wracała do kuchennego stołu, do centrum wydarzeń, aby zastanawiać się, gdzie są siostry, które słyszy, ale ich tu nie znajduje.

Griffithowie z radością powitali ukochanego członka rodziny, tak samo jakby przyjęli jedno z dzieci wracające z wielomiesięcznej podróży zagranicznej, i wprowadzili ją we wszystkie sprawy rodzinne, które wydarzyły się, kiedy jej nie było. – Widzisz duży brzuch Ellen, Sophie? Będziesz mieć siostrzeńca albo siostrzenicę – powiedziała Bridget, unosząc bluzkę Ellen i gładząc siostrę po zaokrąglonym brzuszku. Rodzina zaczęła śpiewać nienarodzonemu dzidziusiowi, a Bridget opowiadała mu o rodzinie, w której się urodzi, o tym, jak już go kochają i jakiego mają mądrego pieska.

Sophie nastawiła uszy i opuściła. Popatrzyła na komputer i w dal, ułożyła się przy nodze Jan, która podrapała ją swoimi długimi paznokciami między oczami.

Potem suczka, zapewne nieco znudzona, podeszła do swojego fotela, wspięła się i położyła na nim z łbem opartym o drewnianą poręcz. Powieki jej opadły, ale podniosła je i jeszcze raz objęła wzrokiem rodzinę. Później położyła łeb, zamrugała i oczy jej się zamknęły.

Rozdział 17

Sophie wraca do domu, a jej przygody nabierają rozgłosu

W dniach i tygodniach, które nastąpiły po powrocie suczki do domu, Jan i Dave obserwowali ją, aby sprawdzić, czy nie zdradza objawów jakichś niepokojących zachowań. Jan wracała do domu na obiad lub po południu trochę wcześniej niż zwykle, gdzie Sophie, a za jej przykładem Ruby, czekała na nią, aż wjedzie pod wiatę, aby wetknąć łeb w drzwi samochodu. Nie sprawiała wrażenia nerwowej lub nieszczęśliwej. Wydawała się zadowolona i po prostu wyczekiwała na przywitanie się z Jan i pójście za nią po schodach na górę do klimatyzowanego pomieszczenia. Gdy Griffithowie przebywali w domu, trzymali Sophie przy sobie i na ogół z dala od Ruby. Młodsza psica nadal była psem podwórkowym i większość pierwszych tygodni po powrocie Sophie spędziła, zaglądając przez siatkowe drzwi, podnosząc się i merdając ogonem za każdym razem, gdy ktoś się poruszył, ponieważ myślała: „To już! Właśnie teraz dostanę się do środka”.

Jednak nie nastąpiło to jeszcze przez jakiś czas, a Sophie przeważnie zdawała się nie zwracać najmniejszej uwagi na tego rudego, gapiącego się na nią szczeniaka. Co najwyżej okazywała odrobinę zakłopotania. Gdy Griffithowie zabierali obie suczki do samochodu, aby pojechać na zajęcia z tresury szczeniaków dla Ruby, Sophie przyglądała się im ze swojego miejsca na tylnym siedzeniu. Kiedy Ruby podskakiwała, a Dave krzyczał na nią: – Ruby, spokój! – „O co jej chodzi?”, zdawała się pytać Sophie. Czasami zawarczała na Ruby, gdy ta za bardzo pchała jej się przed pysk. Jednak nie było w tym agresji wobec młodszego psiaka ani zaborczości wykraczającej poza normalne przywiązanie do Griffithów.

W końcu cała rodzina była razem, a Dave i Jan wreszcie – po tych wszystkich miesiącach, podczas których gnębiły ich cierpienie, żal i poczucie winy oraz kiedy próbowali zepchnąć straszne wspomnienia i niewiedzę na dno umysłu – zaczęli pomału odczuwać ulgę. Obecność Sophie uświadomiła im, jak bardzo byli ostatnio smutni i spięci, mimo że Ruby zajmowała ich uwagę i zapewniała im wiele zabawnych momentów w ciągu dnia. Sophie przypominała im, jak strasznie mogło się to wszystko skończyć, a także jak w istocie cudowne mieli życie. Czuli się niesamowitymi szczęściarzami z powodu, że ją odzyskali. Niemal aż za wielkimi.

Powrót Sophie tuż przed wydaniem na świat przez Ellen pierwszego wnuka Griffithów wzmocnił więzi rodzinne. – To był naprawdę miły okres – wspomina Bridget. Wszyscy byli ze sobą w kontakcie, nawet częściej niż zwykle. Cała czwórka rodzeństwa wydzwaniwała do siebie nawzajem, aby na bieżąco się o wszystkim informować. W Brisbane Bridget spędzała dużo czasu u Ellen i Bena, a potem we trójkę szli do Mattyego i Melissy. Urządzali wideokonferencje z Mackay, aby wymienić się wiadomościami z rodzicami, czasem nawet kilka razy na tydzień. Przyszli dziadkowie byli ciekawi, jak rośnie brzuch Ellen, a Bridget i Ellen chciały się dowiedzieć, jak Sophie przystosowywała się do życia w domu.

W obu przypadkach odpowiedź brzmiała: zadziwiająco dobrze. Sophie radziła sobie doskonale, do tej pory nie zaobserwowali u niej żadnych objawów, przed którymi ostrzegał ich weterynarz. Zauważyli jednak kilka różnic, na przykład chętniej jadła mięso. Była mniej delikatna niż dawniej, kiedy Dave opuszczał rękę z kawałkiem wołowego tłuszczu. Jednak przy jedzeniu wciąż zachowywała się wyjątkowo kulturalnie jak na psa. Gdy chciała jeść, robiła to powoli.

Nie warczała ani nie pochrząkiwała. Nie połykała też całej zawartości miski jednym kłapinięciem, jak mają w zwyczaju niektóre psy. Robiła przerwy, czasami wyciągała porcję mięsa lub ryby z miski, aby podzielić ją na mniejsze części i dopiero zjeść po kawałku, dokładnie żując. Potrafiła wylizywać miskę do czysta przez dwadzieścia minut, delikatnie wybierając z niej każdy kawałeczek jedzenia, aby została czysta i nieskazitelna. Jednak w pierwszych tygodniach po powrocie z St Bees suczka była bardziej agresywna. Ruby w nielicznych chwilach całkowitego posłuszeństwa węszyła za kielbaską lub kością, trzymając zęby z dala od przysmaku, a tym bardziej od karmiącej ją ręki. Natomiast Sophie miała skłonność do chwytania go zębami w ostatniej chwili, gdy była karmiona z ręki. Wciągała nosem zapach mięsa i patrzyła na karmiącego tak, jakby chciała powiedzieć: „Dzięki”, ale w ostatniej sekundzie raptownie, wręcz bezlitośnie je chwytiała bez ślinienia się, zmuszając Dave’a lub Jan do gwałtownego cofnięcia ręki. – Z pewnością nauczyła się tam, jak w pełni spożytkować upolowane zwierzę, ponieważ teraz nigdy nie chce zrezygnować z kości – mówi Jan.

Jan i Dave godzinami obserwowali Sophie śpiącą, leżącą w słońcu i wciśniętą w ogrodzenie basenu albo leżącą na brzuchu na deskach podłogowych przed klimatyzatorem w salonie. Sophie powróciła też do dawnego zwyczaju wślizgiwania się do ich sypialni co rano, gdzie wpatrywała się i czekała, aż Dave się obudzi, lub robiła to sama delikatnym liźnięciem. Dave nie posiadał się ze szczęścia i chętnie wstawał z ciepłego łóżka niezależnie od tego, która była godzina.

Równie entuzjastycznie podchodził do popołudniowych spacerów. Czasami sam zabierał obie suczki, kiedy indziej Jan szła razem z nimi, a wówczas Dave prowadził Sophie, która – po pięciu miesiącach swobodnego poruszania się na wyspach – ciągnęła smycz nieco mocniej niż dawniej i była tak silna, że Jan nie dałaby rady jej utrzymać. Codziennie, gdy Dave szedł po swoje piwo Corona z lodówki na dole, Sophie i Ruby niezawodnie zaczynały szaleć. Ruby skakała na niego, prowokując go do krzyknięcia: – Spokój! – a Sophie kroczyła dumnie zataczając koła, nigdy nie skakała ani nie skomlała. Później Dave wpuszczał je z powrotem przez frontową bramę i biegły na górę, gdzie Jan miała dla nich przygotowane popołudniowe przekąski: po trzy wołowe Schmackosy dla każdej, ułożone w szeregu na kuchennej ławce. Trzy Schmackosy dla Sophie leżały po lewej, a dla Ruby po prawej. Jan dawała je im równocześnie po jednym, gdy obie suki usiadły. Sophie siedziała z łapami rozstawionymi jak kangur, patrząc w górę na Jan szeroko otwartymi oczami. Te przekąski, w przeciwieństwie do mięsa, obie brały delikatnie i żuły, po czym spoglądały na Jan, aby dała im po następnym Schmackosie, aż wszystkie sześć zniknęło.

Jan i Dave poczuli, jak trudny może okazać się powrót do normalnego życia, dopiero gdy o Sophie dowiedział się świat. Tydzień po powrocie suczki do domu jej historia została opowiedziana w lokalnej radiostacji ABC, na kanale 10 i w lokalnych gazetach w całym kraju. Dzień po audycji w radiu ABC Jan i Dave poszli jak zwykle na śniadanie do kawiarni Oscar’s. Była tam Desley, a John obsługiwał automat do kawy. Tego dnia osobiście przyniósł Jan jej chude latte, postawił przed nią filiżankę i powiedział: – Dlaczego nic nie wiedziałem o waszym psie? Jak mogliście miesiącami trzymać to w tajemnicy?

Tym razem Jan i Dave już nie ukrywali faktów. – Odzyskaliśmy naszą Sophie – z dumą obwieściła Jan. Wtedy posypały się pytania: – Co jej się stało? Jak się czuje? Jaka jest? Czy jest jakimś super psem?

– Boże, pamiętam ten straszny dzień, kiedy powiedziałaś mi, że ją straciliście. Tak wam współczułam – powiedziała Desley.

– Nie mówiliśmy o tym zbyt wielu osobom. Bardzo się wstydziliśmy – przyznała Jan.

Jan i Dave oczywiście nie wiedzieli, co tak naprawdę przydarzyło się Sophie. Na wiele pytań nie potrafili odpowiedzieć, pytań, na które sami chcieliby znać odpowiedź: Jak przeżyła? Jak daleko musiała płynąć? Jakim cudem nagle ją odzyskali?

– Trudno w to uwierzyć, prawda? – powiedziała Desley, która prawie zaniemówiła z wrażenia. – Jaka cudowna historia! Tak się cieszę. Co za suczka!

Griffithowie opowiedzieli Johnowi, Desley, Jenko i innym przyjaciołom z Mackay, którzy dzwoniли do nich, gdy zobaczyli Jan i Sophie w wiadomościach, o niesamowitym zbiegu okoliczności, jakim była znajomość Jodi z Berckami i zorganizowane w ostatniej chwili spotkanie przy grillu w Eimeo. Jan zachwycała się zwłaszcza partnerem Jodi Manning, Rayem Cookiem, po pierwsze dlatego, że zapamiętał historię psa przyjaciółki matki Jodi, który wypadł za burtę, po drugie, że nalegał, aby sprawdzić szczegóły tej historii na wypadek, gdyby to był pies tej kobiety, czyli jej.

Denise i Ian Thomasonowie zadzwonili do Jan po obejrzeniu wiadomości. Denise przypomniał się tamten wieczór na Scawfell. – Wiedziałam, że tamtego wieczora coś było nie w porządku – powiedziała Denise. – Nie mogę uwierzyć, że przez to przeszliście. Co za historia!

– Za każdym razem, gdy będziemy mijać St Bees, pomyślmy o Sophie – obiecał Ian.

Nie skończyło się na zainteresowaniu w kraju. Nim upłynął tydzień, historia Sophie dotarła do Europy. Wiadomość o bohaterskiej suce, która przeżyła na wyspie i o jej szczęśliwym powrocie do Griffithów, w który wręcz trudno było uwierzyć, obiegła świat w ciągu kilku dni.

Starsza siostra Dave'a, Janet Khan, i jej mąż, Peter, oglądali wiadomości BBC w swoim salonie w Hajfie, w Izraelu, gdzie mieszkali od 27 lat. Zapowiedziano wiadomość z tropikalnego Queenslandu. Janet zainteresowała się, bo przecież tam mieszkał jej brat. Wiadomość miała dotyczyć Mackay, rodzinnego miasta Dave'a. Janet pochyliła się do przodu. W telewizji była jej bratowa, Jan. Pies Dave'a uśmiechał się z miejsca obok rodzinnego basenu, jedząc Schmackosa z ręki swojej pani. – W moim salonie zjawiły się Jan i Sophie.

– Janet zaczęła dzwonić po kolei do wszystkich swoich przyjaciół. Większość z nich właśnie oglądała wiadomości. – Miałam wrażenie, że połowa Izraela to ogląda. Byliśmy tacy podekscytowani.

Ellen przez wiele miesięcy zabawiała przyjaciół tą historią. Wymyślili oni nawet towarzyską grę polegającą na zgadywaniu, gdzie następnym razem zostaną pokazane Jan i Sophie. Były na wszystkich kanałach telewizyjnych i w plotkarskich magazynach. Luke miał przyjaciół w Chinach i Wielkiej Brytanii, którzy też dzwoniли do niego, ponieważ zobaczyli je w wiadomościach.

W następnych dniach i tygodniach, gdziekolwiek by nie poszli, wszędzie było głośno o historii ich suczki. Jan i Dave chwalili strażników za to, jak wspaniale się zachowali, pozwalając im przyjść i zobaczyć psa, oraz za to, że nie wyśmiali wiary Jan w to, że jej pupilka mogła dokonać takiego wyczynu. Jan opowiadała, że nawet strażnicy byli zaskoczeni tym, jakie przeciwności udało się Sophie pokonać, aby przeżyć.

– Zadziwiająca, czego dokonała – powiedział Ross Courtenay. – Na padlinie zastrzelonych kóz nie zostało zbyt wiele mięsa, ale przypuszczam, że przy życiu trzymało ją to, co przynosiły przyływy, i duża ilość kości.

Jan i Dave są prawie pewni, że Sophie znalazła sposób, aby żywić się kozami z St Bees. Gdy teraz przyglądali się jej, jak atakuje i kruszy kości, wiedzieli, że musiała jadać jakieś zwierzęta. Dawniej kość mogła u niej leżeć przez wiele dni. W pierwszym tygodniu po powrocie z wyspy obserwowali ją, siedząc przy grillu, gdy wysysała szpik z kawałków kości i chrupała każdą, jakby to był insekt. Niepokoiли się, że się nimi udławi. Ale Sophie dokładnie wylizywała wargi i zbierała wszystkie okruszki, które upadły jej na ziemię. Spoglądała na nich, domagając się więcej. Wówczas Jan wracała myślami do Nowego Roku na St Bees, gdzie znalazła na plaży legowisko z kośćmi kozy: „Czyżby tamtego dnia naprawdę była tak blisko Sophie?”.

– Robi mi się po prostu niedobrze, gdy pomyślę, że jej nie zawołałam. Przecież przyszło mi do głowy, że mogła przeżyć. Dlaczego nie zawołałam? – wyrzuca sobie Jan.

Jednak wszystkie te przykre odczucia ustąpiły miejsca euforii, która ogarnęła ich w chwili, gdy dowiedzieli się, że Sophie znajduje się w klatce na pokładzie Tomoyi. Przez wiele tygodni Jan i Dave chodzili po mieście, uśmiechając się bez wysiłku. Trzymali się za ręce, wchodząc do kawiarni Oscar's i, częściej niż zwykle, pochylali się ku sobie, aby się pocałować. Znowu codziennie rano budził ich stukot pazurów Sophie po parkiecie ich sypialni. Ponownie pierwszym uczuciem, którego doświadczała rano Jan, był mokry język pupilki, która przyskakiwała do niej, gdy wyprowadzała Dave'a na zewnątrz. Teraz ciągnięcie ich przez prowadzoną na smyczy Sophie, gdy wyprowadzali ją razem z Ruby (albo opór, gdy była proszona o ruszenie się sprzed klimatyzatora), traktowali jedynie jako powód do dumy i ulgi.

– Jestem przekonana, że kalkulowała każdy swój ruch – mówi Jan, mając na myśli to, że wrodzona upartość Sophie, której doświadczali w domu, na wyspie okazała się bardzo opłacalną cechą.

Lukę się z tym zgadza. Według jego teorii Sophie zatrzymała się co najmniej na jednej, być może na dwóch wyspach, zanim dotarła na Keswick, gdzie najpierw zauważył ją Mike Barnett, a później Brian. – Przypuszczalnie pozwoliła zanieść się wodzie na Aspatrię, poczekała tam, aż dojdzie do siebie, i oceniła sytuację. My zrobilibyśmy tak samo – podsumowuje. „Chwileczkę, tam jest skała. Wystaje zwody. Nie muszę płynąć. Bang. Muszę odpocząć. Przeżyć.” Aspatria stanowiła osiągalne miejsce odpoczynku przed wyruszeniem w stronę St Bees, skąd mógł dolatywać do niej zapach jedzenia.

Ale gdy ludzie pytali Jan i Dave'a o dzień, w którym suczka wypadła za burtę, słowa więzły im w gardle. Byli w stanie podać tylko najważniejsze fakty: dotarli do kanału przy Heskett Rock, na kilka minut zostawili ją na głównym pokładzie, jakoś spadła, krążyli w okolicy nieprzytomni z rozpaczy, że nie mogą jej dostrzec już po tak krótkim czasie, i doszli do wniosku, że nie mogła przeżyć, że musiała uderzyć się w łeb i utonąć. Było im tak bardzo wstyd i tak bardzo cierpieli z powodu straty, że prawie nikomu nie potrafili o tym opowiedzieć, nawet własnym dzieciom.

Ciągłe powtarzanie wszystkiego z detalami nasiliło u Griffithów mieszane uczucia, jakie wywołało w nich znalezienie się w centrum uwagi. Z jednej strony Jan ekscytowała się tym. Była dumna z Sophie i czuła, że mieli wyjątkowe szczęście, bo suczka się odnalazła. Te uczucia przepęniały ją do tego stopnia, że miała ochotę chodzić i śpiewać po całym mieście. Z drugiej strony było to nieco kłopotliwe. Nagle zdjęcia znad ich rodzinnego basenu zostały opublikowane na całym świecie i jeden z najstraszniejszych dni w ich życiu był omawiany w godzinach popołudniowych w miejscach tak odległych jak Japonia, Izrael czy Wielka Brytania.

Oczywiście całą historię udratyzowano: Sophie była cudownym psem, który przeżył na opuszczonej, tropikalnej wyspie i przez pięć miesięcy żywił się koźlątkami. Ciężkie przygody Sophie bardzo szybko zmieniły się z historii rodzinnej, która dla Griffithów byłaby strawną, mogliby ją świętować i dość po niej do siebie, w jedną z tych podkolorowanych, plotkarskich sensacji na pograniczu miejskiego mitu.

Jan i Dave nie byli jedynymi, którzy odczuli to medialne szaleństwo. Niedługo po powrocie suczki David i Carolyn Berckowie polecieli do Makao, gdzie mieszka brat Carolyn i gdzie historia niezwykłego psa pływaka pojawiła się we wszystkich wiadomościach. Stewardessy w samolocie, którym lecieli Berckowie, natychmiast o niej wspomniały, gdy tylko usłyszały, skąd pochodzą. Berckowie nie tylko znali tę historię, dzierżawili też wyspę, na której pies spędził trzy z pięciu miesięcy w dziczy.

Historia dotarła nawet do Ashington w Wielkiej Brytanii, górniczego miasteczka nieopodal Newcastle, w którym mieszkają rodzice Raya Cooka, partnera Jodi Manning, którego

doskonałej pamięci i naleganiom, aby zaufać jego intuicji, Sophie zawdzięcza to, że nie została odesłana do schroniska. Któregoś dnia rano rodzice Raya znaleźli w miejscowej gazecie zdjęcie tego pogodnego, bystrego psa, który przepłynął wody pełne rekinów, przeżył, żywiąc się koźlętami i, jak – o, zgrozo! – błędnie napisano w reportażu, koalami.

Coraz bardziej przeinaczana historia typowego australijskiego psa, który przeżył w typowym dla Australii regionie, na Archipelagu Whitsunday, żyła już własnym życiem, podsycana sensacyjnymi opowieściami o losie koali, będących symbolem Australii. Gdzieś po drodze, po tym, jak lokalna reporterka radia ABC, Kim Kleidon, zbadała historię i przeprowadziła wywiady z Jan, Davem, Davidem Berckiem, Brianem Kindermanem i Stevern Fisherem, fakt, że na St Bees znajdują się koale, dał początek pogłosce, że Sophie zabijała i zjadała znajdujące się na St Bees koale.

W queenslandzkiej gazecie podano, że powiedział tak Steve Fisher, i plotka rozprzestrzeniła się niczym wirus. To nie była prawda. Spowodowała jednak, że w portalach gazet pojawiły się komentarze „rozczarowanych” czy „zdegustowanych” czytelników. Ludzie wyrażali wściekłość, że pies ponoć żywił się zagrożonymi koalami. Podano także w wątpliwość prawidłowość postępowania biura QPWS w Mackay, którego podstawowym zadaniem jest ochrona naturalnej flory i fauny parków narodowych.

W gazetach i blogach w całym kraju pojawiły się także inne przesadzone doniesienia. W niektórych zniekształcono fakty, między innymi błędnie podawano, jak długo Sophie została niepilnowana na pokładzie. Wywołało to wiele nieprzychylnych komentarzy wśród czytelników, którzy pisali, że „ktoś powinien zawiadomić RSPCA⁹”, i twierdzili, że Jan i Dave są nieodpowiedzialnymi właścicielami.

Bridget nie była zadowolona z tego rozgłosu, zarówno pozytywnego, jak i negatywnego. – Myślałam: „Gdyby tylko ludzie mogli zobaczyć tatę co wieczór grillującego steki dla psów albo to, jak patrzy na psy!”. To absurdalne, jak bardzo mama i tata kochają swoje psy... Ostatecznie jednak byłam po prostu szczęśliwa, że odzyskałam swojego psa – mówi Bridget.

Dave i Jan czuli podobnie. Historie medialne były podkolorowane i przeinaczone, a jednocześnie oboje musieli pamiętać, że przecież istota historii była prawdziwa. Ich Sophie wróciła. Stracili ją w jednej z najbardziej bezludnych, tropikalnych części świata, a ona przeżyła. Czyż to nie jest powód do dumy?

⁹ The Royal Society for the Prevention of Cruelty to Animals (RSPCA) – Królewskie Towarzystwo Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt (przyp. tłum.).

Rozdział 18

Nieźła inna

– Niezmiernie nam to schlebia – powiedziała Jan dziennikarzom, którzy pytali ją, czemu jej zdaniem zawdzięczają powrót Sophie. – Widocznie nie miała być psem nikogo innego, tylko naszym.

Griffithowie nigdy się dokładnie nie dowiedzą, jak Sophie przeżyła w dziczy, ale wszyscy są pełni podziwu, że wytrzymała tak długo, czekając na nich. – Nie sądziłem, że ma to w sobie – przyznaje Luke.

– Nie można się sprzeciwiać matce naturze, pokona cię za każdym razem. Po prostu nie nadszedł jeszcze czas odejścia Sophie – mówi Warren.

Jenko podziela tę opinię. Był wstrząśnięty, kiedy Jan zadzwoniła do niego, aby opowiedzieć mu całą historię tuż po powrocie Sophie do domu. – Nie postawiłbym ani grosza na to, że uda jej się dotrzeć do lądu. Była dość niezgułowata jak na psa pasterskiego. Była znacznie spokojniejsza i bardziej przyjazna niż psy tej rasy, nie powściągliwa czy nieśmiała, lecz wyluzowana. Łagodna. To było naprawdę zaskakujące. Przypuszczam, że wszystkie instynkty jej rasy dały o sobie znać. I trzymała pysk zamknięty!

Co spowodowało, że pozostała wierna Griffithom przez tyle długich, samotnych miesięcy?

Weterynarza Sophie, doktora Pert, nadal zdumiewa kilka elementów jej przygód. Nie może uwierzyć, że dopłynęła tak daleko, a potem zdecydowała się ponownie popłynąć. Zaskoczyło go przede wszystkim to, że odmówiła sobie towarzystwa i miłości ludzi. – Dlaczego nie zebrała o posiłek ani nie dopraszała się odrobiny serdeczności? Tego nie mogą zrozumieć – mówi. – Przecież jest takim normalnym, udomowionym psem.

Rasa z pewnością była jej atutem. – Pies pasterski był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałem – wyznaje doktor Pert, którego pierwszym i najbardziej ujmującym psem był niebieski pies pasterski, chodzący za nim wszędzie podczas studiów. – Okazują większą lojalność niż inne rasy. Psy niektórych ras są zwierzętami transportowymi, więc interakcja z otoczeniem jest dla nich bardzo ważna. Psy pasterskie na ogół nie mają tej cechy. Są znacznie bardziej skupione na jednej więzi – z właścicielem. Inne psy mają większą świadomość hierarchii.

Pies Perta był jego prawdziwym kumplem, jak twierdzi doktor. Takie odczucia często mają właściciele psów pasterskich i ich miłośnicy, między innymi Jenko, który przekonał Luke'a blisko dwie dekady temu, jakim niezrównanym zwierzęciem domowym będzie Jordy. – Jeśli zdobędzie się ich zaufanie, nie ma żadnych dramatów – mówi Jenko. – Są naprawdę wytrzymałe, inteligentne i uparte. I wiem, jak to jest, gdy straci się ulubieńca.

Doświadczenia Jan z jej psem pasterskim z dzieciństwa, Biddy, przyczyniło się do tego, że Griffithowie stali się fanami psów tej rasy. – Są tak niezwykle lojalne, że czasami się przez to płacze – mówi Jan, która przekonała się o wyjątkowości tej rasy na długo przedtem, zanim Sophie dokonała swego zadziwiającego wyczynu. Biddy chodziła za malutką siostrą Jan, delikatnie ją popychając, jeśli czasem wkroczyła na posesję najbliższych sąsiadów. Jan pamięta ponadto, że Biddy była ostrożna i nieufna w stosunku do mężczyzn i zataczała koła wokół dziewczynek, gdy tylko jakiś chłopak próbował wejść na podwórko. – Trudno uwierzyć, jak bardzo te psy potrafią kochać.

Sophie, jak większość psów, nie wstydziła się wyrażać niezadowolenia z rozłąki z Griffithami. Jan i Dave przekonali się o tym jeszcze przed jej pobytem na wyspach. Początkowo był to jeden z powodów zabierania jej na Honey May, nie potrafili znieść jej rozczarowania. Zawsze wiedziała, i protestowała, gdy ktoś miał wyjść z domu, choćby na cappuccino w kawiarni Oscar's, czy wyjechać na tydzień do Wietnamu, po którym niedawno podróżowali Jan, Dave i Bridget.

Przynajmniej dzień wcześniej, zanim Jan i Dave załatwili wszystkie sprawy związane z wyjazdem, spakowali walizki i umówili się z Lukiem, że się do nich wprowadzi, aby doglądać psów, Sophie chodziła nadąsana po domu i ogrodzie, nie wybiegała jak zwykle ze swojego miejsca, aby przywitać się z Jan lub Davem, gdy słyszała, że nadchodzą. Kiedy nadeszła pora wyjazdu na lotnisko, Sophie leżała na środku podjazdu, z łbem między łapami, rozglądała się dookoła, ale nie podnosiła nosa z drogi wyjazdowej i nie zbliżała się do właścicieli, aby ich lizać i dać się głaskać, co robiła, gdy była szczęśliwa. Gdy Dave wyjechał samochodem z podjazdu, Sophie wpatrywała się w bramę, z opuszczonym ogonem, nieruchoma. Jan ledwo zniosła ten widok. „Czy tak zachowywała się na wyspie?”

Z jednej strony schlebiali im, że suczka była gotowa czekać tak długo, jak musiała, aby móc spędzić z nimi jeszcze choć jeden dzień. Gdyby jednak wiedzieli o tym wtedy, gdy zaginęła, dręczyłaby ich myśl o jej cierpieniach z samotności i tęsknoty za okazywaną jej przez nich miłością.

– Nadal bardzo przeżywam jej dotarcie na wyspę. Wyobraźcie sobie, jak musiała być zmęczona, spragniona i głodna... – mówi Jan, a głos jej się łamie. – Oczyma wyobraźni widzę, jak leży na piasku z łbem na łapach, patrzy smutna i wyczerpana.

Jak zatem przeżyła tyle czasu sama, skoro w przeszłości nawet kilka godzin lub dzień bez nich to było dla niej za dużo? Griffithowie zastanawiają się: „Czy dzień po dniu będąc głodna, noc po nocy nie mając schronienia, kiedykolwiek ich przeklinała? Czy kiedykolwiek poczuła się odrzucona? Miała świadomość, ile czasu minęło? I czy w związku z tym straciła nadzieję na połączenie się z rodziną? Czy w miarę upływu czasu jej wspomnienia o Jan i Davie zaczęły się zacierać? Czy kiedykolwiek jej przywiązanie do nich było zagrożone? I dlaczego nie szukała pocieszenia u kogokolwiek z ludzi, których spotkała?”

Przez ponad pięć miesięcy Sophie wybierała samotność, głód i pragnienie, zamiast skontaktować się z ludźmi, których nie знаła i nie kochała. Mogła cieszyć się nowo odkrytą wolnością, spędzając dni na wyspie z Peterem jako swoim najlepszym przyjacielem. Miała szansę stać się ukochanym zwierzęciem, nadal korzystając z uroków dziczy, do czego psy są fizycznie przystosowane. Co rano mogła się budzić o wschodzie słońca nad prywatną zatoką oceaniczną, a w ciągu dnia polować na kakadu żółtolice i dziwogony włochate, tarzać się w błocie i piasku oraz przeżuwać skorupy kokosów.

Nic takiego nie zrobiła. Wszystkie świadectwa mieszkańców Keswick i St Bees oraz odwiedzających wyspy gości świadczą, że Sophie pozostała płochliwa, podejrzliwa i samotna przez pięć miesięcy. Przez mniej więcej trzy miesiące, gdy była na Keswick, nie splądrowała żadnego kosza na śmieci, nie wprowadziła się do pralni czy oddzielnej szopy. Mieszkańcy Keswick słyszeli w nocy szczekanie, widzieli ślady łap na plaży i na ścieżkach przecinających wyspę, ale przez większość czasu była nieuchwytna, wręcz antyspołeczna. – Nawet rodzimym zwierzętom, takim jak scynki i warany, zdarzało się wchodzić do domów. Ale nie Sophie – mówi Eva Browne-Paterson, mieszkająca na Keswick.

Psy są lojalne, a psy pasterskie znane są z wyjątkowej wierności. Griffithowie są jednak przekonani, że nawet inne ich psy pasterskie zaprzyjaźniłyby się z wyspiarzami, nie potrafiłyby funkcjonować bez towarzystwa. Sophie najwyraźniej nie miała tego problemu.

– Sądzę, że jej jedynym celem było dotarcie gdzieś, skąd mama i tata będą mogli ją zabrać – mówi Luke, dodając, że jego pies Sonny czekałby sześć godzin a potem sobie poszedł,

myśląc: Drań jeden, nie przychodzi po mnie, co jest? O, dobrze, tam jest ktoś, kto mnie pogłaszcze i podrapie.

– Ruby zachowałyby się tak samo – przyznaje Jan, wyobrażając sobie, jak ruda suczka szczerzy zęby i ziaje w odpowiedzi na pierwszą obietnicę miłości. Ale nie Sophie. – Jestem przekonana, że gdy dotarła na St Bees i okazało się, że na Keswick są ludzie, popłynęła tam, aby sprawdzić, czy to nie my. Tak myślę, romantycznie, lecz z pewnością jest dość sprytna, by tak zrobić.

– Dziwi mnie, że nigdy do nikogo nie poszła. Można byłoby sądzić, że w którymś momencie to zrobi – mówi Ian.

Choć rasa ma decydujący wpływ na osobowość psa, nie determinuje wszystkich aspektów jego zachowania. Natura i wychowanie uzupełniają się w tym względzie. Sophie i jej poprzedniczka, Jordy, znacznie się różniły charakterami i postawami. Jan zastanawia się, czy tresura nie ma na to większego wpływu niż natura. Jordy była wychowywana głównie przez Luke'a, który drażnił się z nią i siłował, gonił ją i hartował. Postępował tak, ponieważ sprawiało mu to mnóstwo frajdy, ale także dlatego, że hołdował tradycyjnemu podejściu do tresury psów pasterskich, podejściu w stylu Cesara Miliana. „Australijski pies pasterski to zwierzę rasy użytkowej, które potrzebuje narzucenia ostrego rygoru fizycznego i psychicznego”, pisze Cesar na swoim blogu: *Cesar's Way*¹⁰. Jeśli psy pasterskie nie mają zapewnionej możliwości wyżycia się, szybko popadają w przygnębienie”. Teraz Luke próbuje zabierać wszędzie ze sobą swojego dwuletniego i nadpobudliwego niebieskiego psa pasterskiego, imieniem Sonny, i traktuje go jako towarzysza zabaw.

– Jordy traktowała pobyt u nas jako swoją pracę – pilnowała nas przez cały czas. Gdy wracaliśmy w domu, robiła rundkę wokół ogrodu, zanim przyszła się z nami przywitać na schodach – wyjaśnia Jan. – Sophie w chwili, gdy przekroczyliśmy bramę, wskakuje nam na kolana w samochodzie, taka jest podniecona tym, że jesteśmy w domu. Myślę, że musiała uznać, że jest przeznaczona wyłącznie do kochania nas. Może przywykła do tego, dlatego że Bridget tak wylewnie obdarzała ją miłością i zainteresowaniem.

Zmiana zachowania Sophie w chwili, gdy usłyszała głosy Griffithów w porcie pięć miesięcy po wypadnięciu za burtę, polegająca na natychmiastowym przeobrażeniu się w wesołego, czarującego psa, świadczy o prostocie jej miłości i lojalności, braku jakiegokolwiek wyrachowania. Po prostu nigdy nie zapomniała, że jej zadaniem jest kochać rodzinę i dać się jej kochać.

Dwa tygodnie po powrocie Sophie Bridget przyjechała do domu na ferie wielkanocne. Gdy przyleciała do miasta i matka odbierała ją z lotniska, była trochę zdenerwowana. Miała spotkać się z Sophie pierwszy raz od wielu miesięcy i była tym przejęta. – A jeśli mnie nie pamięta? Co, jeśli będzie na mnie zła? – niepokoila się. – Chciałam jej powiedzieć: „To nie ja cię zgubiłam, maleńka. To oni. Proszę, nie złość się na mnie” – mówi Bridget, trochę poważnie, trochę żartując.

Gdy Bridget wjeżdżała przez bramę rodzinnej posesji, przygotowywała się psychicznie na każde ewentualne potraktowanie jej przez psa, który tyle przeszedł. Jednak gdy brama się otworzyła, Sophie przyskoczyła do samochodu wiozącego jej pierwszą najlepszą przyjaciółkę, kręcąc zadem z boku na bok i uśmiechając się na swój psi sposób, z otwartym pyskiem i wywieszonym językiem. Kiedy Bridget otworzyła drzwi samochodu i zawołała: – Cześć, maleńka! – Sophie skoczyła prosto do środka, lądując całym kręcącym się z radości tułowiem na kolanach Bridget i patrząc jej w oczy. Dziewczyna otoczyła ją ramionami, przybliżyła jej łeb do swojej twarzy i zmierzwiła jej sierść na karku. Tarmosiła ją i całowała po całym karku.

¹⁰ Sposób Cesara (ang.); www.cesarsway.com (przyp. tłum.).

Ruby, wciąż na zewnątrz, chciała się do nich przyłączyć – podniosła łapę i wstawiła do samochodu, próbując się wepchnąć między nosy Sophie i Bridget. Jednak ani Bridget, ani Sophie nie dbały o nią. Odzyskały siebie nawzajem i potrzebowały spędzić trochę czasu tylko we dwie. To była chwila Sophie, kolejna, i Ruby musiała się z tym pogodzić.

– Pierwszej nocy spała w moim łóżku, tak jak dawniej – mówi z dumą Bridget. Jednak nie trwało to długo. Jan i Dave pozwolili na jedną noc w łóżku, a potem Sophie musiała wrócić na fotel. Ciężka sprawa. Chcieli wpoić swojej bohaterkiej pupilce *niece* dyscypliny rodzinnej Griffithów.

Sophie, pełna szacunku jak zawsze, zastosowała się do polecenia. Prawdę mówiąc, mimo przechwałek Bridget, że pierwszej nocy po każdym przyjeździe do domu zabiera suczkę do swojego łóżka, musi przyznać, że to chyba Sophie, bardziej niż ktokolwiek inny, nalega na zachowanie porządku. Gdy Bridget mówi: – Dobranoc! – w kolejne wieczory jej pobytu u rodziców, Sophie zwykle leży już na swoim fotelu i rzadko się z niego rusza, aby przejść przez drzwi w holu prowadzące do pokoju dziewczyny. Uderza ogonem o drewniany podłokietnik fotela, z rozkoszą przyjmując pieszczoty i gruchanie, którymi na dobranoc obdarzają Bridget. Jest szczęśliwa, gdy Bridget bierze ją na ręce i nosi dookoła przez cały wieczór, lecz ma swój fotel i wydaje się całkowicie zadowolona ze swojego miejsca w domu.

– Patrzy na Bridget, jakby chciała powiedzieć: „Dostałaś jedną noc. Jestem psem, mam swoje psie sprawy” – wyjaśnia Jan, surowa gospodyni domu, którą kilka lat temu Dave musiał przekonać do wpuszczenia Sophie na pokoje. Po raz kolejny oczarowała ją psia godność suczki. – Są psami i szanujemy to. Tak jak nasze dzieci, mają swoje życie. Bierzemy to pod uwagę.

Niewątpliwie Sophie ponownie podjęła rolę dominującego psa z zapalem, ale i ze spokojem, wkraczając do domu Griffithów jako ich piąte dziecko. Można by było jej nawet zarzucić, że jest bardziej harda i wyniosła niż przed pobytami na wyspach.

Niemal świętokradztwem wydaje się wybieranie jednego spośród swoich psów na faworyta, ale gdy Ellen i Ben przyjechali do Mackay z Molly, pierwszą wnuczką Griffithów, Sophie groziło zdetronizowanie przez Ruby. Nie interesowała się niemowlęciem. Z kolei Ruby znalazła najlepszą przyjaciółkę w Molly, która aż piszcziała z zachwytem, gdy widziała „dziewczynki”, i opuszczała rączkę ze swojego wysokiego krzeselka, aby uwielbiająca ją i ostrożna Ruby mogła ją po niej polizać. W ostatnie Boże Narodzenie, gdy Ellen wpuściła psy na śniadanie, a reszta rodziny jeszcze spała zmęczona świętowaniem, Ruby została nagrodzona – dostała pozwolenie na zjedzenie jogurtu i tosta z pastą Vegemite wraz z Molly w kuchni, podczas gdy Sophie pomknęła prosto pod drzwi sypialni Jan i Dave’a.

Sophie nie dość, że była oddana głównie Jan i Dave’owi, to jeszcze wydawała się urażona tym, że teraz częściej bywa proszona o pozostanie na dworze, jeśli w domu jest Molly. Gdy mata stała przy siatkowych drzwiach i wołała „dziewczynki”, brudząc sobie nos przez to, że przyciskała go do siatki, Ruby stawiała naprzeciw niej, nos w nos, emanując uczuciem. Sophie często siadała o stopień niżej, spoglądała w górę na Molly spod przymkniętych powiek i od niechcenia merdała ogonem.

Dominująca suka miała większą skłonność do dąsania się, odkąd wróciła do domu z wyspy. Drażniło to zwłaszcza Luke’a, który musiał sobie radzić z humorami Sophie, gdy opiekował się nią podczas wyjazdu rodziców. – Wchodziła do ich pokoju i nie chciała stamtąd wyjść całymi dniami – opowiada.

Lukę przyprowadził do domu rodziców swojego szalonego psa Sonny, aby zamieszkał razem z nim i Heather. Ruby podejmowała starania, aby się bawić i wchodzić w interakcje, natomiast Sophie – żadnych. Zachowywała się łagodnie i przyjacielsko wobec Heather, najwyraźniej jednak uznała, że to Lukę jest winien nieobecności Jan i Dave’a, i dąsała się przez trzy dni. Doszło do tego, że Lukę musiał zanosić jej jedzenie do pokoju. Inaczej leżałaby pod skórzaną kanapą w salonie, wystawiając spod niej jedynie ogon i nos.

– Była taka zmartwiona, że taty tu nie ma. Pomyślałem, że może Sonny zniszczy tę bańkę, która odgradzała ją od świata. To dąsanie się przejęła od Bridget – śmieje się Luke.

Po kilka dniach Sophie w końcu się rozchmurzyła. Być może przysłuchiwała się odgłosom życia w domu: rozmowom Heather i Luke’a, ich zabawom z pozostałymi psami oraz mamrocącemu w tle telewizorowi. Słyszając, że Luke otwiera paczkę chipsów albo przekąsek Schmackos, Sophie wychodziła powoli z sypialni rodziców, na powrót stając się zadowolonym psem.

Żadne z tych zachowań nie mogło zmienić stosunku Jan i Dave’a do niej. Sophie zasłużyła sobie na pobłażliwe traktowanie, podobnie jak mądrej staruszce można czasami wybaczyć odrobinę gderliwości.

– Sophie zrobiła wszystko, co pies ma do zrobienia w życiu – ocenia Jenko. Jan i Dave’owi pozostaje się z tym jedynie zgodzić. Bez wątplenia należy się jej miejsce w rodzinnym drzewie Griffithów. Nie mają wątpliwości, że ma prawo wchodzić do domu, wylizywać do czysta talerze z obiadu i spać na swoim skórzanym fotelu w dzień czy w nocy.

Życie jest całkiem miłe, odkąd Sophie wróciła do domu. Jan i Dave już nie czują, że pozostało im puste gniazdo. Mieszkają z dwoma wspaniałymi psami, które dostarczają im wiele radości. Każdego popołudnia około czwartej poziom energii w domu zaczyna rosnąć, gdy Sophie i Ruby zbierają się razem, zostawiając to, co do tej pory robiły. Ich wewnętrzny zegar mówi im, że nadeszła pora spaceru. Jeśli są za siatkowymi drzwiami, ponieważ zostały na chwilę wyproszone na zewnątrz, Ruby kręci się, czubkiem nosa dotykając siatki, a Sophie stoi obok niej, patrząc w dół schodów i udając, że wcale jej tak bardzo nie zależy, jak tej głupiej, młodszej siostrze. Jeżeli pada deszcz, Dave robi, co może, aby je zignorować, ponieważ nie potrafi spojrzeć im w oczy, a potem nie zabrać ich na spacer. Prawie codziennie, gdy Jan zakłada tenisówki i wszyscy schodzą po schodach, Ruby zatacza kola i skacze im pod nogami. Suczki spodziewają się otwarcia bramy nie po to, aby ktoś je opuścił, ale po to, żeby wyprowadzić „dziewczynki” w świat. Czworko Griffithów wychodzi na drogę. Jeśli Jan bierze Sophie, przez większość spaceru stara się zawijać smycz ciasniej wokół swojego nadgarstka, aby utrzymać suczkę w rozsądnej odległości. Jak za dawnych czasów.

– Cesar Milian twierdzi, że trzeba panować nad swoim psem – mówi Jan. – Chyba nie całkiem mi się to udaje.

Później, podczas kolacji, obecna jest cała rodzina: Jan, Dave i „dziewczynki”. Gdy Jan i Dave siadają do posiłku, obie suczki siedzą na baczność, plecami do siebie, jak wskazówki zegara: Ruby patrzy na jednego wnoszącego jedzenie właściciela, Sophie na drugiego.

„Które z nich pierwsze opuści talerz?”

W miarę jak Jan i Dave zjadają swoje porcje, na brzegach ich talerzy rosną stopy chrupiących skrawków ziemniaków i kości (z potajemnie zostawionymi kawałkami mięsa). Często Jan nie potrafi wytrzymać i opuszcza obie ręce, aby poczuć, jak Ruby delikatnie wyjmuje jej kawałek potrawy drobiowej z jednej dłoni, a Sophie błyskawicznie porywa mięso kurczaka z drugiej.

Sophie i Ruby mają kilka znanych tylko wtajemniczonym nawyków. I choć Sophie często jest znużona frywolnością Ruby, z biegiem czasu przywiązała się do młodszej siostry. Gdy Dave lub Jan wjeżdżają przez bramę, widzą Ruby, która wybiega z podwórka za domem i po chwili wraca z podążającą za nią Sophie. „Wrócili do domu!”, ruda suka informuje niebieską. Po południu Dave często schodzi po schodach i znajduje suczki uprawiające zapasy. Ruby przyskakuje do miejsca, gdzie wygodnie ułożyła się Sophie, i wciska łeb w jej kark. Przewracają się we dwie po ziemi, szepiąc się przednimi łapami. Sophie obnaża kły i chwyta nimi szczękę Ruby, potem ją liże i jednocześnie powarkuje. Cały czas rozlegają się głuche uderzenia ogona Ruby o ziemię, gdy wpycha swój łeb lub nos w Sophie.

Ruby wciąż gra drugie skrzypce w tym duecie, ale też zyskała na tym, że Sophie korzysta z dobrodziejstw domowego szczęścia. Po powrocie z wysp wylegająca się na dywaniku Sophie

wstawiała się za Ruby, choć ta była jeszcze hałaśliwym szczeniakiem. Co pewien czas unosiła łeb i patrzyła na zewnątrz, na Ruby. Wyglądało to na drażnienie się z młodszą siostrą, ale później Sophie podchodziła co jakiś czas do drzwi i dotykała nosem siatki, po czym odwracała się do Jan lub Dave'a, jakby chciała powiedzieć: „Chyba powinniście ją też wpuścić, nie?”. W końcu Jan i Dave skapitulowali i dziś Ruby cieszy się prawie wszystkimi tymi samymi przywilejami co Sophie.

Gdy nadchodzi pora snu, każda suka zajmuje swój fotel: Ruby po lewej stronie, Sophie po prawej. Ruby jeszcze czasami próbuje szczęścia i usiłuje zająć sofę zamiast fotela. Uwielbia też bawić się w „śpię na fotelu Sophie”, przez co dostaje niekończące się reprimendy od Jan i przede wszystkim od Dave'a. Ześlizguje się z nie swojego fotela i wchodzi na kanapę, następnie ześlizguje się z kanapy i patrzy na Dave'a, czy ten już otwiera usta, aby znów na nią nakrzyczeć, po czym w końcu wspina się na przeznaczony jej fotel. Czasami Dave wchodzi do salonu i zastaje Sophie stojącą przed swoim fotelem i patrzącą na Ruby, która się na nim rozsiadła i merda ogonem. Ogon starszej suki zwisa z tyłu, wykonując ruch, który można uznać za coś pomiędzy machnięciem a pogrózką, jakby chciała powiedzieć: „Masz dziesięć sekund, nie więcej”.

Sophie oczywiście odzyskuje to, co jej się należy. Nie zniechęca tym jednak ani Ruby, ani Dave'a, który uszczęśliwiony co wieczór bawi się w to z obiema sukami. Dave jest nawet bardziej ustępliwy, niż był przed wypadnięciem suczki za burtę. Za życia Sophie zmienił się z surowego rygorysty w kompletnego mięczaka, z człowieka, który był przekonany, że miejsce psa jest na dworze, w takiego, który wstaje z łóżka, jeśli nie może zasnąć, i staje w drzwiach, aby przyglądać się chrapiącej i postępującej Sophie, zawsze zachwyconej tym, że przygląda jej się człowiek, którego darzy bezwzględną lojalnością.

– Tu jest moja dziewczynka, hej – mówi wtedy Dave, opierając się o futrynę kuchennych drzwi, ubrany w bokserki, z jedną gołą stopą opartą na drugiej. Krzyżuje ręce i rozciera ramiona, cały czas patrząc na śpiącą Sophie. Niekiedy suka podnosi łeb i wyciąga go, aby odwzajemnić spojrzenie Dave'a. Koniec jej ogona porusza się i gdy do niej podchodzi, suczka oblizuje się, oczekując na wyrazy miłości, którymi – jak doskonale wie – zaraz ją obdarzy. Dave delikatnie głaszcze ją między oczami lub drapie za uszami obiema rękami, a ona mruczy z głębi gardła oraz na zmianę wysuwa i chowa koniuszek języka z wdzięczności.

Sophie nie jest zwykłym psem. Dokonała bezprecedensowego wyczynu. Dave i Jan nigdy nie przypuszczali, że staną się częścią tak niesamowitej historii. Ich suczka wykazała się niezwykłą wytrzymałością i lojalnością – w stopniu, na który żadna wiedza o psach nie była w stanie ich przygotować. Z tego powodu stała się swego rodzaju gwiazdą. Wrzawa w telewizji, w gazetach i czasopiśmie na całym świecie, fakt, że wkrótce ma powstać film na kanwie historii suczki, a nawet ta książka świadczą o tym, że ludzie docenili tego zdumiewającego, a jednocześnie zwykłego, domowego psa.

Do dziś w biurze strażników parkowych w Mackay wisi oprawione zdjęcie Sophie z biegnącą po ukosie, odręczną dedykacją Jan: „Zadomowiłam się!”. Nigdzie jednak nie jest większą gwiazdą niż we własnym domu, w którym prowadzi swe psie życie (jak pisała prasa po jej powrocie z wysp).

– Są psami, nie proszą o wiele w porównaniu z tym, co dają nam w zamian – twierdzi obecnie Dave. – Powinniśmy zatem dawać im to, czego chcą.

Griffithowie nigdy się nie dowiedzą, przez co Sophie przeszła, nie poznają szczegółów jej nadzwyczajnej wędrówki. Czasami chcieliby móc ją o to wypytać. Ale gdy patrzy łagodnie na nich tymi ufnymi oczami, dochodzą do wniosku, że wiedzą przynajmniej jedno: uczucia między właścicielami a psem, takie jak lojalność, miłość i przywiązanie, które w ich odczuciu zawsze były bardziej wyjątkowe w relacjach Sophie niż z innymi psami, w jakiś niepojęty sposób sprawiły cud.

Podziękowania

Książka ta wiąże się z wieloma osobami i miejscami, którym chciałabym podziękować:

Griffithom. Z wielu powodów, przede wszystkim za ich miłość do Sophie. Moje życie już nigdy nie będzie takie samo, odkąd w nim zagościliście. Wierzę, że jesteście rodziną, która przysłała na świat po to, aby ją opisać.

Mogłabym w tym miejscu przerwać, ale tego nie zrobię.

Mojej mamie, miłośniczce psów, ponieważ pomyślała, że byłoby miło, gdybym wróciła na trochę do domu, aby pisać. Bardzo tego żałujesz? Kocham cię, mamo. Robowi, którego połączenie internetowe bezwzględnie wykorzystałam, a jego zapasy czerwonego wina nie całkiem potajemnie uszczupliłam. Oraz Ioneli Cornhill, której mogę teraz powiedzieć: – Tak, już skończyłam książkę!

Tacie i Sue, których e-maile: „Nigdy się nie poddawaj!”, z bardzo opatrzonym zdjęciem pelikana i żaby w gruncie rzeczy bardzo mi pomogły. Dziękuję tato. Lisie i Martinowi, którzy wciąż próbują zrobić ze mnie damę.

Erin Hosier, która zrobiła wszystko, aby nie zwalić tego całego przedsięwzięcia tylko na moją głowę, i której zachęty: „Otuchy!”, pomogły mi przetrwać wiele dni początkowej niepewności i końcowe dni prac redakcyjnych.

Moim redaktorkom – a było ich kilka. Lisie Highton i Renee Sedliar, w pierwszej kolejności, które uwierzyły w Sophie i w tę książkę, a także doprowadziły mnie do mety. Deonie Fiford i Helen Coyle, które tyle mnie nauczyły, a jednocześnie z wielkim wyczuciem dokonywały korekty. Jestem przekonana, że moje następne teksty będą wam wiele zawdzięczać. I Valerie Appleby, pracującej w cieniu, ale bez wątpienia przyszłej królowej rynku wydawniczego.

Johnowi i Lauren z kawiarni Oscar's za stworzenie mi kawałka Brooklynu w Mackay.

Wszystkim psom, które przewinęły się przez moje życie, zwłaszcza Molly, Chloe, Lucy, Molly (kolejnej) i Oscarowi, które towarzyszyły mi podczas pisania i niejednokrotnie dostarczały inspiracji. Zawsze mogłam liczyć na to, że sprowokują mnie do głośnego, spontanicznego śmiechu, skłonią do gruchania, głębokiego zastanawiania się i gadania od rzeczy.

Brianowi i Jamesowi z Shots of Happy za bycie niesamowicie niegrzecznym, a także za zainteresowanie i parzenie najlepszego sojowego latte w Forster w Nowej Południowej Walii.

Zatoce Byron.

Grupie moich wspaniałych, wytrwałych przyjaciół, którzy, mam nadzieję, wiedzą, kogo mam na myśli, nie muszę zatem ich wymieniać po nazwisku.

Steve'owi i Oscarowi – za najwspanialszą na świecie więź między tatą a psem.

Strażnikom z Mackay w Queensland Marine Parks and Wildlife, którzy zatroszczyli się o tajemniczego niebieskiego psa w stopniu wykraczającym poza ich zakres obowiązków. Andrei Dobbyn, cierpliwiej i skutecznej pośredniczce z tym nieznośnym, zawsze ze wszystkim na ostatnią chwilę dziennikarzem i ze strażnikami, którzy po prostu zajmowali się swoim życiem.

Peterowi Berckowi – żałuję, że nie poznałam go lepiej.

Wyspie St Bees.

Billowi Ellisowi, Seanowi Fitzgibbonowi i Jasonowi Wimmerowi, którzy uświadomili mi, jak mało wiem o tych futrzastych próżniakach, i którzy „demoralizowali” mnie, gdy powinnam była pracować. Bill, jeszcze kiedyś wygram z tobą w kości.

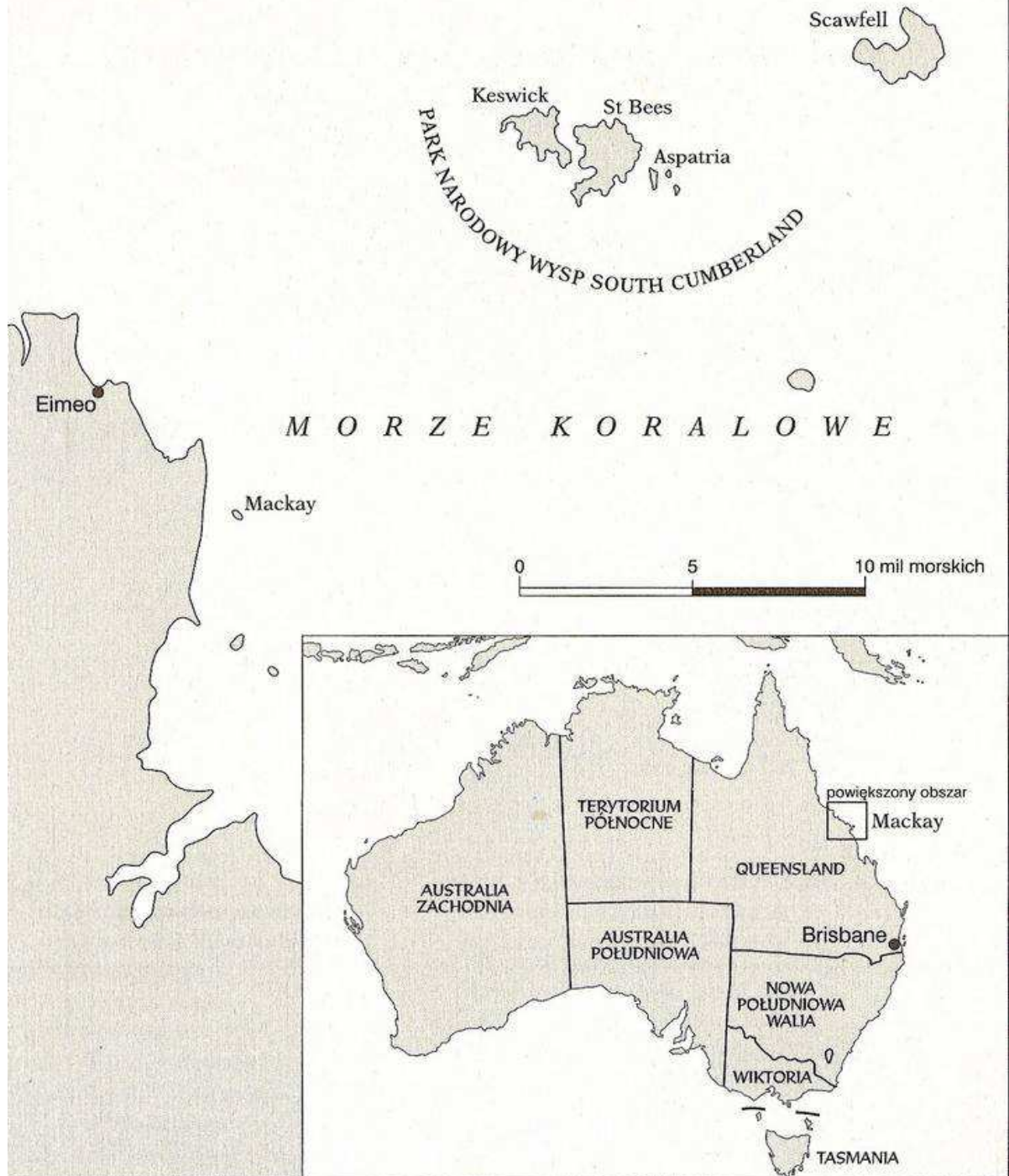
Mieszkańcom Keswick za to, że mieszkają na tej wyspie i zainteresowali się nieuchwytnym niebieskim psem. Zwłaszcza Brianowi i Lyn Kindermanon oraz Jero Andrewsowi, bez których przygody Sophie byłyby dla nas jeszcze większą zagadką.

Ruby, która jest przeuroczą i podbijającą serca suką.

Przede wszystkim Sophie, najbardziej dystyngowanej suczce, jaką kiedykolwiek będzie nam dane spotkać.

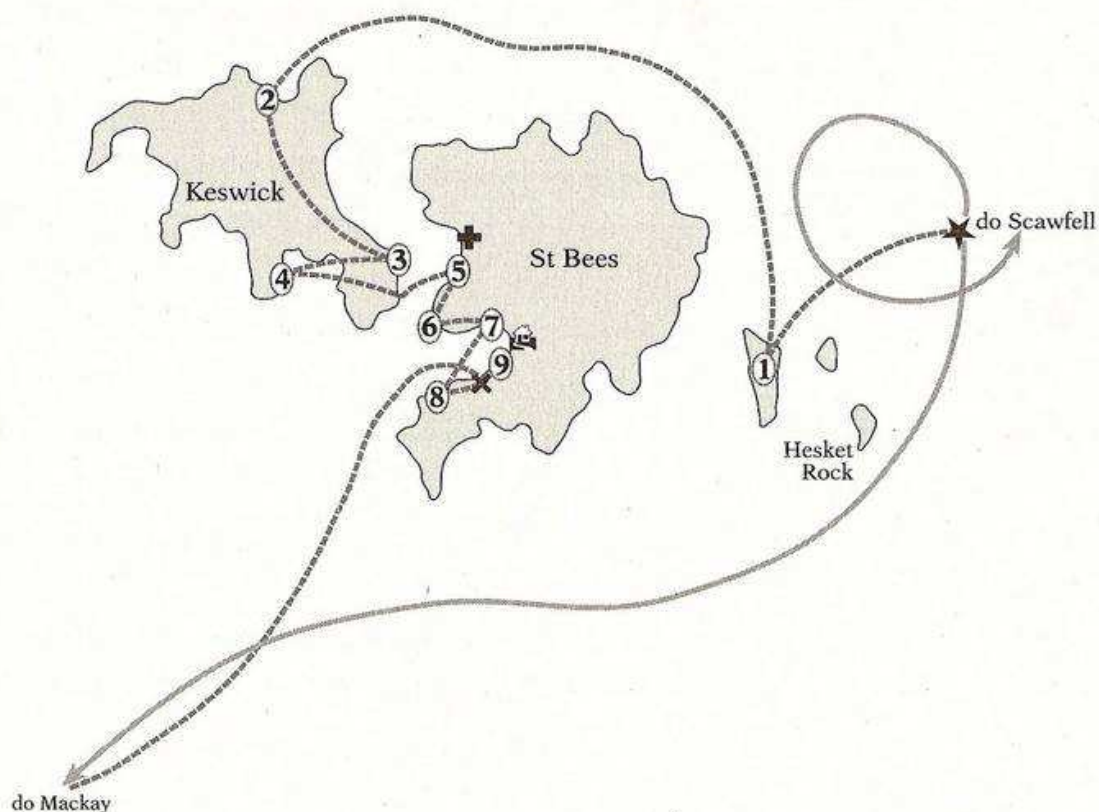
* * *

Mackay i wyspy South Cumberland



Trasa Sophie

od 25 października 2008 do 31 marca 2009
(na podstawie przypuszczeń i obserwacji)



1. Wyspa Aspatria
2. Zatoka Connie *
3. Pas lotniskowy na Keswick *
4. Zatoka Arthur *
5. Zatoka Vincent
6. Shark Point *
7. Zatoka Homestead *
8. Zatoka Honeymoon *
9. Zatoka Stockyard *

- trasa Honey May w dniu 25 października 2008
- - - - - przypuszczalna trasa Sophie
- ★ miejsce wypadnięcia Sophie za burtę 25 października 2008
- ⊕ legowisko znalezione przez Jan
- 🏠 dom Petera Bercka
- ✕ miejsce schwytania Sophie 31 marca 2009

* miejsca, gdzie zauważono ślady łap Sophie